

Wydanie świąteczne

14/2023 3-10.04.23 cena 11,90 zł
(w tym 8% VAT) Nr indeksu 36679X

POLSKA

Newsweek



D 7,50€ B 7,50€ L 7,50€xs

ISSN 1642-5685 NR INDEKSU 36679X



9 771642 568302



YES

KOLEKCJA ŚLUBNA





Newsweek NA WIELKANOC

8 / Nie damy się zniszczyć

My ten układ stworzony przez PiS demaskujemy – mówią Dorota i Krzysztof Brejzowie

14 / Trzecia kadencja PiS

Jeśli wygrają wybory, czeka nas państwo narodowo-katolickie, mafijne, opresyjne wobec kobiet, mniejszości i przeciwników politycznych

20 / Polska Grupa Znajomości

Jak PiS rozdało posady w Polskiej Grupie Zbrojeniowej

24 / Polak boi się igły

Wracają choroby zakaźne, których już prawie nie było, bo rośnie liczba Polaków, którzy nie szczepią swoich dzieci

28 / Kieszonkowe dla dziecka

Jak nastolatki mierzą się z budżetem

32 / Towarzysząc w mroku

Jak żyć z chorym w depresji

36 / Rośliny budzące emocje

Jak wiele zrobią kolekcjonerzy, by zdobyć unikatową sadzonkę?

40 / Śmierć przypudrowana

Czujemy, że ten zawód to nasza misja – mówi Paweł Grzybowski, który przygotowuje zmarłych do pochówku

46 / Afera GetBacku

Piotr Osiecki, założyciel największego prywatnego TFI, udzielił pierwszego wywiadu od aresztowania

52 / Epoka religijnego fermentu

Dzisiejszy antyklerykalizm jest wyjątkowo łagodny w porównaniu z antyklerykalizmem średniowiecznych heretyków – pisze Krzysztof Varga

56 / Przegrana Nameryka

O Ameryce Łacińskiej – opowiada znany argentyński pisarz Martín Caparrós

60 / Seks, kłamstwa i wybory

Donald Trump to pierwszy w dziejach eksprezydent USA, który usłyszy zarzuty karne

64 / Keanu Reeves

Jego fenomen polega na tym, że wymyka się regułom rządzącym Hollywood. Żyje po swojemu

67 / Francja na zakręcie

Wymuszenie reformy emerytur wywołało wielki kryzys polityczny nad Sekwaną

Niedługo znów w zielone gramy! Ciepła i spokoju



życzy redakcja Newsweeka



STR. 8

Demaskujemy układ

Dorota i Krzysztof Brejzowie o swojej wojnie z państwem PiS

STR. 32

Zielony obiekt pożądania

Historie hodowców niezwykłych roślin

STR. 64

Sekret Keanu Reevesa

Po rodzinnej tragedii życie uratowały mu trzy rzeczy: kino, filantropia i filozofia Wschodu

STR. 102

Opowiadanie Etgara Kereta

Okładkę tego numeru „Newsweeka” wybrali subskrybenci Onet Premium. Wygrał projekt Joanny Rusinek

70 / Opowieść wolontariuszki

Grażyna Aondo-Akaa na froncie pod Bachmutem straciła nogę, teraz uczy się chodzić, bo chce wrócić na Ukrainę

74 / Gry z zarodkami

Dzięki nowej metodzie para mężczyzn będzie mogła mieć biologiczne potomstwo

78 / Z bliska

Periokur oostrosterny

80 / Statystyka Janiny Bąk

Dlaczego więcej dzieci rodzi się w domach, na których są gniazda bocianów? – wyjaśnia statystyczka, autorka książek i bloga Janina Daily

Travelling

84 / Weekend nad Odrą

Wrocław ma do czego zaprosić – mówi Radosław Michalski z Urzędu Miejskiego we Wrocławiu

88 / Aktywny urlop

Dolny Śląsk oferuje wiele atrakcji

92 / Poza szlakiem

Nieznanne zabytki Dolnego Śląska

98 / Keira Knightley

Potrafi walczyć o swoje, chwalić się sukcesami, ale też przyznawać do porażek

102 / Opowiadanie na święta

Etgar Keret, „Pies za psa”

FELIETONY

6 / Krzysztof Varga

Piekniły deficyt egzorcystów

13 / Andrzej Stankiewicz

Polityczne złoto

43 / Mikołaj Kunica

Czekoladowe uniesienie

101 / Katarzyna Janowska

Cieszcie się, życie!

106 / Bartosz Węglarczyk

Łzy na serialach





Festiwal Pucciniego

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Bolonii i przejazd do Toskanii. **Dz. 2** Zwiedzanie Montecatini Terme i urokliwego miasta Lukki – miejsca urodzenia Pucciniego. Wieczorem – opera. **Dz. 3** Relaks w Montecatini Terme lub opcjonalna wycieczka do Florencji lub Pistoii. Wieczór z operą. **Dz. 4** Średniowieczne San Gimignano oraz wizyta w winnicy wraz z obiadem. **Dz. 5** Powrót do domu.

La Boheme i Turandot

5 dni | wylot z Warszawy | 13/07 2023

Madame Butterfly i La Boheme

5 dni | wylot z Warszawy | 27/07 2023

4.698,-



Przywitaj Bali i Komodo

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Denpasar. **Dz. 2** Przylot na Bali i przejazd do Candi Dasa. **Dz. 3** Candi Dasa. Zabytkowa wioska oraz pałac wodny Tirta Gangga. **Dz. 4** Candi Dasa - Munduk. **Dz. 5** Munduk. Wycieczka do Wodospadu Czerwonych Korali i wykład poświęcony darom ofiarnym. **Dz. 6** Munduk – Ubud. Gorące źródła Banjar. Bliźniacze Jeziora, Świątynia Bogini Wody i lokalny targ w Bedugul. **Dz. 7** Ubud. Kurs gotowania. Czas wolny. **Dz. 8** Ubud. Zwiedzanie na własną rękę lub na rowerze (za dodatkową opłatą). **Dz. 9** Ubud. Świątynia Tanah Lot. Przelot na Flores. **Dz. 10** Labuan Bajo. Całodniowa wycieczka łodzią do Parku Narodowego Komodo. **Dz. 11** Przelot na Bali. Przejazd do Sanur. **Dz. 12-13** Wypoczynek w Sanur. **Dz. 14-15** Wykwaterowanie z hotelu. Wylot z Bali i przylot do Warszawy.

15 dni | Wylot z Warszawy 14/08 2023 | **13.998,-**



Armenia i Gruzja – perły Kaukazu

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Erywań. Zwiedzanie miasta, m.in. Muzeum Historii Armenii, Plac Republiki, Opera, Kaskady i Pomnik Ofiar Ludobójstwa Ormian. **Dz. 3** Wyjazd do Wagharszapat, katedra w Eczmiadzinie, klasztor Chor Wirap i wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO, ruiny katedry w Zwartnocy. **Dz. 4** Wyjazd do destylarni brandy, świątynia w Garni, wpisany na listę UNESCO klasztor Geghard i Instytut Matenadaran. **Dz. 5** Erywań-Tbilisi. Jezioro Sewan - wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO klasztor Hachpat - górskie miasto Dilidżan - Jezioro Sewan - Tbilisi, Gruzja. **Dz. 6** Zwiedzanie Tbilisi, m.in. świątyni Metechi, łaźni i twierdzy Narikala. **Dz. 7** Tbilisi – Gudauri. Mccheta. Monastyr Dżwari, Katedra Sweti Cchoweli, Gori-miasto Stalina i starożytne miasto Uplisciche. **Dz. 8** Gudauri – Tbilisi. Kazbek, Stepantsminda i przejazd samochodami SUV do klasztoru Cminda Sameba (Święta Trójca). **Dz. 9** Wycieczka do górskiego miasteczka Signagi i odkrywanie tradycyjnej produkcji wina. **Dz. 10** Czas wolny w Tbilisi. Nowoczesne Tbilisi (wycieczka dodatkowo płatna). **Dz. 11** Wylot z Tbilisi do Warszawy.

11 dni | Wylot z Warszawy 17/09 2023 | **6.998,-**



PO PROSTU

O nadziei



Bez względu na religijny wymiar Świąt Wielkanocnych w polskiej tradycji jest to czas radości i nadziei, wytchnienia i odpoczynku, spotkań z bliskimi i oderwania się chociaż na chwilę od szarej politycznej codzienności. Taka świąteczna przerwa jest tym bardziej potrzebna, że żyjemy w czasach, w których coraz trudniej o optymizm i nadzieję. Wojna, inflacja, recesja, drożyzna, afery, skandale, kłamstwa, manipulacje władzy – to wszystko może przytłaczać, ale jak pisał Ernest Hemingway: głupio nie mieć nadziei.

Wiem, że trudno o nią w kraju, w którym jedna czwarta wyborców uwierzyła w propagandowy przekaz władzy, iż opozycja chce wprowadzić zakaz jedzenia mięsa. Trudno o wiarę w lepsze jutro w państwie, które wydaje miliardy złotych na propagandę, a nie ma pieniędzy na wsparcie dla osób niepełnosprawnych czy problemy psychiatrii dziecięcej. Ciężko o optymizm w kraju, w którym na poważną siłę polityczną i potencjalnego koalicjanta w przyszłym rządzie wyrasta ugrupowanie nacjonalistycznych mizoginów głoszących antysemitkę i homofobiczne hasła. Niełatwo o nadzieję w sytuacji, gdy premierem jest człowiek, który brzydzi się prawdą i uczciwością, a jego szefem jest autokrata, który zbudował nad Wisłą modelową kleptokrację. Trudno o spokój, gdy tracimy miliardy euro tylko dlatego, że szeryf z pistolecikiem za pasem postanowił pokazać, że jest ważny i znaczy więcej niż 0,7. A jakby tego wszystkiego było mało, demokratyczna opozycja zamiast skupiać się na tym, co naprawdę ważne, zajmuje się głównie sama sobą.

Powodów do narzekania i zmartwień jest oczywiście dużo więcej, ale dziś, może jak jeszcze nigdy po 1989 roku, zamiast żalobnych litanii potrzebne są nam wiara i nadzieja. Jakkolwiek by to banalnie i pompatycznie zabrzmiało, bez nich trudno choćby myśleć o aktywizacji wyborców demokratycznej opozycji. A to właśnie mobilizacja elektoratów przesądzi o wyniku jesiennej batalii parlamentarnej. Potwierdzają to badania, z których wynika, że jednym z podstawowych problemów dzisiejszej opozycji jest brak wiary jej wyborców w ostateczny sukces.

Zdaję sobie sprawę, że czasami, patrząc na wyczyny prezesa i spółki, trudno uwierzyć w to, że może dojść do zmiany władzy, że mimo wszystko polityka może być uczciwa i etyczna, a interes kraju ważniejszy od interesu tej czy innej partii. Że do polityki naprawdę nie idzie się dla pieniędzy i szemranych interesów, że sądy mogą być wolne, a Trybunał nie Przyłębskiej, ale na powrót Konstytucyjny, że rządowe media przestaną być propagandową tubą

i znowu staną się publiczne, że w fotelu prezesa NBP błazna zastąpi ekspert, że politycy nie będą wykluczać inaczej niż oni myślących, wyglądających czy kochających, że kobiety zamiast być żywymi inkubatorami, będą miały prawo wyboru, że powietrze w Polsce może być czyste, a energia zielona. To wszystko jest możliwe, trzeba jedynie wygrać wybory i odsunąć PiS od władzy.

Niech żywi nie tracą nadziei – zaklinał w swoim testamencie Juliusz Słowacki. I choć to niezwykle trudne, musimy odnaleźć w sobie nadzieję na dobre zmiany, mądre wybory, rozsądek większości Polaków i resztki rozsądku liderów opozycji. Podobno nadzieja jest matką głupich, jeśli tak, to jestem głupcem, bo wierzę w to, że nie jesteśmy skazani na trzecią kadencję rządów ludzi, którzy wycierając sobie usta Bogiem, honorem i Ojczyzną, traktują nasz kraj jak dojną krowę, a obywateli jak „ciemny lud”. Wierzę, że mimo różnic światopoglądowych i politycznych potrafimy żyć razem, a nie naprzeciwko siebie, że wolne media zachowają swoją niezależność i nadal będą patrzeć rządzącym na ręce, że moje dzieci będą żyć w kraju, w którym każdy czuje się dobrze i u siebie. Mam wreszcie nadzieję, że koniec końców wszystkie draństwa i afery obozu władzy zostaną rozliczone przez niezależną prokuraturę i niezawisłe sądy.

I choć to niezwykle trudne, musimy odnaleźć w sobie nadzieję na dobre zmiany, mądre wybory, rozsądek większości Polaków i resztki rozsądku liderów opozycji

Do wyborów zostało zaledwie kilka miesięcy. Z jednej strony to sporo czasu na przygotowanie i poprowadzenie skutecznej kampanii, ale zarazem niewiele, jeśli spojrzeć na to, w jakim tempie liderzy partii demokratycznych próbują dojść do jako takiego porozumienia. Wzajemne złośliwości, kopanie po kostkach i wybujałe ego mogą denerwować, frustrować i poddawać w wątpliwość zdolność skutecznego wspólnego rządzenia po wyborach. Na szczęście Tusk, Hołownia, Kosiniak-Kamysz, Czarzasty, Biedroń i Zandberg mają jeszcze czas, by udowodnić, że nie tylko zdają sobie sprawę z ciężkiej na nich wszystkich odpowiedzialności za kraj, ale potrafią jej sprostać. Czego Państwu, naszym Czytelnikom, życzyć nie tylko na święta. **N**

Połączenia międzynarodowe z bolidem w tle

Zmiany, inwestycje i rozwój są wpisane w branżę logistyczną. Dotyczy to także systematycznej rozbudowy połączeń międzynarodowych, nawet jeśli przewożony ładunek bywa niestandardowy.

Raben nieustannie umacnia się na pozycji jednego z czołowych graczy europejskiego sektora logistycznego. Tylko w ciągu ostatnich 12 miesięcy Grupa uruchomiła ponad 40 nowych europejskich linii, a łącznie na kontynencie oferuje ponad 600 codziennych bezpośrednich połączeń międzynarodowych (ok. 10 proc. więcej niż w roku 2021). W tym okresie miesięczna liczba przesyłek zwiększyła się ponadtrzykrotnie. Wśród wielu ładunków w 2022 roku znalazł się jeden niestandardowy – bolid wyścigowy. Była to kontynuacja zapoczątkowanej trzy lata wcześniej współpracy z PWR Racing Team, który brał udział w zawodach dla inżynierskich zespołów uniwersyteckich Formuła Student. Rywalizacja odbywała się na węgierskim Hungaroring, na Hockenheimring w Niemczech i w Chorwacji na obiekcie St. Rauš. Oddział Raben Logistics Polska we Wrocławiu zapewnił bezpośredni przejazd między tymi lokalizacjami samego bolidu, większości narzędzi, wyposażenia warsztatowego oraz sprzętów ekipy.

– W Europie Zachodniej oraz regionie CEE, czyli m.in. w Niemczech i na Węgrzech, mamy rozwiniętą sieć własnych oddziałów. Są one połączone codziennymi liniami drobnicowymi i transportujemy tam różne ładunki, jednak przewóz bolidu nie zdarza się co dzień. Co więcej, trasa



Raben ponownie przewoził bolid Formuły Student

obejmowała Chorwację, gdzie działamy za pośrednictwem sprawdzonych partnerów. Potraktowaliśmy współpracę z PWR Racing Team jako ciekawe i inspirujące wyzwanie i jak widać, świetnie sobie poradziliśmy – mówi Wojciech Mialik, dyrektor Regionu Raben Logistics Polska.

Owocna współpraca

Studenci Politechniki Wrocławskiej podczas trzech zeszłorocznych edycji rozwijali projekt bolidu elektrycznego i zastosowanych w nim systemów autonomicznych umożliwiających jazdę w trybie driverless. Punkty za konkurencje statyczne pozwoliły teamowi podczas każdego startu plasować się w środku stawki, co stanowi świetny punkt wyjścia do dalszych prac oraz doskonalenia pojazdu.

– Innowacyjne myślenie i umiejętności, pracowitość i ambicja studentów z Wrocławia zasługują na podziw i wsparcie, dlatego zaangażowaliśmy się w ten projekt. Jednak dla nas ma on dodatkową wartość – wszelkie inicjatywy, które przyczyniają się do rozwoju elektromobilności, na każdej płaszczyźnie, są niezwykle cenne.

Od jesieni 2022 roku wspólnie z Volvo Trucks i IKEA Industry testujemy wykorzystanie zeroemisyjnej elektrycznej ciężarówki, a zmniejszenie wpływu na środowisko jest jednym z naszych priorytetów. Dzięki pasjonatom z Politechniki Wrocławskiej branża motoryzacyjna ma szansę wykonać kolejny krok w kierunku bardziej zrównoważonego transportu, na czym może skorzystać również logistyka – dodaje Wojciech Mialik. ●

Krzysztof Varga

Piekielny deficyt egzorcystów



Od pewnego czasu nie interesowałem się nagrodami Węże dla najgorszych polskich filmów – oglądanie dzieł Patryka Vegi czy nieudanych filmów politycznych, patriotycznych i parafialnych przestało mnie rozbawiać do skretu jelit, tak samo jak nie rozbawia już oglądanie meczów polskiej reprezentacji piłkarskiej. Owszem, dałem się namówić na obejrzenie spotkania z Czechami, ale śmiałem się tylko przez pierwsze trzy minuty, gdy bezradne orły straciły w żaloszny sposób dwie bramki, a potem czułem wyłącznie głębinowe zażenowanie połączone z infernalnym znudzeniem. Już nie muszę oglądać Vegi ani polskich futbolistów, niech ogląda jury Węży i dziennikarze sportowi, ktoś musi cierpieć, by nie cierpieć mógł ktoś. No, może skuszę się na autobiograficzną „Niewidzialną wojnę” Vegi, skoro jest tam scena, gdy główny bohater dla Jezusa odmawia seksu oralnego. Najpewniej z tego powodu, że seks oralny nie skutkuje prokreacją, ale powinienem to sam zweryfikować. Nasz katolicyzm nie jest wcale w kryzysie, skoro ciągle istnieją Polacy gotowi do takiego męczeństwa w imię wiary.

Jednakowoż przeglądając nominacje do najnowsze- go rozdania Węży, zauważyłem zmianę znamioną: otóż wśród nominowanych za współdziałal w robieniu z polskiego kina pośmiewiska znaleźli się Bóg, Duch Święty i Najświętsza Maryja Panna. Bóg dostał nominację za duet z Vegą w filmie Vegi, co samo w sobie jest niesamowite, natomiast Duch Święty za napisanie scenariusza filmu „Powołany” Jana Sobierajskiego, zaś Matka Boska za wyprodukowanie tego filmu. To dobra informacja, bo akurat ze scenariuszami u nas straszna mizéria, a większość filmów chyba w ogóle jest kręcona bez scenariuszy. A i z produkcją bywa nędznie, stąd ingerencja sił nadprzyrodzonych zasługuje na pochwałę. Gdyby jeszcze do ról aktorskich zatrudnić panteon świętych, to mogłoby być zbawienne dla naszej kinematografii.

Oczywiście, natychmiast obejrzałem „Powołanego”, licząc, że siła Ducha Świętego i Matki Boskiej wreszcie odmieni moje plugawe życie i nawrócę się lub bodaj obejrzę porządne kino religijne, skutkujące masowym wstępowaniem do stanu kapłańskiego. Bo biorąc pod uwagę pustki w seminariach, wygląda na to, że niedługo będziemy sprowadzać księży z Ugandy, żeby nas ewangelizowali.

Oto w wielkim domu bogatej rodziny, stojącym gdzieś z dala od komunikacji miejskiej, pojawia się z kolędą przystojny i sympatyczny ksiądz, od razu widać, że wspaniały człowiek. Musiał dwadzieścia minut iść od przystanku, bo nie ma samochodu, co jest oznaką jego apostołskiego ubóstwa, a zatem wiarygodności. Nie będzie miał lekko, bo wyższa klasa średnia jest raczej niechętna Kościoło-

wi. Pan domu okazuje się ponurym bucem nie lubiącym klechów, nastoletni syn demonstruje typową dla dzisiejszej młodzieży wrogość wobec sakramentów, starsza córka z pogardą patrzy na księdza, bo ona zdecydowanie bardziej preferuje galerie handlowe niż świątynie. Jedynie ich matka, żona ponurego buca, przyjmuje kolędę z wdzięcznością. Ksiądz, widząc opór tępej materii, zmysłowym głosem opowiada im siedem przypowieści o nawróconych grzesznikach. Symbolikę liczby siedem pomińmy i przejdźmy do gawęd księdza w trakcie kolędy.

Najpierwej pojawia się historia Marty, lubieżnicy uzależnionej od związków z kolejnymi mężczyznanami, zafascynowanej ezoteryką zwolenniczki aborcji i eutanazji, satanistki odwiedzającej wróżki stawiające jej tarota. Aż nagle dwoje żarliwych katolików (ciekawy wątek ekumenicznej przyjaźni satanistki z katolickim małżeństwem) namawia ją na mszę świętą, podczas której Marta na widok monstrancji doświadcza nawrócenia i, odwiedziwszy najpierw egzorcystę, zaczyna wolontariat w hospicjum, odmawia różaniec i czyta Pismo.

„Powołany” jest promocją kapłaństwa, klipem reklamowym nawróceń. Nigdy nie widziałem filmu religijnego tak ostentacyjnie płytkiego, tak bezczelnie banalnego, a widziałem ich multum

Pozostałe historie opowiadają m.in. o mężczyźnie, którego życie zawaliło się i stracił wszystko przez alkohol, kobiety i pracę w mediach (ten wątek z oczywistych powodów przeraził mnie najbardziej), ale który podniósł się po straszliwym upadku i teraz jego wyniszczona twarz świeci niezwykłym blaskiem. Był też naturalnie nawrócony gangster, bo nie mogło się obejść bez nawróconego gangstera – ten wrócił do Boga po wziętym spowiedzi i założył rodzinę: w końcowej scenie widzimy go z żoną i dwójką dzieci w ogródku ślicznego domku. Był grafik ręczny i komputerowy, który tak zatracił się w pracy, że ujawniły się siedzące w nim demony; scena egzorcyzmów jest z pewnością najsztubniejszą obrazem wyganiania diabła. Ten załagał się w duszy i ciele sympatycznego brodacza już wówczas, gdy rodzice rozważali, czy nienarodzonego syna nie poddać aborcji. Było też młode małżeństwo – mąż umarł na glejaka, a umierając, był szczęśliwszy niż za życia, bo przed śmiercią nawrócił się w sposób radykalny.

„Powołany” jest promocją kapłaństwa, klipem reklamowym nawróceń, no i ma się rozumieć PR-em Koś-



ciola. Tłumaczy nam, że wyłącznie bezrefleksyjna wiara może człowieka uszczęśliwić, a żadnych pytań eschatologicznych nie ma sensu zadawać, bo wszystko jest tajemnicą. Nigdy nie widziałem takiego filmu religijnego tak ostentacyjnie płytkiego, tak beczelnie banalnego, a widziałem ich multum. Długie godziny życia zmitrężyłem na kino parafialne i doprawdy Duch Święty musiał pisać ten scenariusz, człowiek by przecież nie stworzył czegoś takiego, ani geniusz, ani grafoman. W napisach początkowych stoi oczywiście, że to historie oparte na faktach, tym bardziej Duch Święty mógł to pisać.

Dowiedziałem się jednak rzeczy wstrząsającej. Otóż jest w Polsce coraz więcej opętani, a coraz mniej egzorcystów. Ja wiem, że w powszechnym przekonaniu ludzi małej wiary są inne problemy: brakuje nauczycieli, pediatrów, geriatrów, psychiatrów, szczególnie dziecięcych, pielęgniarek, ale to są sprawy błahe przecież. Wydawało mi się do wczoraj, że mamy zatręsenie egzorcystów, a teraz się okazuje, że opętani się mnożą na potęgę, gdziekolwiek się człowiek obejrzy, to jakiś nieszczęśnik tarza się po ziemi, wypluwa z ust gwoździe i strasznym głosem bluźni Najświętszemu Sakramentowi, a biedni egzorcyci ciągną resztką sił. I to jest największy problem Kościoła, co tam Kościół – to jest problem nas wszystkich. Zapewne część egzorcystów poległa w okrutnej walce z Szatanem, stąd te braki kadrowe.

Dzieło Sobierajskiego kończy się dramatyczną informacją o spadku powołań w Europie i apelem o modlitwę o powołania na ku temu przeznaczony stronie internetowej. Tamże można też wybrać sobie duchownego, o którego będziemy się modlić, czyli duchowo adoptować księdza. Sam pomyślałem, żeby w ten sposób przyczynić się do uratowania Kościoła, ale wpadłem w panikę, bo lista duchownych, o których należałoby się modlić, przeraża moje możliwości.

Wydawało mi się do wczoraj, że mamy zatręsenie egzorcystów, a teraz się okazuje, że opętani się mnożą na potęgę, a biedni egzorcyci ciągną resztką sił

Czekam na wymierne skutki tego filmu – iluż młodych mężczyzn po obejrzeniu „Powołanego” pójdzie do seminariów? Ileż dziewczyn zapuka do drzwi klasztorów? Iluż biskupów nawróci się na miłość bliźniego, a ilu proboszczów pokocha swoich parafian? Iluż hierarchów i kościelnych hipokrytów pokaja się publicznie za swoje siedem grzechów głównych? A i pewnie w paru przypadkach za grzechy przeciwko Duchowi Świętemu, najstraszniejsze ze strasznych? Ale tych grzechów przeciw reżyserowi „Powołanego” Pan Bóg nigdy nie odpuszcza. **N**

Krzysztof Varga jest pisarzem, publicystą, a także autorem tekstów piosenek zespołu Dr Misio

Newsweek

od 2001 roku

Adres redakcji tygodnika: 02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 49. Kontakt z Czytelnikami www.newsweek.pl, redakcja@newsweek.pl

Redaktor naczelny: Tomasz Sekielski / Zastępcy redaktora naczelnego: Dariusz Ćwiklak, Michał Szadkowski / Redaktor prowadzący: Łukasz Ramlau / Dyrektor artystyczna: Magdalena Mamajek-Mich /

Sekretarz redakcji: Andrzej Olejniczak

Sekretariat redakcji: Małgorzata Kacprzak, Katarzyna Klejnocka / Polska: Dominika Długosz-Gierszewska, Renata Grochal, Aleksandra Pawlicka, Teresa Torąńska / Dział śledczy: Jakub Korus, Grzegorz Rzeczkowski, Agnieszka Żądło /

Społeczeństwo: Renata Kim, renata.kim@newsweek.pl, Marcin Chłopaś, Karolina Rogaska, Małgorzata Świechowicz, Elżbieta Turlej / Historia: Dariusz Ćwiklak, Mateusz Wojtalik /

Świat: Jacek Pawlicki, jacek.pawlicki@newsweek.pl, Maciej Nowicki, Nowy Jork: Piotr Milewski, piotr.milewski@newsweek.pl Biznes: Konrad Sadurski, konrad.sadurski@newsweek.pl, Radosław Omachel, Miłosz Węglowski /

Nauka: Dorota Romanowska, dorota.romanowska@newsweek.pl, Katarzyna Burda / Kultura: Dawid Karpiuk, Jacek Tomczuk, Piotr Brańkowski / Felietony: Henryk Sawka, Krzysztof Varga

Newsweek.pl: Beata Minkiewicz (product manager), Emilia Stawikowska (szefowa wydawców) / wydawcy: Karolina Brzezińska, Jakub Korus, Jan Rakoczy, Maciej Sitarz, Mateusz Wojtalik / dziennikarze: Anna Podlaska, Marcin Wierczkowski /

Grafika: Michał Bieniek / Media społecznościowe: Igor Iwanicki

Foto: Ewa Falkiewicz, Tomasz Królik, Mikołaj Starzyński, Marek Szczepański / Studio graficzne: Grzegorz Brodowski, Urszula Gardy, Izabela Królikowska, Aleksandra Kuc, Sylwia Nieraszkowska, Michał Peas

Korekta: Ewa Leszczyńska-Al-Khafagi, Iwona Trzaskoma / Asystentka redaktora naczelnego: Kamila Skowron, kamila.skowron@newsweek.pl

Wydawca: RINGIER AXEL SPRINGER POLSKA Sp. z o.o., Członek Izby Wydawców Prasy i Związku Kontrolni Dystrybucji Prasy, www.ringieraxelspringer.pl / Adres: ul. Domaniewska 49, 02-672 Warszawa, recepcja główna tel.: (22) 232 00 00, 232 00 01 / Prezes zarządu: Aleksander Kutela / Prezes honorowy: Wiesław Podkański / Dyrektor generalny: Marcin Biegłuk / Dyrektor finansowy: Krzysztof Stopa / Dyrektor wydawniczy treści premium: Jakub Makulski

Dyrektor ds. rozwoju projektów wydawniczych treści premium: Bernadetta Byrska / Menedżer wydawniczy: Joanna Skolimowska / Dyrektor personalna: Monika Remiszewska / Dyrektor ds. komunikacji korporacyjnej: Karolina Sznajder

Dyrektor marketingu: Olga Korolec / Head of Press Monetization Hub: Anna Dygasiewicz, zespół: Marcin Czyż, Elżbieta Jung, Ryszard Korlak, Aneta Kulesz, Marta Mikiel, Ewelina Milczek, Agnieszka Skiba, press@ringieraxelspringer.pl

Biuro reklamy: Piotr Kupis, tel. 695388021, piotr.kupis@ringieraxelspringer.pl / Marketing: Agata Surmacz-Mocko

Księgowość: Sylwia Skibińska (dyrektor) / Kolportaż: Rafał Kamiński (dyrektor) / Produkcja: Mariusz Gajda (dyrektor), Jarosław Sokotowski / Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

Prenumerata i zamówienia kolekcji: tel.: 22 336 79 01, 801 000 869, prenumerata.axel@qg.com, www.newsweek.pl / Sprzedaż internetowa wydań archiwalnych, specjalnych i prenumeraty: www.kiosk.redakcja.pl

Reklamacje: tel.: 22 336 79 01, 801 000 869, e-mail: prenumerata.axel@qg.com / Prenumerata krajowa: Poczta Polska oraz Ruch SA na terenie całego kraju / Prenumerata zagraniczna: <http://kiosk.redakcja.pl>

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo redagowania nadesłanych tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja ponosi odpowiedzialność w granicach wskazanych w ust. 2 art. 42 ustawy Prawo prasowe. Zabroniona jest bezumowna sprzedaż czasopisma po cenie niższej od ceny detalicznej ustalonej przez wydawcę. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po innej cenie jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Newsweek magazine Published by Newsweek LLC, EDITORIAL STAFF: Editor in chief: Jim Impoco / Deputy Editor: Bob Roe / International Editor: Nicholas Wapshott + Managing Editor: Kira Bindrim BUSINESS STAFF: Chief Content Officer, IBT Media: Johnathan Davis / Chief Executive Officer, IBT Media: Etienne Uzac



OPOWIEŚĆ O WALCE Z PAŃSTWEM PIS

NIE DAMY SIĘ ZNISZCZYĆ

Mamy zdegenerowane służby, prokuraturę, telewizję rządową, próby wpływania na sądy, czyli takie domknięcie układu. My ten układ demaskujemy – mówią
DOROTA I KRZYSZTOF BREJZOWIE

ROZMAWIA RENATA GROCHAL ZDJĘCIA MIKOŁAJ STARZYŃSKI

NEWSWEEK: Chciała pani, żeby mąż wycofał się z polityki?

DOROTA BREJZA: Nie, w życiu.

Nawet wtedy, kiedy dowiedziała się pani, że przez pół roku żyliście na podsłuchu, bo mąż był inwigilowany Pegasusem?

D.B.: Nigdy o tym nie myślałam. Wręcz przeciwnie, gdy dowiedziałam się, że mąż był inwigilowany, było oczywiste, że nie mogę przejść obok tego obojętnie. Nie chcę się chować, chcę walczyć z tą krzywdą.

Ale może ten koszt bycia w życiu publicznym jest zbyt duży?

KRZYSZTOF BREJZA: Wiele razy czuliśmy, że jest bardzo duży, że są przekraczane granice, to nas nawet momentami przytłaczało...

D.B.: Ale odpowiedzią nie była chęć oddania pola. Chcę pokazać historię inwigilacji mojego męża przez państwo jako rzecz, która nigdy nie powinna się wydarzyć. To nie jest tylko historia skrzywdzenia Krzysztofa Brejzy, to historia pokazująca stan państwa.





Skąd ta odwaga, by stanąć naprzeciw całego aparatu państwa PiS?

K.B.: Dorota wyniosła to ze swojej wspaniałej gdańskiej rodziny, jej tata był lektorem Radia Solidarność, działał w opozycji gdańskiej w latach 80.

D.B.: Na pewno nasze rodziny łączy silny antykomunizm, tata Krzysia też działał w opozycji demokratycznej. Ale ja jestem adwokatem, umiem się konfrontować z innymi.

Zawsze pani chciała być adwokatem?

D.B.: Chciałam być sędzią, kiedy kończyłam studia, byłam pełna ideałów. Uważałam, że sąd to jest powaga, sprawiedliwość, pryncypialność, to mi się podobało. Dziś tak nie uważam. Prowadząc sprawę Pegasusa, dowiedziałam się więcej o upolitycznieniu wymiaru sprawiedliwości, niż chciałam wiedzieć.

Kiedy kończyłam studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim, nastąpiła reforma aplikacji sądowej i przez rok czy półtora nie było naboru na aplikację sędziowską. Mój mąż na plaży w Jarosławcu namówił mnie, żebym nie traciła czasu i poszła na aplikację adwokacką.

Długo się znacie?

K.B.: 19 lat. Żonę zobaczyłem po raz pierwszy pod pałacem Kazimierzowskim, na kampusie Uniwersytetu Warszawskiego. Jestem o rok starszy. Spotkaliśmy się na Międzywydziałowych Studiach Humanistycznych. Tworzyłem z kolegą samorząd studencki na MISH i organizowaliśmy obóz integracyjny dla pierwszoroczniaków. Byłem opiekunem na tym obozie i tak poznałem Dorotę.

Co panu się w niej spodobało?

K.B.: Pewność siebie i moc.

Od razu pan wiedział, że to jest kobieta na całe życie?

K.B.: Dojrzewaliśmy do tego, imprezowaliśmy ze sobą, mamy grupę wspaniałych przyjaciół ze studiów, połączyło nas Sulęczyno na Kaszubach, gdzie razem jeździliśmy. Rodzice Doroty mają tam dom. Tam też braliśmy ślub. W 2007 r. zostałem posłem i pojawił się dylemat, co dalej robić. Postanowiliśmy zamieszkać w Inowrocławiu, co nie było łatwe dla Doroty – matura międzynarodowa, studia w Warszawie, koledzy robili kariery w korporacjach...

I nagle musi przeprowadzić się na prowincję.

D.B.: Byliśmy strasznie młodzi. Ja byłam na czwartym roku studiów, kiedy braliśmy ślub, miałam 23 lata. Gdy skończyłam studia, zaczęłam robić aplikację w Bydgoszczy i to miejsce coraz bardziej mnie do siebie przywiązywało.

K.B.: Ja kocham Inowrocław. To jest miasto optymalne, piękne, zdrowe.

D.B.: Mój mąż jest wielkim patriotą Inowrocławia, a mój teść – prezydent miasta – jeszcze większym. Mamy troje dzieci, gdy wybierałam miejsce do aplikacji, chciałam, żeby nasza rodzina była razem. Wydawało mi się wtedy, że będzie bardziej razem, kiedy będziemy w Inowrocławiu.

Trójka dzieci to spora gromadka.

D.B.: To prawda! (*śmiech*). To jest wyzwanie. Każdy młody rodzic powie, że trudno godzić życie zawodowe z wychowywaniem dzieci.

To się w ogóle da pogodzić?

D.B.: Nigdy nie jest tak, że jest się fantastycznym rodzicem i robi się karierę. Może niektóre kobiety tak o sobie opowiadają, ale ja w to nie wierzę. Kiedy ktoś mnie pyta, jak ja to godzę, to mówię, że nie godzę. Nie da się być idealną mamą dla trójki dzieci, idealną żoną, adwokatką, mieć porządek w domu, zawsze coś szwankuje.

A co u was szwankuje?

D.B.: Non stop mamy bajzel w domu.

K.B.: Na pewno nasza droga jest niestandardowa – wejście w politykę w młodym wieku, żona z własną kancelarią prawną, która bardzo dużo brała na siebie, szczególnie kiedy byłam członkiem komisji śledczej ds. Amber Gold w latach 2016-2019. To była robota od niedzieli wieczorem do soboty rano, mnóstwo przesłuchań prokuratorów z Gdańska, bo tam była siedziba firmy Amber Gold, która – powiem dla przypomnienia – okazała się piramidą finansową i naciągnęła mnóstwo ludzi. Cały czas uśmiecham się do tego Gdańska, bo to z gdańskiej prokuratury wyciekły materiały z Pegasusa, zmanipulowane przeciwko mnie. To było na finiszu prac komisji ds. afery Amber Gold, gdy miałem tworzyć swój raport z prac komisji. W tym raporcie stwierdzałem, że zawalili ludzie awansowani przez Zbigniewa Ziobrę i Bogdana Świączkowskiego, wówczas prokuratora krajowego. ABW nalegała w 2012 r., żeby szybciej założyli podsłuch Marcinowi P., szefowi Amber Gold, ale oni tego nie zrobili. To samo środowisko, jak się okazuje, inwigilowało mnie Pegasusem. I gdy już miałem publikować kontrraport wobec raportu posłów PiS i pokazać błędy, nazwiska ludzi, którzy zostali awansowani do prokuratury krajowej przez Ziobrę, wtedy w kampanii wyborczej 2019 r. poszedł przeciek do TVP, żeby mnie skompromitować.

Rzekoma farma trolli, którą miał pan, według TVP, zakładać w Inowrocławiu.

K.B.: Zaczęła się nagonka i nie byłem w stanie zaprezentować swojego raportu. Ta sprawa jest niesamowicie perfidna i podła.

Nie żałował pan wtedy, że wszedł w politykę?

K.B.: Nie.

Nie wierzę, że ani razu pan nie pomyślał: po cholerę mi to było?

K.B.: Nigdy. Mamy zaszczepiony antykomunizm i propaństwowość. Nie mogę oddawać pola współczesnej bolszewii.

Dlaczego pan ich tak nazywa?

K.B.: Jeżeli oni mówią, że my jesteśmy partią niemiecką, chcą nam zabierać paszporty, to jak mam ich nazywać. Nie dam się wypchnąć z Polski, odebrać sobie patriotyzmu i poczucia polskości, co próbuje robić PiS. Nie można oddać im Polski, o którą walczyli powstańcy i ludzie Solidarności. Wszystko, co robi PiS, jest zaprzeczeniem ideałów Solidarności.

Przeciwności was mobilizują?

K.B.: U nas to się połączyło z poczuciem krzywdy. To, co wobec mnie robiono, jest najbardziej perfidną operacją w historii prokuratury, opartą na czystym kłamstwie. Wielu ludzi w służbach i prokuraturze wiedziało, że to kłamstwo, a mimo to szli dalej, żeby znaleźć coś na mnie, ale nic nie znaleźli. Kiedy krzywda zlewa się z patriotyzmem, to człowiek ma turbodoładowanie.



” CZUJĘ, ŻE TAKIE OSOBY JAK MY W TYM PAŃSTWIE NIE MOGĄ ZNALEŹĆ ŻADNEJ POMOCY

DOROTA BREJZA

Jak to było z tą sprawą fałszywych faktur?

K.B.: To czysto kryminalna sprawa. Była działaczka PiS, która przyszła do pracy w magistracie w Inowrocławiu, przeniosła proceder wyłudzeń na lewe faktury z urzędu w Kruszwicy, gdzie wcześniej była zatrudniona. Służby wiedziały, że ta kobieta robiła to samo w Kruszwicy, gdy jeszcze jej nie znaliśmy. Natomiast oni przyjęli wersję, że ja miałem stać za tymi wyłudzeniami i to było pretekstem, żeby inwigilować mnie Pegasusem, chociaż wiedzieli, że jestem czysty. Przez Pegasusa chcieli mnie podsłuchać i znaleźć coś innego, bo wnioski o podsłuch, złożone w sądzie przez Święczkowskiego, dotyczyły nielegalnego finansowania kampanii wyborczej. Jednak to też zostało negatywnie zweryfikowane. CBA uznało, że moje kampanie zostały właściwie rozliczone. Zrobili mi rentgen 10 lat życia, ściągnęli 80 tys. wiadomości z telefonu, szukali jakiegokolwiek punktu zaczepienia, grozili nawet niektórym świadkom, żeby cokolwiek znaleźć, postawić mi jakikolwiek zarzut, ale się nie udało.

D.B.: Wykorzystano jako pretekst fakt, że w urzędzie w Inowrocławiu doszło do popełnienia przestępstwa przez jakąś osobę, która na dodatek była kiedyś związana z PiS, by wejść na telefon mojego męża, ale też mojego teścia, a nuż coś się znajdzie. Myśmy złożyli zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa w tej sprawie i toczy się śledztwo w Ostrowie Wielkopolskim.

Ile macie spraw w sądach?

D.B.: Kilkanaście. Głównie to sprawy cywilne o naruszenie dóbr osobistych z mediami rządowymi i pracownikami TVP. Będziemy też składać skargę w Europejskim Trybunale Praw Człowieka.

K.B.: Uznaliśmy, że pozywamy za każde kłamstwo. Część spraw już wygraliśmy, np. sprawę z Cezarym Gmyzem, ale przez trzy i pół roku nie mogliśmy wyegzekwować wykonania wyroku i w końcu ostatnio się udało. Sprostowanie zostało opublikowane. Pomału wygrywamy kolejne sprawy, dochodzimy do prawdy, choć wymiar sprawiedliwości działa w sposób przewlekły.

Nie męczy was to?

D.B.: Bywa, że czujemy się emocjonalnie wyczerpani, ale radzimy sobie. Staramy się odnajdywać radość we wspólnej codzien-

ności. Lubimy razem wyjeżdżać, chodzimy po galeriach sztuki, ja interesuję się historią sztuki, mąż kocha muzykę. Mama Krzysia jest kompozytorką.

K.B.: Mama pracuje w Akademii Muzycznej w Bydgoszczy, komponuje muzykę poważną, pisze wiersze dla dzieci, pomaga nam w opiece nad dziećmi. Zresztą mama też była pomówiona przez TVP i wytoczyła sprawę pracownikowi tej telewizji. Atakowany byłem ja, mój ojciec, to jakoś tam można zrozumieć, bo jesteśmy politykami. Ale atakowana była moja żona, która też była bohaterką „Wiadomości”, i bardzo perfidnie została zaatakowana moja mama. To był 2019 r., były wezwania, żebym się wycofał z wyborów. Tymczasem ja nigdy nie byłem przesłuchany w żadnej sprawie, nie mam postawionych żadnych zarzutów.

„Rzeczpospolita” obliczyła, że państwo wydało na pana inwigilację 20 milionów złotych.

K.B.: Cała bydgoska delegatura CBA siedziała na mnie przez kilka lat i nigdy mnie nawet nie wezwano na przesłuchanie. To ciekawe, że ludzie, którzy prowadzili moją sprawę, puciekali z CBA. Część trafiła do PKN Orlen, a 27-letnia agentka bez doświadczenia, której na koniec powierzono moją sprawę, odeszła z CBA. Oni zdają sobie sprawę, że ta cała sprawa od początku była szyta. Szef gdańskiej prokuratury Kierski dwa miesiące temu też podał się do dymisji. Oni wiedzą, że to będzie rozliczone.

Wierzy pan w to?

K.B.: Oczywiście. Próbowano nas usnąć metodami esbeckimi. Historia zatoczyła koło. Moją rodzinę inwigilowała w latach 80. Służba Bezpieczeństwa. Mieliśmy przeszukania w domu.

D.B.: Wuj Krzysia, czyli brat jego ojca, Jarosław Brejza, został zaszczytowany przez SB, był wielokrotnie brutalnie przesłuchiwany, został pobity na komendzie przez SB i w wieku 17 lat popełnił samobójstwo. Ale my nie damy się zaszczyć, choć czasem mamy poczucie beznadziei. Na studiach uczono mnie o konstytucji, wydawało mi się, że każdy jest równy wobec prawa, że jest zasada legalizmu. I ja w to wszystko uwierzyłam. Będąc adwokatem, czułam szacunek do sądu. Potem zetknęłam się z politycznymi sprawami wymyślonymi po to, by uderzyć w mojego męża, i rozbiłam się jak o skałę. Moglibyśmy podać dziesiątki przykładów. To, że prokuratura jest upolityczniona, jest tak dojmujące. Nagle się



”
**TO, CO WOBEC MNIE
ROBIONO, JEST NAJBARDZIEJ
PERFIDNĄ OPERACJĄ
W HISTORII PROKURATURY,
OPARTĄ NA CZYSTYM
KŁAMSTWIE**

KRZYSZTOF BREJZA

okazuje, że przyjeżdżam do Ostrowa Wielkopolskiego z pokrzywdzonym Krzysztofem Brejzą, który został nielegalnie podsłuchany, siedzę tam i czuję się, jakbym siedziała przed prokuratorem z kryminalistą.

Tak was traktują?

D.B.: Czuję, że takie osoby jak my w tym państwie nie mogą znaleźć żadnej pomocy.

K.B.: Kryje się za tym koniunkturalizm prokuratorów, kręgosłupy z gumy, brak zasad i płynięcie z prądem.

Oni nie czują, że ta sprawa jest sklecona z niczego?

D.B.: Wszyscy to wiedzą, ale chodzi tylko o to, jak się można w tym momencie urządzić i co się opłaca. To jest przerażające, że doszliśmy do takiego punktu w naszym państwie. Tak funkcjonuje wymiar sprawiedliwości po części i w całości prokuratura. Oczywiście grzechem pierworodnym jest skrajne upolitycznienie wymiaru sprawiedliwości, skrajne upolitycznienie służb i to, że istnieje zespolenie przestępcze pomiędzy służbą specjalną, prokuraturą i telewizją rządową. To, co w służbach zostaje pozyskane i często zafalszowane, przecieka później, przy aprobacie prokuratury, do telewizji rządowej, i tam jest publikowane i tam rozkręca się kampanię hejtu. Proszę mi powiedzieć, jaka jest różnica między tymi metodami a tym, co w latach 80. robiła SB?

Może pani powinna wejść do polityki i zmieniać ją od środka?

D.B.: Nie mam takich planów. Nie myślałam nigdy, że będę angażować się publicznie. Robię to, bo uważam, że sprawa tego wymaga.

Będzie pan startował do Sejmu czy do Senatu?

K.B.: W poprzednich wyborach zdobyłem mandat do Senatu, teraz będę kandydował tam, gdzie będę potrzebny. To są kluczowe wybory dla losów Polski, zrobię wszystko, żeby siły dobra i demokracji zwyciężyły.

Dlaczego to wszystko poszło w taką stronę? Przecież w 2005 r. PiS i PO miały tworzyć koalicję.

D.B.: Widać, że PiS jest bezwzględna partią władzy. Władza jest im potrzebna przede wszystkim po to, żeby budować swoją oligarchię i zapewnić swoim ludziom korzyści materialne. Ich determinacja do zachowania władzy jest tak wielka, bo z ich rzą-

dami wiąże się bardzo dużo przestępstw, które powinny być rozliczone przez prokuraturę.

Kto nadaje ton w waszym związku, żona czy pan?

K.B.: Nikt nie dominuje, wspólnie wypracowujemy decyzje.

Sprawa Pegasusa scementowała wasz związek czy osłabiła?

D.B.: Żyjemy zgodnie od zawsze. Przy tej sprawie zaczęliśmy pracować wspólnie, bo to, co ja robię, to jest pełna obsługa prawna.

Nie myślała pani, że jako żona nie jest pani obiektywna i może nie powinna reprezentować męża?

D.B.: To na pewno nie jest proste, bo włączają się emocje i dużo trudniej jest prowadzić takie sprawy, ale uznałam, że ja zrobię to najlepiej. To jest coś, co nas jeszcze bardziej scementowało.

K.B.: Czasami, jak jeździmy po Polsce, przychodzą do nas ludzie, którzy widzą, jak ta mechanika władzy wygląda, i opowiadają swoje historie. Mamy poczucie, że osób, które są niszczone, na różnych szczeblach, od polityki przez przedsiębiorczość po życie społeczne, jest dziś sporo. Ale PiS ma dużego pecha, że trafiło na nas, bo nam chce się walczyć.

D.B.: Sprawy sądowe to tylko jeden obszar. Jeździmy też po Polsce, spotykamy się z ludźmi i rozmawiamy na temat Pegasusa, co zrobić, żeby to się nie powtórzyło. Bardzo dużo osób przychodzi na te spotkania.

K.B.: Rozmawiamy o współczesnym autorytaryzmie, a historia Pegasusa jest takim Orwellem nie 1984 roku, tylko 2024. To są bardzo niebezpieczne narzędzia cyfrowe, prezydent Biden właśnie zakazał używania Pegasusa przez agendy rządowe w USA. To jest pytanie o demokrację, o to, czy społeczeństwo będzie sterowane za chwilę przez służby kontrolujące w pełni ich życie, prześwietlające telefony, życie zawodowe i prywatne.

Jak ludzie na was reagują na spotkaniach?

K.B.: Dostajemy bardzo dużo wsparcia i życzliwości. Ludzie czują, w jakim kierunku idzie Polska, i że to jest bój o zasady, o to, jak działa państwo, jak wiele wolno służbom. Mamy zdegenerowane służby, prokuraturę, telewizję rządową, próby wpływania na sądy, czyli takie domknięcie układu. My ten układ demaskujemy. I nie damy się zniszczyć. **N**

renata.grochal@newsweek.pl

POLITYCZNE ZŁOTO

Andrzej Stankiewicz

Konfederacja Nowogrodzka



Pamiętam okładkę „Newsweeka” sprzed lat wzorowaną na stare, ślubne zdjęcie. Rumiany, szelmowsko uśmiechnięty Jarosław Kaczyński jako pan młody, zaś w roli jego uroczej oblubienicy wąsаты Janusz Korwin-Mikke. Było lato 2014 r. i Kaczyński szukał potencjalnych koalicjantów, by kilkanaście miesięcy później pobić Tuska w wyborach.

Ślubne zdjęcie nie wytrzymało próby czasu – Kaczyński wygrał samodzielnie, zaś Tusk uprzednio wyjechał z Polski. Nie znaczy to, że małżeńska konsumpcja została całkowicie wykluczona. Otóż polityczne pożycie, które nie było dekadę temu potrzebne Kaczyńskiemu, może być teraz koniecznością. Tyle że sędziwego Korwina zastąpią jego młodzi następcy – równie nieobliczalni, ale politycznie dla prezesa PiS bardziej niebezpieczni.

Rok 2014 dla korwinowej prawicy był fundamentalny, stąd ta okładka. Wówczas po raz pierwszy od ponad dwóch dekad partia Korwina przekroczyła wyborczy próg. Udało się jej wejść do Parlamentu Europejskiego i wyglądało na to, że to początek triumfalnego odrodzenia i sukces w wyborach sejmowych jest o krok. Ale Korwin do Sejmu w 2015 r. się nie dostał. Utknął w europarlamencie, na przemian się tam awanturując i przysypiając, czyli oddając się swoim ulubionym rozrywkom.

I wtedy przyszedł przełom. Na przełomie 2018 i 2019 r. korwiniści zwąchali się z narodowcami, którzy także latami mieli problem, żeby wejść do Sejmu. Potem dokooptowali cara teorii spiskowych Grzegorza Brauna, antyaborcyjną Kaję Godek, piwosza Marka Jakubiaka i dawnego rapera Liroya. Wyglądało to trochę jak przepehiona szaleńcami arka Noego, ale tak się rodziła Konfederacja.

Nie od razu zażarło. W eurowyborach 2019 r. byli o krok od sukcesu, ale ostatecznie nie udało im się przekroczyć progu. Kaczyński wówczas triumfował, zdobywając rekordowe 45 proc. poparcia i w ogóle się na prawo nie oglądał. Popęnił grzech pychy.

Konfederacja się przegrupowała, korwiniści i narodowcy pozbyli się całej menażerii poza Braunem. W tej zwartej grupie jesienią 2019 r. brawurowo weszli do Sejmu, przy zdumieniu Kaczyńskiego. Na ostatniej kampanijnej prostej PiS chciało nawet zatopić Konfederację. Mag z TVP Jacek Kurski próbował podebrać jej wyborców, wprowadzając do kampanii PiS wątki antyukraińskie i antysemitki, na których już wówczas grali konfederaci. Nic to nie dało. Jesienią 2019 r. prezes PiS zrozumiał, że jeden z fundamentów jego polityki – pilnowanie prawej flanki tak, aby nic tam nie wyrosło – legł w gruzach.

Dzisiaj widzimy konsekwencje tej klęski. Po ośmiu latach rządów PiS opartych na antysystemowej, antyunijnej i wymierzonej w mniejszości retoryce Konfederacja szybuje w sondażach. W ostatnim badaniu Ipsos dla OKO.press i TOK FM znalazła się na podium i z poparciem 11 proc. wyprzedziła Polskę 2050 i Lewicę.

Te wzrosty to efekt zmiany nastrojów na wsi, która jest wściekła na PiS za nieudolną operację przerzucania przez Polskę ukraińskiego zboża tranzytem do Afryki i Azji. Ale to zjawisko szersze. Tak naprawdę to Kaczyński jest ojcem chrzestnym Konfederacji. Przez dwie kadencje rządów wypuścił z butelki wiele dżinów, które konfederaci przechwycili i zrzęcznie rozpuścili.

Donald Tusk przekonuje na spotkaniach z wyborcami, że Konfederacja to przybudówka PiS, dzięki której Kaczyński zachowa władzę po wyborach. Faktem jest, że prezes tak utuczył konfederatów – mimowolnie, ale jednak – że po wyborach mogą wejść do rządu.

Tak naprawdę to Kaczyński jest ojcem chrzestnym Konfederacji. Przez dwie kadencje rządów wypuścił z butelki wiele dżinów, które konfederaci przechwycili i zrzęcznie rozpuścili

Dzisiaj na ślubnym zdjęciu z prezesem nie stałby już jednak wąsаты Korwin, bo wychowankowie odesłali go na emeryturę. Konfederacja to teraz niespełna 40-latkowie Sławomir Mentzen i Robert Winnicki oraz 41-letni Krzysztof Bosak, mimo młodego wieku bardzo doświadczeni politycznie. Kaczyński to stary lis, ale z młodymi wilczkami będzie mu niełatwo, zwłaszcza że zwykł rządzić sam i nikogo przed czterdziestką nie szanuje. Do tego jest schorowany i przed emeryturą, a oni młodzi i z perspektywami zarządzania prawicą przez kolejne dekady.

Politycy antypisowskiej opozycji uważają, że sondażowy skok Konfederacji przyszedł za szybko i formacja Mentzena, Winnickiego i Bosaka nie utrzyma go do wyborów. Może nie utrzyma, ale niemal na pewno umocni się w porównaniu z ostatnimi wyborami, gdy zdobyła niespełna 7 proc. głosów, co przełożyło się na 11 mandatów.

A jeśli weźmie się jeszcze na tapetę program Konfederacji: wystąpienie z Unii, całkowity zakaz aborcji, pomysły na „nierozzerwalne” małżeństwa, to w razie koalicji z PiS mamy gotowy scenariusz na cyrk.

Prezes nie uśmiechałby się na tegorocznej okładce „Newsweeka”. **N**

Andrzej Stankiewicz jest dziennikarzem Onetu i współtwórcą podcastu „Stan wyjątkowy”



PIS

es



Newsweek NA WIELKANOC

CO OZNACZA TRZECIA KADENCJA PiS

DO DYKTATURY JEDEN KROK

Jeśli PiS wygra wybory, to będzie koniec Polski, jaką znamy. Czeką nas państwo narodowo-katolickie, mafijne, opresyjne wobec kobiet, mniejszości i przeciwników politycznych. Dyktatura miernot

TEKST ALEKSANDRA PAWLICKA ILUSTRACJA PIOTR CHATKOWSKI

Beata Szydło powiedziała w niedawnym wywiadzie: „Kolejna kadencja PiS pozwoli dokończyć zmiany w Polsce, uczynić je niemożliwymi do cofnięcia”. To rzucone mimochodem w potoku deklaracji wyborczych zdanie obnaża prawdziwe intencje PiS – uczynienia z Polski partyjnego folwarku, na którym miejsce jest tylko dla swoich – polityków i wyborców.

CAPO DI TUTTI CAPI

– DROGĘ, JAKĄ PRZESZŁO PiS OD MOMENTU OBJĘCIA WŁADZY, MOŻNA PODZIELIĆ NA DWA ETAPY. Pierwszy to okres radykalnych zmian, które doprowadziły do naruszenia trójpodziału władzy i instytucjonalnej dezorganizacji państwa – mówi Aleksander Smolar, były szef Fundacji im. Batorego. – Zaczęło się – wylicza – od Trybunału Konstytucyjnego i rozmontowania systemu sędziowskiego. Potem nadwerżono zasady funkcjonowania władzy ustawodawczej, m.in. likwidując debaty parlamentarne i skracając w sposób skandaliczny wypowiedzi posłów opozycji. I w końcu zniszczono niezależność władzy wykonawczej, bo nie bez powodu ciągle powtarzamy, że prawdziwa władza znajduje się nie w Kancelarii Premiera, tylko na ulicy Nowogrodzkiej i jest pozbawiona wszelkiej kontroli. Do tego zakwestionowano kryteria kompetencji w nominacjach w administracji publicznej i w spółkach (formalnie) skarbu państwa

– To pierwszy etap przejścia Polski przez PiS. A drugi? – pytam.

– To zanik wymiaru ideowego i czas konsumowania owoców dokonanych zmian. Celem PiS stało się eksploataowanie państwa nie tylko dla prywatnych zysków, choć z tym mamy w ostatnim okresie najczęściej do czynienia. Korupcja, nadużycia, kradzieże na tak wielką skalę są możliwe, bo rozmontowano mechanizmy kontroli. Jednak ważniejsza od korupcji prywatnej jest korupcja systemowa: odsysanie publicznych pieniędzy, aby zabezpieczyć i utrwalić władzę PiS – odpowiada Smolar.

– PiS wyspecjalizowało się w wyprowadzaniu państwowej kasy na budowanie własnej nomenklatury jak w czasach PRL. Jesteśmy świadkami tworzenia kasty uprzywilejowanych. I jeśli PiS wygra, ona będzie umacniana dzięki poczuciu absolutnej bezkarności – mówi Joanna Kluzik-Rostkowska, posłanka PO, w przeszłości minister w pierwszym rządzie PiS.

– Ja powiedziałbym raczej, że przypomina to państwo mafijne. W nomenklaturze były jednak mechanizmy kontroli. Nawet wódz nie podejmował decyzji sam, bo miał biuro polityczne i komitet centralny, z którymi musiał się liczyć. W Polsce PiS decyduje podejmuje *capo di tutti capi*, szef wszystkich szefów, i nawet najbliżsi współpracownicy nie są w stanie przewidzieć, jaka będzie decyzja Kaczyńskiego – uważa Smolar.

Jedną z pierwszych po ewentualnej wygranej ma być reforma samorządowa. – Kaczyński nienawidzi prezydentów wielkich miast i zrobi wszystko, aby przejąć samorządy i ich fundusze – mówi były koalicyjant PiS i wyjaśnia: – Projekt jest gotowy od dawna, tylko pandemia i wojna powstrzymały PiS od jego realizacji, bo lepiej było nie ruszać dobrze funkcjonujących samorządów i zrzucić na nie coraz to nowe zadania.

Projekt – według mojego rozmówcy – to powrót do rozdrobionych województw, 49 albo i 50. Nowe stanowiska do obsadzenia, wdzięczność i lojalność nominowanych, a przy okazji reorganizacji przesunięcie kompetencji samorządowych marszałków do wojewodów podporządkowanych politycznej centrali. Trzecia kadencja PiS oznacza, że samorządy w dzisiejszym kształcie są pozamiatane.

PRAWO DLA WŁADZY

W DOMYKANIU SYSTEMU KONIECZNE SĄ OSTATECZNE ZMIANY W SĄDOWNICTWIE. Tak, aby jedynym obowiązującym prawem było prawo służące władzy.

– Podobno w szufladzie prezesa Kaczyńskiego i ministra Ziobry czeka plan spłaszczenia struktury sądów, począwszy od likwidacji rejonowych, na redukcji Sądu Najwyższego skończywszy – mówi mec. Sylwia Gregorczyk-Abram, współtwórczyni organizacji Wolne Sądy.

Likwidacja sądów rejonowych oznacza utratę pracy wielu sędziów. Sądy okręgowe – według tego projektu – mają być zredukowane do jednego w województwie. Powstaną za to zupełnie nowe sądy regionalne, do których trafiać będą najważniejsze sprawy, łącznie z kasacjami, bo te mają być wyjęte z Sądu Najwyższego. – Decyzja o tym, że to Sąd Najwyższy rozpoznaje kasacje, była podyktowana tym, że zasiadały tam zawsze osoby o ogromnym doświadczeniu, autorytecie i wiedzy. Do sądów regionalnych będą zapewne powoływani lojalni sędziowie – mówi Gregorczyk-Abram i dodaje: – Sąd Najwyższy wciąż się broni. Tak zwani starzy sędziowie, powołani przez legalną KRS, używają wszystkich dostępnych instrumentów, aby powstrzymać destrukcję wymiaru sprawiedliwości, wysyłają pytania prejudycjalne do sądów europejskich, odmawiają orzekania z neo-sędziami, dlatego PiS, aby się ich pozbyć, dokona redukcji Sądu Najwyższego.

– Czym miałyby zajmować się taki Sąd Najwyższy? – pytam.

– Zatwierdzaniem wyborów, sprawami regulacyjnymi, dawaniami koncesji mediom... Byłyby to sąd całkowicie podległy władzy na wzór obecnego Trybunału Konstytucyjnego – odpowiada Gregorczyk-Abram.

Były rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar nie ma wątpliwości, że głównym celem domykania systemu jest wyczyszczenie go z niepokornych sędziów: – W spłaszczeniu struktury sądów nie chodzi o zwiększenie jego efektywności, ale stworzenie pretekstu do rozliczeń. Już dziś władza nadużywa skargi nadzwyczajnej w stosunku do niezależnych sędziów. Jeśli PiS dostanie nowy mandat, będzie używać tej skargi jeszcze częściej, bo kto mu zabroni?

W szufladach jest także pomysł weryfikacji wszystkich sędziów przez neo-KRS przy okazji reorganizacji sądownictwa. Ci, którzy nie zechcą się mu poddać, bo nie uznają legalności neo-KRS, będą musieli się liczyć z pozbawieniem możliwości wykonywania zawodu. – Reorganizacja oznacza, że sędziowie zostaną postawieni przed wyborem: lojalność wobec władzy i awans – degradacja albo wręcz przejście w stan spoczynku. Sądownictwo czeka powtórka z tego, czemu została poddana proku-

ratura. Tam domknięcie reformy poskutkowało tym, że wielu znakomitych prokuratorów, jak Krzysztof Parchimowicz, ściga dziś sprawców kradzieży rowerów albo zostało oddelegowanych do prokuratur odległych o kilkaset kilometrów od ich miejsc zamieszkania. Awansują tylko ulegli wobec władzy – mówi Gregorczyk-Abram.

Bodnar dodaje, że Ziobro może dostać też możliwość rozprawienia się z organizacjami zrzeszającymi niezależnych prawników, jak prokuratorskie Lex Super Omnia czy samorządy adwokacki i radcowski. W Trybunale Konstytucyjnym czeka na zielone światło wnioski o zniesienie obowiązkowej przynależności do tych samorządów. – Jeśli tak by się stało, to bardzo osłabiłoby samorządy zawodowe, które wciąż są mocnym głosem sprzeciwu wobec działań rządu. Skazałoby odważnych adwokatów i radców na samotną walkę i było prostą drogą do inicjowania przez rządzących własnych, uległych mu schizm samorządów zawodowych – uważa Bodnar.

Pytanie, co takie domknięcie zmian w sądownictwie oznacza dla zwykłego obywatela?

– Zawsze to samo, bezbronność wobec władzy. Jeśli nie będzie żadnej niezależnej instytucji, która stanęłaby w obronie obywatela, żadnej tarczy chroniącej go przed opresją władzy, to władza

może zrobić z obywatelem, co chce – odpowiada Gregorczyk-Abram. Nie mówiąc o chaosie wynikającym z kolejnej zmiany. Już dziś skutek działań rządu PiS obywatel czeka na rozpatrzenie sprawy o pięć miesięcy dłużej niż w 2015 roku.

KNEBEL DLA OBYWATELA

CO WIĘC TRZECIA KADENCJA PiS MOŻE OZNACZAĆ DLA PRAW CZŁOWIEKA I WOLNOŚCI OBYWATELSKICH? – Jest już na tyle źle, że aż strach pomyśleć, co jeszcze może zrobić ta władza pod pretekstem demokratycznego mandatu, którym wciąż się zaśłania – odpowiada Bodnar. Szybko jednak wylicza: – Będą wykorzystane wszystkie instrumenty prawne, aby uciszać krytyków. Jak na granicy polsko-białoruskiej, gdzie krytyka funkcjonariusza uruchamia zaangażowanie aparatu państwa. To będzie stosowane na masową skalę zwłaszcza po podporządkowaniu sądów, gdy trudniej będzie uzyskać wyroki uniewinniające w przypadku obywatelskiego nieposłuszeństwa. Zasada: milczcie, bo utrudnimy wam życie, to knebel dla obywatela.

Poważnych kłopotów mogą spodziewać się organizacje pozarządowe. PiS ma gotowy projekt ustawy o ograniczeniu finansowania NGO z funduszy zagranicznych. Dla wielu organizacji oznacza to być albo nie być, bo jak mówi Adam Bodnar: – Ta władza

REKLAMA

601 Tragedia Buczy



w reżyserii dziennikarki „Newsweeka”
Agnieszki Żądło

I miejsce w kategorii
średniometrażowy film dokumentalny
na The Alternative Film Festival w Toronto



Zeskanuj kod
i obejrzyj zwycięski
dokument dzięki
subskrypcji Onet Premium

PIERWSZY FILM DOKUMENTALNY „NEWSWEEKA”

Dziennikarstwo do potęgi

Newsweek
POLSKA

kocha tylko te NGO-sy, które nie krytykują rządu i realizują jego cele. A te, które się z nim nie zgadzają czy występują w obronie grup wykluczonych i represjonowanych, jak migranci, LGBT+ czy prawa kobiet, mogą być narażone na ograniczenie finansowania i tego, czym się zajmują.

– Państwo PiS już dziś jest opresyjne wobec kobiet i ich praw. I ta opresyjność będzie się tylko pogłębiać. To, co osiem lat temu było dla mnie nie do wyobrażenia, czyli zaostrzenie prawa antyaborcyjnego, okazało się dla PiS możliwe. Dla tej władzy nie ma znaczenia, że w konsekwencji tej decyzji umrze ileś kobiet, bo lekarze będą bali się im pomóc – mówi Kluzik-Rostkowska.

” PRZYPOMINA TO PAŃSTWO MAFIJNE. W PRL-OWSKIEJ NOMENKLATURZE BYŁY JEDNAK MECHANIZMY KONTROLI, A W POLSCE PiS DECYZJE PODEJMUJE CAPO DI TUTTI CAPI

ALEKSANDER SMOLAR, BYŁY SZEF FUNDACJI IM. BATOREGO

– Można spodziewać się ograniczeń w niesieniu pomocy aborcyjnej, na co wskazuje niedawny wyrok w sprawie Justyny Wydrzyńskiej. Stan, który już dziś jest sprzeczny z prawami człowieka, będzie ulegał pogorszeniu – uważa Bodnar. Należy też oczekiwać utrudnień w rozwodach, przeciwdziałaniu przemocy domowej, chronieniu sprawcy, a nie ofiary gwałtu. I trzeba będzie zapomnieć o związkach partnerskich, prawie do korekty płci, in vitro. Prawa człowieka staną się zakładnikiem ideowej moralności władzy.

GRA NA PODZIAŁY

– DEKLARACJA PANI SZYDŁO BRZMI JAK PRZESTROGA, WRĘCZ GROŹBA, choć to oczywiście bardzo naiwne myślenie, że można skonstruować świat na swoją modłę i on się nie będzie zmieniał. Biorąc jednak pod uwagę to, co ta partia wyprawia przez ostatnie lata, najbliższe wybory rzeczywiście zdecydują o tym, czy zdołamy obronić Polskę demokratyczną. Dokładnie pamiętam, od czego zaczęło PiS swoje rządy – mówi Joanna Kluzik-Rostkowska. – Pierwsze wystąpienie Jarosława Kaczyńskiego po wygranych wyborach nie było podziękowaniem dla zwolenników i zapewnieniem przeciwników, że wszystkich będzie traktował równo. W kraju demokratycznym po kampanii wyborczej zasypuje się podziały. Tu od samego początku mieliśmy komunistów i złodziei, grę na głębokie podziały. Trzecia kadencja oznacza, że PiS chce dzielić jeszcze bardziej.

– Siłą PiS jest zmonopolizowanie dwóch projektów wspólnotowych: narodowego, w formie nacjonalistycznej, oraz religijnego, związanego z Kościołem katolickim. Po czasach transformacji i zmęczenia społeczeństwa kosztami przemian wiara w jednostkę i indywidualną drogę kariery doznała głębokiego kryzysu. PiS miało na ten kryzys gotową odpowiedź, której opozycja nie miała. Odpowiedź, której istotną częścią była polityka redystrybucji, odczuwana przez dużą część klasy ludowej jako przejaw sprawiedliwości – mówi Aleksander Smolar.

– To prawda – przyznaje Kluzik-Rostkowska – spór o to, jaka ma być Polska, dotyczy tego, ile wolno jednostce. Jak bardzo ważne są jej prawa. PiS gra na wspólnotę, która minimalizuje, wręcz unieważnia prawa jednostki. Tworzy wspólnotę kosztem jednostki. Kaczyńskiemu marzył się powrót do 1989 roku i postawił na my i oni, i uznał, że jedyna wspólnota, na którą warto postawić, to wspólnota katolicka.

Temu podporządkowany jest cały projekt światopoglądowy PiS. Edukacja i kultura są jego siłą napędową. – Nowoczesna edukacja nastawiona jest na indywidualizm. Chodzi o to, aby z każdego dziecka wydobywać to, co najlepsze, uczyć go krytycznego myślenia, podejmowania ryzyka. Tymczasem to, co buduje Czarnek przez podstawy programowe i ręczne sterowanie edukacją, to szkoła wychowująca posłusznego, bezkrytycznego nawet nie obywatela – bo obywatelskość zakłada podmiotowość – ale zwolennika PiS. Aby poczuł się członkiem wspólnoty, którą PiS mu zbuduje i w której jednostka niczym, a naród wszystkim – dodaje Kluzik-Rostkowska, która była ministrem edukacji.

Wprężnięcie edukacji w budowanie nowego społeczeństwa nie dotyczy tylko szkolnictwa podstawowego i średniego. Coraz silniej naciski polityczne odczuwają też uczelnie wyższe. Adam Bodnar obawia się dalszego ograniczenia ich autonomii: – Może się to odbywać na dwa sposoby. Pierwszym jest tworzenie alternatywnych struktur, czego przykładem utworzona właśnie Akademia Kopernikańska; własne uczelnie, do których popłyną fundusze. I drugi sposób to dyscyplinowanie nauczycieli akademickich oraz autocenzura – odwoływanie wykładów, jak Hanny Machińskiej, czy wstrzymywanie się od działań, jak w przypadku Oskara Szafarowicza, studenta prawa i działacza młodzieżówki PiS, który ujawnił dane Mikołaja Filiksa. Koledzy z wydziału próbują wszczać przeciwko niemu sprawę dyscyplinarną i nie ma na to szans. To przypadki z największych uczelni w kraju, a co dopiero mówić o małych ośrodkach walczących o przeżycie?

TEATR MIERNYCH KONFORMISTÓW

– PANI SZYDŁO MA RACJĘ, MÓWIĄC, ŻE PARTIA CHCE DOKOŃCZYĆ ZMIANĘ POLSKI PO WYBORACH. Ja myślę nawet, że wykończyć, bo po kolejnej kadencji nie będzie już co zbierać. Wszystkie tendencje, które zarysowały się w ciągu ostatnich lat, zostałyby ugruntowane – komentuje Jan Klata, reżyser teatralny, który jako jeden z pierwszych padł ofiarą pisowskiej miotły w kulturze. Wyrzucenie go z funkcji dyrektora Starego Teatru w Krakowie zapoczątkowało ciąg destrukcyjnych zmian na polskich scenach i ich desperacką walkę o niezależność polityczną.

Stary to jeden z trzech do niedawna teatrów narodowych podlegających bezpośrednio ministrowi kultury (obok Teatru Wielkiego w Warszawie i Opery Narodowej). Od tygodnia mamy jednak kolejną scenę narodową – Teatr Klasyki Polskiej, który zainauguruje działalność „Zemstą” Fredry.

– Mecenat w przypadku min. Glišńskiego należy zamienić słowem cenzura. Za pieniędzmi idzie bowiem kontrola wolności artystycznej. Strzeż się prawicy niosącej dary – mówi Jan Klata i dodaje: – Wiemy już, że w przedsięwzięciach PiS nie pojawią się wybitne osobowości artystyczne, bo takich ta partia nie ma. Ma za to miernoty, które korzystają na tym, że prawica czyści kulturę i w miejsce wyczyszczonych wchodzi ci, którzy wiedzą, gdzie są konfitury i komu je zawdzięczają. Trzecia kadencja to byłby czas konformizacji miernot.

Od czasów Ajschylosa – przypomina Klata – teatr służył temu, aby wspólnota namyślała się nad sobą, również nad swoimi błędami, nad tym, jak ich uniknąć. Aby to było możliwe, teatr musi być ucziwie krytyczny, a nie służalczo gloryfikujący. Autocenzura to spełnione marzenie każdej władzy autorytarnej – dodaje reżyser.

W ograniczaniu wolności przekazu kluczowa jest również walka z wolnymi mediami. PiS wielokrotnie podejmowało pró-

bę ich spacyfikowania, więc trzecia kadencja może oznaczać sfinalizowanie sprawy. – Polityka przejmowania niepokornych mediów, osłabiania ostrza ich krytyki za pomocą metod biznesowych i regulacyjnych będzie podążać w tym kierunku. Może zostawią jakieś enklawy dla utrzymania pozorów wolności słowa, ale kolejna wygrana PiS będzie dla wolnych mediów kagańcem cenzury – uważa Adam Bodnar.

– Wolne media to czwarta władza, której PiS wciąż nie zdołało zniszczyć. A to, jakich mediów chciałby Kaczyński, widać w mediach publicznych, z których jeżeli coś zostało publicznego, to skojarzenie z domem publicznym – komentuje Aleksander Smolar. Dotychczas – dodaje – władza PiS w przeprowadzaniu swoich zmian musiała negocjować z rzeczywistością, nie mogła pójść do końca, narzucić całkowitej dominacji. Jeśli jednak potraktować to, co mówi Szydło, jako wyartykułowane zamiary PiS, to celem tej partii jest pełna dyktatura. Stworzenie formy państwowej, którą można nazwać narodowokatolicką Polską kontrolowaną przez PiS i osobiście przez Kaczyńskiego.

Polska w jasyrze Nowogrodzkiej. **N**

aleksandra.pawlicka@newsweek.pl

80. ROCZNICA POWSTANIA W GETCIE WARSZAWSKIM

450 tys. żonkili i sześć miast

Już za tydzień w „Newsweeku” znajdziecie naklejki z żonkilami, które będzie można przypiąć 19 kwietnia na znak pamięci o Żydach z warszawskiego getta

Akcję Żonkile Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN organizuje już po raz jedenasty. Naklejki z żonkilami otrzymają czytelnicy „Newsweeka” i „Tygodnika Powszechnego”. Jak zwykle papierowe żonkile będą też rozdawać tysiące wolontariuszy. Po raz pierwszy nie tylko na ulicach Warszawy, ale też pięciu innych miast: Łodzi, Lublina, Białegostoku, Wrocławia i Krakowa.

Jeśli ktoś nie kupi gazety ani nie trafi na wolontariusza, może samodzielnie złożyć papierowy żonkil. Szablon znajduje się na stronie POLIN (https://polin.pl/system/files/attachments/szablonpl_0.pdf)

Muzeum POLIN chce w tym roku rozdać w Polsce 450 tys. papierowych kwiatów – tyle osób przebywało w warszawskim getcie w chwili jego największego przeludnienia. Z inicjatywy prezydenta Warszawy



19 IV 1943

POWSTANIE
W GETCIE
WARSZAWSKIM

Rafała Trzaskowskiego 150 tys. dodatkowych papierowych żonkili trafi też do gmin i organizacji żydowskich na całym świecie.

Organizatorzy zachęcają do popularyzacji akcji Żonkile w mediach społecznościowych, z hasztagami #ŁączyNasPamięć i #AkcjaŻonkile

Na Instagramie można użyć specjalnego efektu z żonkilem (<https://www.instagram.com/ar/1270925483491925/>).

Warto też oznaczyć profil muzeum – @polinmuseum

dac



DZIAŁACZE PiS UZBROJENI W STOŁKI

Polska Grupa Znajomości

Lada moment do polskiej zbrojeniówki popłyną pieniądze, jakich branża nie widziała od dekad. Czy z zamówieniami kluczowymi dla naszej obronności poradzi sobie firma po brzezi wypełniona partyjnymi nominatami?

TEKST JAKUB KORUS

W roku wyborczym drzwi do polskiej zbrojeniówki nie chcą się zamykać.

Huta Stalowa Wola, 15 lutego. Premier Mateusz Morawiecki z polską flagą i reporterami opancerzonymi Rosomak za plecami ogłasza dokapitalizowanie fabryki kwotą 1,8 mld złotych. Duże pieniądze trafią też do zakładów Autosan na produkcję niszcycieli czołgów, które są „dziś tak bardzo potrzebne na współczesne pola walki”.

Rocznica wybuchu wojny, 24 lutego, hala Łuczniaka w Radomiu. Pozując na tle skrzynek z amunicją, szef MON Mariusz Błaszczak informuje o zatwierdzeniu kontraktu na karabinki MSBS Grot oraz karabiny wyborowe. Łącznie do 2026 roku radomskie zakłady mają dostarczyć polskiej armii blisko 200 tys. sztuk broni za ponad 2 mld złotych. – Chcemy jak najszybciej przebroić Wojsko Polskie z broni postsowieckiej – mówi Błaszczak. Towarzyszy mu poseł tej ziemi, Marek Suski.

17 marca w Łuczniku jest Andrzej Duda w towarzystwie szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego Jacka Siewierzy i prezesa Polskiej Grupy Zbrojeniowej Sebastiana Chwałka. – W Polsce powinniśmy dysponować milionem sztuk broni strzeleckiej – zapowiada prezydent.

BROŃ I AMUNICJA

ŁUCZNIK TO MODELOWY PRZYKŁAD TEGO, jak Zjednoczona Prawica obsadziła zbrojeniówkę swoimi ludźmi. Przewodniczącym rady nadzorczej jest Paweł Sobczyk, jednocześnie dyrektor departamentu w Ministerstwie Aktywów Państwowych, wcześniej radca prawny w MON. W radzie nadzorczej zasiada Aneta Kordowska, urzędniczka KPRM, wcześniej zaangażowana w kampanię prezydenta Dudy. Prezesem zarządu jest Wojciech Arndt, doktor nauk prawnych, specjalista teorii filozofii prawa oraz prawa konstytucyjnego. Za poprzednich rządów PiS był szefem gabinetu politycznego ministra edukacji Ryszarda Legutki, a w kampanii prezydenckiej członkiem komitetu honorowego Dudy.

Podobnie jest w innych zakładach zbrojeniowych. W skarżyskim Mesko w radzie nadzorczej do początku marca zasiadał Piotr Ziubroniewicz, członek Stowarzyszenia Odnowa Rzeczypospolitej Marcina Ociepy, a prezesem jest Elżbieta Śreniawska, radna PiS z Kielc (laureatka zeszłorocznej nagrody „Gazety Polskiej Codziennie”). W połowie zeszłego roku firma podpisała z polską armią kontrakt na 3500 przenośnych przeciwlotniczych zestawów rakietowych Piorun za 3,5 mld złotych.

Wizyta prezydenta
Andrzeja Dudy
w radomskiej Fabryce Broni
Łuczniak, marzec 2023 r.

FOT. PIOTR POLAK/PAP

Mało? W warszawskiej firmie Cenzin radzie nadzorczej szefuje Łukasz Kudlicki, szef gabinetu politycznego MON, absolwent akademii teologicznej, członek zarządu Fundacji na rzecz Obrony Pamięci Historii Polski Reduta PWPW. Członkami rady są też Marcin Wawrzyniak, o którym Michał Dworczyk pisał w mailach „nasz człowiek w TS” [Trybunał Stanu – red.], oraz Radosław Sosnowski, pisowski radny zatrudniony w Kancelarii Prezydenta. W PGZ samorządowców jest więcej.

W radzie nadzorczej bydgoskich zakładów Belma znalazł posadę powiatowy radny z Parchowa Marek Sildatk, były główny inspektor rybołówstwa morskiego, jeszcze wcześniej szef bytowskiego oddziału Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. W Wojskowych Zakładach Uzbrojenia ma zajęcie Krzysztof Heronim Wrzeński, radny PiS z Płońska. Listę zamyka działający w Belmie Mariusz Bednarski, który w życiowym CV ma między innymi działalność w Stowarzyszeniu na rzecz Adaptacji Budynku na Działalność Ośrodka Duszpasterskiego imienia Jana Pawła II. W zakładach metalowych Dezamet odnalazł się Tomasz Serafin, były urzędnik, uczestnik afery Blue Taxi z 2006 roku (pracujący dziś również w Orlenie).

– Polityczne laufry bez żadnego znaczenia dla rozwoju PGZ. Obdarowani stanowiskami działacze lokalni albo pracownicy firm czy ministerstw z Warszawy, którym trzeba było coś dosypać do pensji. Jednak jeszcze większym problemem od samych członków rad nadzorczych są prezesi. Jak branża zbrojeniowa ma wyjść z impasu, skoro w Mesko mamy panią, która wcześniej zarządzała autobusami w Kielcach? – pyta w rozmowie z „Newsweekiem” Paweł Poncyłjusz, poseł PO oraz członek komisji obrony.

NIEWYKORZYSTANE MOŻLIWOŚCI

OBSDADZENIE RAD NADZORCZYCH POLITYCZNYMI nominatami nie powinno dziwić od czasu afery Misiewiczów. Sęk w tym, że do PGZ płyną dziś kontrakty, których nie widziano od dekad, a konsorcjum współpodwiedzialne za polskie bezpieczeństwo było pod rządami partyjnych nominatów zarządzane tak, że opublikowany 17 lutego 2022 roku raport

Najwyższej Izby Kontroli nie zostawiał na PGZ suchej nitki.

Raport zatytułowany „Niewykorzystane możliwości” wymieniał kilka grzechów głównych: brak strategii, wieloletnie opóźnienia w realizacji projektów, niedotrzymywanie terminów dostaw dla wojska, a co za tym idzie, wielomilionowe kary umowne. Kontrolerzy zwracali uwagę, że w PGZ panują chaos i bałagan, a pomysły sprzedaży eksportowej zmieniano zaraz po tym, jak je przyjęto. Przykład?

”

Z takimi prezesami nikt nie chce rozmawiać. Kontrahenci mi mówią: „Po co ja mam z nimi coś ustalać, skoro za trzy miesiące na ich miejscu będzie ktoś inny?”

EKSPERT BRANŻY ZBROJENIOWEJ

W momencie zakończenia kontroli rola firmy Cenzin specjalizującej się w handlu bronią „ciągle pozostawała niedookreślona”. Jej pracownicy nie szukali nowych rynków zbytu, działali tylko ze starymi partnerami. PGZ była dopiero na 74. miejscu wśród eksporterów broni na świecie.

Jednocześnie PGZ dobijała karuzela kadrowa. W okresie kontroli w połowie spółek córek prezesi zarządu zmieniali się średnio dwukrotnie (na ogół z powodu odwołania bez uzasadnienia przez radę nadzorczą). Te same osoby zajmowały stanowiska prezesów w różnych spółkach, biorąc za to oczywiście dodatkowe wynagrodzenie. Na wspomnianą karuzelę wielokrotnie wsiadał obecny prezes PGZ Sebastian Chwałek. W roku 2018 został wiceprezesem PGZ, potem wrócił do MON, potem znowu został wezwany do PGZ. Według informacji Onetu

jako prezes może zarabiać nawet 80 tys. zł miesięcznie.

Na ile mogą liczyć członkowie rad nadzorczych? Mamy informacje sprzed kilku lat, ponieważ PGZ bardzo niechętnie się nimi dzieli. Na początku pierwszej kadencji PiS kadra kierownicza zarabiała około 11 tys. zł brutto, a członkowie rad nadzorczych niecałe 4 tys. zł (przy czym niektórzy zasiadali w kilku radach).

– Z takimi pracownikami zbrojeniówki nikt nie chce rozmawiać. Znam punkt widzenia zewnętrznych kontrahentów. Pytają mnie: jaki to ma sens? Po co mamy z nimi coś ustalać, skoro za trzy miesiące na ich miejscu będzie ktoś inny? Tylko kompetencje i stabilność kadr dają szansę na nawiązywanie kontaktów – mówi „Newsweekowi” ekspert branży zbrojeniowej, który chce zostać anonimowy.

NA ŁADZIE

FIRMA, KTÓRA MOŻE BYĆ STAWIANA ZA WZÓR W PGZ i która ma własne zasługi na polu innowacji (patrz wieża ZSSW-30 do wozów bojowych), była do tej pory Huta Stalowa Wola. Ale i tu nie brak partyjnych nominatów. W radzie nadzorczej zasiada chociażby Jarosław Kwasek, jednocześnie prezes zarządu w PGE Dystrybucja (prywatnie szwagier Czesława Warszewicza z PKP, członka komisji programowej PiS). Obok niego miejsce ma też Franciszek Zaborowski, radny PiS ze Stalowej Woli oraz Janusz Hamryszczak, niegdyś pisowski kandydat na prezydenta Przemysła, którego w kampanii wspierał Jarosław Kaczyński.

Podobnie jest w spółce wnuczce PGZ, czyli HSW-Wodociągach. W radzie nadzorczej można znaleźć Marcina Chodorka, który do spółki z asystentem europosła Tomasza Poręby zajmował się wydawaniem w Stalowej Woli pisowskiej gazetki.

To istotne, bo Huta Stalowa Wola będzie przez najbliższych kilkanaście lat największym beneficjentem zamówień z MON. Ma wyprodukować ponad tysiąc gąsienicowych bojowych wozów piechoty Borsuk oraz pojazdów towarzyszących (łącznie 1400 maszyn), które mają zastąpić stare BWP-1. To największy projekt polskiej zbrojeniówki od 50 lat.

Wraz z kontraktami pojawiają się jednak pytania i kontrowersje. W połowie lutego działacze stowarzyszenia Nasze Miasta oraz członkowie stalowolskiej Platformy Obywatelskiej rozpoczęli akcję „Tłuste koty plus”. Zarzucili przewodniczącemu rady miasta Stanisławowi Sobierajowi, że dzięki poparciu PiS kolekcjonuje kolejne stanowiska, w tym te w zbrojeniówce. Okazało się, że jest pełnomocnikiem zarządu HSW, a do tego członkiem rady nadzorczej w PGZ Jelcz. W mieście tajemnicą poliszynela miało być to, że przewodniczący długo nie miał nawet matury, przed objęciem samorządowych stanowisk był kierownikiem malarni. Sam twierdzi, że ma wystarczające wykształcenie, w tym dyplom MBA.

Na liście zatrudnionych w Jelczu działacze są oprócz niego Adam Niedziałek, pisowski wiceprzewodniczący rady warszawskiej dzielnicy Bemowo, Mateusz Gutowski, wspólnik w Kancelarii Skowronek-Gutowski (kancelaria obsługiwała m.in. PLL LOT) oraz Jarosław Kudelski z wymienianej już reduty PWPW oraz fundacji Banku PKO. Do tego Paweł Szczeszek, prezes zarządu Tauronu, który w listopadzie wpłacił 45 tysięcy na kampanię PiS, oraz Wioletta Krawczyk-Namyślak, wcześniej w KGHM TFI oraz Polskiej Grupie Uzdrowiskowej kojarzona z przyjacielem premiera Zbigniewem Jagiełłą (były prezes PKO BP). A Jelcz – podobnie jak HSW – to przedsiębiorstwo dla polskiej obronności kluczowe. Pierwsze 18 amerykańskich wyrzutni HIMARS, które dotrą do Polski, będzie na amerykańskich podwoziach. Kolejnych niemal pięć setek ma jeździć na podwoziach Jelcza.

W POWIETRZU I NA MORZU

NIE LEPIEJ SYTUACJA WYGLĄDA W SPÓŁKACH zajmujących się lotnictwem. O Wojskowych Zakładach Lotniczych w Bydgoszczy obszernie pisała w ostatnim „Newsweeku” Małgorzata Świąchowicz („W korkociągu. Śmierć i strach w PGZ”). Ale poza województwem kujawsko-pomorskim jest podobnie. W radzie nadzorczej Wojskowego Centralnego Biura Konstrukcyjno-Technologicznego zasiada chociażby Waldemar Humięcki, pisowski działacz, wcześniej związany z Krajowym

Ośrodkiem Wsparcia Rolnictwa. Towarzyszy mu tam Bogdan Borkowski, niegdyś prezydent Kielc i pełnomocnik MON ds. negocjowania odszkodowań dla rodzin ofiar katastrofy w Smoleńsku. Natomiast Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego PZL Kalisz to już kompletna przechowalnia partyjnych działaczy z regionu. Wśród nich są były polityk PiS Przemysław Przybylski, pisowski radny Krzysztof Dziedzic, radny Marcin Wierchowski oraz kandy-

”

***W USA czy Francji,
trzon rad nadzorczych
takich zakładów
stanowią byli wojskowi,
znający się na rzeczy.
Teolog czy kierownik
malarni takich
kompetencji nie będą
mieć nigdy***

JANUSZ ZEMKE, BYŁY WICESZEF MON

dat na radnego z ramienia PiS Jakub Jan Roszkowski.

– Partyjniactwo wpływa fatalnie na zbrojeniówkę. Mówimy o przedsiębiorstwach specjalistycznych. To nie jest tak, że jeżeli ktoś ogólnie zna się na zarządzaniu, będzie w stanie kierować firmą remontującą samoloty bojowe. Przykładem zakłady w Bydgoszczy. Z rady nadzorczej usuwa się szefa logistyki i techniki wojskowej, a na jego miejsce przychodzą katecheta czy kurator oświaty – komentuje w rozmowie z „Newsweekiem” Janusz Zemke, były wiceminister obrony narodowej.

Pieniądze strumieniem płyną też do stoczni. Konsorcjum złożone ze stoczni remontowej Shipbuilding w Gdańsku, gdyńskiej PGZ Stoczni Wojennej i OBR Centrum Techniki Morskiej ma wybudować

trzy niszczyciele min typu Kormoran II. Zamówienie wraz z pakietem wsparcia logistycznego opiewa na 2,5 mld zł.

Skład rady nadzorczej? Wiktor Grudzień, radca prawny związany z administracją państwową. Obok niego związana z MON Aleksandra Rotnicka, była dyrektor kadr w TVP oraz radny PiS Marek Makuch, gdyński radny PiS oraz szef gabinetu politycznego ministra zdrowia Marek Dudziński i samorządowiec Paweł Lulewicz. W radzie nadzorczej PGZ Stoczni Wojennej jest też Dariusz Wójcik, który zasłynął opinią, że „Niemcy powinno się bombardować co 50 lat bez podania przyczyny”.

CYBERBEZPIECZEŃSTWO

NA KONIEC DOMENA CYFROWA. W Wojskowych Zakładach Łączności miejsce znaleźli sobie Dariusz Wasilewski, były prezes białostockiej Młodzieży Wszechpolskiej, działacz z Mazowsza Maciej Więckowski i Jarosław Kudelski związany z Redutą PWPW. W Wojskowych Zakładach Elektronicznych karierę robi Katarzyna Pastuszka-Chrobotowicz, radna PiS z Radomia. W radzie nadzorczej towarzyszy jej Albert Kołodziejewski, kandydat do Sejmu oraz polski Wielki Łowczy, jednocześnie prezes Orlen Serwis (wpłacał pieniądze na kampanię PiS). W zakładach PIT-Radwar zasiadają m.in. Ireneusz Jabłoński, brat postanki Beaty Gosiewskiej, oraz Józef Hałyk, były szef Straży Ochrony Kolei. – W USA czy Francji trzon rad nadzorczych takich zakładów stanowią byli wojskowi. Przechodzący na emeryturę w wieku 50-60 lat, znający się na rzeczy, mający kompetencje menedżerskie. Z całym szacunkiem teolog czy kierownik malarni takich kompetencji nie będą mieć nigdy – podsumowuje minister Zemke. **N**

jakub.korus@newsweek.pl



**Zeskanuj kod
QR i zobacz
listę ludzi PiS
w zbrojeniówce**

DLACZEGO NIE SZCZEPIMY DZIECI

Uśpiona czujność

Ospa wietrzna, świnka, odra, krztusiec – rośnie liczba zachorowań na choroby zakaźne, których już prawie nie było. Jeszcze szybciej rośnie liczba Polaków, którzy nie szczepią swoich dzieci

TEKST RENATA KIM

Powody podają różne. – Jedni uważają, że szczepienia szkodzą. Drudzy, że uda im się jakoś uchronić dziecko przed zachorowaniem, bo inne dzieci są zaszczepione, więc ich własne się nie zarazi. Jeszcze inna grupa wychowuje dzieci w tzw. ekosystemie, nie chcą stosować żadnych leków ani szczepionek. A są i tacy, którzy po prostu nie pamiętają o obowiązkowych szczepieniach – wylicza dr Paweł Grzesiowski, ekspert Naczelnej Rady Lekarskiej do spraw zagrożeń epidemicznych.

Najczęstszy jest lęk przed ubocznymi skutkami szczepień. – Bo na przykład pierwsze dziecko jest autystyczne i matka ma zakodowany przekaz, że szczepionki mogą powodować autyzm. Przychodzi i pyta: a czy pan może na 100 procent to wykluczyć? Ja na to: statystyki mówią, że jest 50-procentowe prawdopodobieństwo, że drugie dziecko będzie miało autyzm, bo to choroba genetyczna. Mama otwiera wtedy szeroko oczy: jak to? Nikt nam tego nie powiedział – opowiada dr Paweł Grzesiowski.

Prowadzi kilka podobnych rozmów w tygodniu, z różnym skutkiem. Pamięta rodzinę, która przyszła do gabinetu i ojciec od progu oświadczył, że nad Polską rozpylane są pyły ze srebra i powodują, że Polacy są stymulowani przez Rosję, spadają na nich sztuczne deszcze. Czy pan doktor o tym wie? – Pomyślałem, że musimy rozmawiać

Przeciwnicy szczepień często pytają: po co szczepić dzieci na choroby, które wymarły? Odpowiedź jest prosta: tych chorób nie ma dlatego, że wprowadzono szczepienia ochronne

wyłącznie o kwestiach medycznych, bo i tak nie zwalczę ich poglądów.

ZARAŻA MOŻE WRÓCIĆ

SZCZEPIENIA OCHRONNE SĄ UZNAWANE za najskuteczniejszą metodę zapobiegania chorobom zakaźnym. Jak szacuje Światowa Organizacja Zdrowia, co roku ratują życie 5 mln ludzi.

– Odkrycie szczepionek to było wielkie osiągnięcie nauki. Przecież wcześniej choroby zakaźne zabijały całe miasta, państwa, kontynenty. Nie bez powodu nazywano je zarazą. Prawda jest taka, że jeżeli ktoś dziecka nie zaszczepi, to naraża je na śmiertelnie groźną chorobę – mówi pediatra i onkolog, prof. Alicja Chybička.

Ma piątkę wnuków, wszystkie są zaszczepione i nigdy nie było żadnego problemu. – W populacji dziecięcej powikłania są naprawdę bardzo rzadkie.

Zdarzają się, bo po każdym leku może być powikłanie i to jest cena, którą płaci się za dobro, jakim jest ochrona przed chorobą – dodaje.

Każdy kraj UE ma własny program szczepień. Różnice mogą dotyczyć m.in. wieku, w jakim się szczepi dziecko, rodzaju szczepionki i liczby dawek, ale wszystkie programy zapewniają ten sam poziom ochrony. W Polsce szczepienia objęte Narodowym Programem Szczepień Ochronnych są obowiązkowe dla osób do 19. roku życia. I bezpłatne, nawet dla nieubezpieczonych.

– Gruźlica, wirusowe zapalenie wątroby typu B, błonica, tężec, krztusiec, polio, Hib oraz pneumokoki. Później dochodzi różyczka, ospa i odra – wylicza dr Bartosz Fiałek, specjalista reumatologii i popularyzator wiedzy o szczepieniach. Kiedy urodziła mu się córka, pilnował, by sprawdzać kalendarz szczepień, bo różnił się od tego, jaki obowiązywał, kiedy studiował medycynę.

WZBUDZIĆ STRACH

PRZYPADKI UCHYLANIA SIĘ OD OBOWIAZKOWYCH szczepień są monitorowane od 2003 r., dane gromadzi Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego. Wynika z nich, że jeszcze 20 lat temu szczepień unikano kilka tysięcy dzieci rocznie. Potem ta liczba stale rosła: w 2017 r. wyniosła ponad 30 tys., rok później – ponad 40 tys., a w 2021 – już ponad 61 tys. Wiadomo, że od stycznia do końca września ubiegłego roku



odnotowano prawie 69 tys. niezaszczepionych dzieci.

– Zaczyna się zawsze od tego, że ktoś przeczytał coś w sieci i postanawia poszukać informacji o szczepieniach. A potem już algorytm naprowadza go na strony antyszczepionkowe. Tam tworzą się mikrospołeczności: jedna rodzina jest bardzo antyszczepionkowa i wokół niej rośnie grupa obserwatorów, którzy już nie szczepią dzieci, ale jeszcze nie są anty. Oni tylko obserwują, bo słyszą różne niepocholebne rzeczy o szczepieniach, więc zaczynają się bać – tłumaczy dr Paweł Grzesiowski.

O to, by podsycać niepokój, dbają ruchy antyszczepionkowe, które dzięki internetowi zyskały na sile. Przekonują, że „nieznane są długofalowe skutki szczepień”, że mogą one wywołać „poważne zaburzenia rozwojowe”, a w ogóle „promowane są nie dlatego, że są potrzebne, lecz dlatego, że leży to w interesie koncernów farmaceutycznych”.

Antyszczepionkowców wspomagają pseudonaukowe organizacje, takie jak fundacja Ordo Medicus. Jej działacze twierdzą, że są naukowcami i lekarzami, ale rozpowszechniają nieprawdziwe informacje o szkodliwości szczepień. Mają ogromne zasięgi w sieci.

– Chodzi im o to, by wzbudzić strach. A strach jest złym doradcą. Chorób zakaźnych jest mniej, niektórych nie widzieliśmy od dawna, ale właśnie dlatego, że są szczepienia. I wcale nie ma gwarancji, że te choroby nie wrócą, przecież wirusy i bakterie nie znikają – mówi prof. Iwona Paradowska-Stankiewicz z Państwowego Zakładu Higieny, krajowy konsultant w dziedzinie epidemiologii.

GORZEJ NIŻ W PRL

– **LICZBA ODMÓW** WZROŚLA W CIĄGU ostatnich 20 lat kilkunastokrotnie. Niestety, to jest ogromny problem. Rodzice nie szczepią dzieci, a później szukają lekarzy, którzy napiszą im zaświadczenie, że było przeciwwskazanie, dziecko cierpi na chorobę, która uniemożliwia podanie szczepionki. Są też rodzice, którzy unikają szczepień. Kiedy dzwoni

do nich przychodnia, mówią, że przyjdą z dzieckiem, ale nie przychodzą. Dzwoni po raz kolejny, a oni twierdzą, że dziecko ma infekcję, co jest przeciwwskazaniem do szczepienia. Albo mówią, że jest na wakacjach, i liczą na to, że przychodnia zapomni. Państwowe instytucje są często bezsilne, żeby ten obowiązek egzekwować – tłumaczy Bartosz Fiałek.

– Kontrole prowadzi Inspekcja Sanitarna. Jeśli dostanie informację, że raz, drugi, trzeci rodzic nie zgłosił się na szczepienie, to najpierw wysłała przypomnienia, a jeśli to nie pomaga, nakłada grzywnę – mówi prof. Paradowska-Stankiewicz.

Kary finansowe są jednak tak niskie, że nikogo nie odstrasza – od kilkuset do półtora tysiąca złotych. – A i tak ludzie, którzy dostali taki mandat, odwołują się do sądu. Często pomaga im sławetne stowarzyszenie STOP NOP, które ma wyspecjalizowanych w takich sprawach prawników. I udaje im się skutecznie odwołać. Później te „sukcesy” są ogłaszane na forach, a to napełnia kolejnych ludzi, którzy nie chcą się szczepić – mówi dr Fiałek.

– Dopóki był socjalizm, nie było problemu. W poprzednim systemie kultury nauki był wysoko rozwinięty, a autorytarne państwo karało, kiedy ktoś nie stawał się na szczepienia. Teraz mamy demokrację, ale i z kultem nauki, i z egzekwowaniem przepisów jest słabiej niż za czasów PRL – mówi prof. Dariusz Jemielniak, badacz dezinformacji z Akademii Leona Koźmińskiego, który bierze udział we wspólnym projekcie czterech polskich uczelni „MED-fake, o szczepieniach bez fake newsów”. Z tych badań wynika m.in., że w Polsce jest sporo programów promujących szczepienia, ale większość trafia do osób już przekonanych.

– W Polsce zwykle mówimy tylko: weź szczepionkę, będziesz bezpieczny. Za mało jest rzetelnych informacji, że, owszem, szczepienie jest podjęciem pewnego ryzyka, ale z punktu widzenia nauki jest ono radykalnie mniejsze niż samo schorzenie – mówi prof. Dariusz Jemielniak.

Kiepsko jest także z edukacją: kiedy naukowcy przeanalizowali, jak choroby zakaźne i szczepienia są przedstawiane w szkolnych podręcznikach, okazało się, że najwięcej uczą się o nich uczniowie czwartej klasy szkoły podstawowej. Później te tematy poruszane są coraz rzadziej.

Badacze sprawdzali też, czy niechęć do szczepień jest pośrednio związana z dezinformacyjnym atakiem ze strony Rosji. – Nie możemy tego jednoznacznie stwierdzić. Także dlatego, że dużo jest w internecie kont, które są równocześnie antyukraińskie i antyszczepionkowe. Niestety, bardzo trudno odróżnić pożytecznego idiotę od kogoś, kto sieje dezinformację za pieniądze Kremla. Możemy jednak podejrzewać, że część ataków dezinformacyjnych jest koordynowana. Przekonanie ludzi, żeby się nie szczepili, byłoby dla reżimu totalitarnego triumfem, ponieważ Polska spadłaby poniżej progu wyszczepialności stadnej. Brakuje już niewiele – komentuje prof. Jemielniak.

KIEDY GROZI EPIDEMIA

NAJNOWSZE DANE NARODOWEGO INSTYTUTU Zdrowia Publicznego wskazują, że drastycznie rośnie liczba osób obowiązkowo szczepionych. Jeśli porównać pierwszy kwartał ubiegłego roku z obecnym, widać, że liczba zachorowań na ospę wietrzną zwiększyła się dwukrotnie: z blisko 29 tys. do 48,5 tys. Podobnie jest ze świnką: rok temu było 112 przypadków, a teraz już 197. Podwoiła się liczba zachorowań na odrę – z pięciu wzrosła do dziesięciu. Jeszcze więcej jest przypadków różyczki: rok temu – 17, a teraz – 42. Rok temu nie zanotowano ani jednego przypadku tężca, teraz już trzy. Aż sześć razy więcej było zachorowań na krztusiec: od stycznia do marca 2022 r. było 26 przypadków, a w takim samym okresie tego roku – już 191.

– To jest z pewnością tak zwany efekt odbicia – uspokaja prof. Iwona Paradowska-Stankiewicz z PZH. – W czasie pandemii, kiedy było niewiele zachorowań, patogeny nie zniknęły. Cały czas były w środowisku, a teraz doszły nowe.

I nastąpił duży wzrost zachorowań – tłumaczy.

Kolejna przyczyna to migracja z Ukrainy. – W ciągu ostatniego roku naszą wschodnią granicę przekroczyło około siedmiu milionów ludzi. Część wyjechała na Zachód, część została, część wróciła do Ukrainy. Półtora miliona osób, głównie kobiet i dzieci, mieszka u nas na stałe. Nie ulega wątpliwości, że to ma spory wpływ na zapadalność na różne choroby, zwłaszcza infekcje dróg oddechowych, bo łatwo się rozprzestrzeniają. A jeśli dzieci nie były zaszczepione, to także na choroby zakaźne – mówi prof. Paradowska-Stankiewicz.

Zapewnia, że w Polsce wciąż mamy odporność populacyjną. – W skali kraju to jest 90 proc. W przypadku pneumokoków w niektórych województwach jest na poziomie 99 proc. Gorzej jest z odrą, bo tutaj spadamy do poziomu 90-91 proc., a na poziomie powiatów nawet do 89. Podobnie jest z polio, bo dawno już nikt nie widział osoby z porażeniem spowodowanym przez polio, więc ludzie myślą, że skoro tak, to są bezpieczni, nie muszą szczepić dzieci. Zapominają też, że podróżują do różnych zakątków świata, gdzie polio może występować – przekonuje.

Jak podaje Główny Inspektorat Sanitarny, odporność populacyjną zwykle osiąga się przy zaszczepieniu co najmniej ok. 95 proc. uprawniających.

– Taki odsetek sprawia, że dany patogen nie rozprzestrzenia się lub jest znacznie mniejsze ryzyko jego transmisji. Ale kiedy poziom wyszczepienia na danym terenie spada poniżej tego progu, patogen krąży i zaczyna infekować – „wybierać” osoby najbardziej narażone na zakażenie: najmłodsze i najstarsze, niezaszczepione i schorowane. Wówczas istnieje ryzyko wystąpienia epidemii danej choroby zakaźnej na określonym terenie – tłumaczy dr Fiałek.

SPOSÓB NA DEZINFORMACJĘ

DOŚĆ POWSZECHNE JEST, NIESTETY, PRZEKONANIE, że choroby zakaźne nie są groźne, kiedyś wszyscy je przecież

przechodzili. Przeciwnicy szczepień często pytają: po co szczepić dzieci na choroby, które wymarły? Odpowiedź jest prosta: chorób zakaźnych, np. polio, nie ma właśnie dlatego, że wprowadzono masowe szczepienia ochronne.

Tym, którzy jednak zachorują, grożą poważne powikłania: od zapalenia płuc w przypadku odry, przez zapalenie stawów i mięśnia sercowego po różyczkę, aż po sepsę przy ospie wietrznej.

”

**Zaczyna się od tego,
że ktoś przeczytał coś
w sieci i chce poszukać
informacji
o szczepieniach.
A potem już algorytm
naprowadza go
na strony
antyszczepionkowe**

DR PAWEŁ GRZESIOWSKI, EKSPERT NACZELNEJ
RADY LĘKARSKIEJ DO SPRAW ZAGROZEŃ
EPIDEMICZNYCH

Pytanie tylko, jak przekonać tych, których czujność została uśpiona. Pomóc mają rekomendacje zawarte w badaniach MEDfake.

– Chcemy stworzyć porady dla lekarzy, jak rozmawiać z pacjentami, oraz sugestie dla Ministerstwa Zdrowia, co można zmienić w procedurach, żeby dezinformacja mniej się szerzyła, a zaufanie do szczepień rośnie – mówi prof. Dariusz Jemielniak.

Po rozmowach z młodymi rodzicami, którzy stali przed decyzją, czy szczepić dzieci, autorzy badań MEDfake doszli do wniosku, że sprawa nie jest tak jednoznaczna, jak mogłoby się wydawać. Wśród tych, którzy uchylają się od

szczepień, jest spora grupa osób, które się wahają. Często uważają, że ich dziecko jest wyjątkowe, więc dlaczego miałyby iść według takiego samego harmonogramu szczepień jak inne dzieci? – I stąd postulaty, by wprowadzić elastyczny kalendarz szczepień. W Polsce go nie ma i to jest jedna z przyczyn wysokiego wskaźnika odmów – tłumaczy prof. Jemielniak.

Kolejna przyczyna: ludzie czują się niewysłuchani, zapracowany lekarz mówi im, co mają zrobić, ale nie tłumaczy dlaczego. – Kończy się tym, że nie wiedzą, co myśleć o szczepieniach. Słyszą o zagrożeniach i nikt im sensownie nie tłumaczy, jak jest naprawdę. Rodzice noworodków opowiadali, że jeszcze w szpitalu podsuwa im się zgodę do podpisania, a oni są wtedy w ogromnym stresie – mówi prof. Jemielniak. – Ludzie mają potrzebę przedyskutowania sprawy, skonsultowania się z innym lekarzem. Chcą być traktowani jak partner do rozmowy – przekonuje.

Właśnie dlatego dr Paweł Grzesiowski nie zbagatelizował pytania o pyły ze srebra rozpylane nad Polską. Powiedział tamtemu ojcu: OK, niech te pyły będą, ale przecież jak wasze dziecko się skaleczy, to dostanie tężca i na to pyły nie mają wpływu, bo bakteria tężca jest w glebie. Czy chodzicie na działkę, czy dzieci się bawią w ziemi? Bo jeśli tak, to są zagrożone tężcem, a to jest śmiertelna choroba.

– Zrozumieli, uzupełnili wszystkie brakujące szczepienia. Takich rodzin jest więcej – opowiada lekarz.

Czasem przychodzą, słuchają, co ma im do powiedzenia i znikają na pół roku. Potem wracają i zaczyna się ta sama rozmowa. – Czuję, że ich gryzie sumienie, że dziecka nie szczepią, ale jeszcze nie są gotowi. Ja ich nie atakuję, tylko mówię: OK, zapomnijmy, co było, mówmy o tym, co możemy zrobić. Dziecko ma zaległe dziesięć szczepień, w jakim cyklu możemy je podać? Po pewnym czasie się zgłaszają i zaczynamy szczepić. □

renata.kim@newsweek.pl

WSPÓŁPRACA NATALIA FABIAK





NASTOLATKI MIERZĄ SIĘ Z BUDŻETEM

Trzy słoiki

Rodzice nie mówią dzieciom o pieniądzu. Są tematem tylko w tych domach, w których nie ma pieniędzy

TEKST MAŁGORZATA ŚWIĘCHOWICZ ILUSTRACJA ADAM WÓJCICKI

Kornelia ma 15 lat, mieszka z rodzicami i młodszym bratem pod Szczecinem. Jak wysokie są raty kredytu za dom? Nie wie. Jak wysokie rachunki za prąd? Nie wie. Ile kosztuje bilet autobusowy do szkoły? Też nie wie, bo rodzice zawożą ją samochodem i przywożą. A nawet jak gdzieś jest przez chwilę sama, to wciąż jednak z nimi, bo – dzięki specjalnej aplikacji – śledzą w swoich telefonach, gdzie jest. Jeżeli czegoś potrzebuje, prosi, oni decydują, czy warto kupić. Kieszonkowego nie dostaje.

– Spotykam wiele takich nastolatków – mówi Marcin Józefaciuk, jeden z najbardziej znanych w Polsce nauczycieli. Wytatuowany, ultramaratończyk, uczy siedmiu przedmiotów, imponuje uczniom, więc przychodzą do niego, zwierniają się, także z tego, że są nieprzygotowani do życia. Widzi to też na lekcjach, choćby angielskiego. – Gdy wchodzimy w działy: „Praca i pieniądze”, „Sklepy i zakupy”, gubią się – tłumaczy. Nie chodzi o to, że brakuje im słówek, im brakuje podstaw. – Nie potrafią zarządzać pieniędzmi, nie mają pojęcia o budżecie domowym, nie znają nazw produktów, myślą ser żółty z białym – mówi nauczyciel.

Właśnie dlatego zgodził się poprowadzić program „Nastolatki rządzą kasą” w TVN, który jest rodzajem eksperymentu społecznego. Do udziału w nim

wybrano 10 rodzin o różnym statusie, z różnych części kraju. W każdej z nich dorośli musieli podać, jak wysokie są miesięczne koszty utrzymania i całą tę sumę powierzyć swojemu dziecku, któremu wcześniej nie dawali nawet kieszonkowego. Nastolatki w wieku 14-18 lat muszą opłacić rachunki, zapłacić lodówkę. Wchodzą w ten eksperyment jak na pole minowe.

GITARA I TOREBKA

GDY 15-LETNIA KORNELIA DOSTAJE DO RĘKI CAŁY MIESIĘCZNY BUDŻET – w sumie 15 tys. zł – ojciec mówi, że jest bliski zawału. Później z żoną – korzystając z aplikacji – nerwowo śledzą, gdzie jest córka. Najpierw idzie do sklepu muzycznego, kupuje gitarę elektryczną, kabelki, futerał. Nie umie grać, ale zawsze marzyła o gitarze. Później runda po innych sklepach – kupuje buty, pasek. W jeden dzień wydaje prawie 3 tysiące złotych.

Bohaterka innego odcinka – 17-letnia Jessica z Gryfic – gdy tylko dostaje pieniądze na utrzymanie całej rodziny, kupuje sobie markową torebkę tak małą, że ledwie udaje się w nią wcisnąć telefon.

– Ile kosztowała? – pytają rodzice.
– Cztery – mówi Jessi.
– Czterysta złotych za tak małą torebkę? – nie mogą uwierzyć.
– Cztery tysiące – oświeca ich córka.
– Strach, który widać w oczach rodziców, jest prawdziwy, bo też pieniądze są

prawdziwe. Jeżeli rozpląną się przed końcem miesiąca i dziecko nie porobi opłat, zostaną z nieopłaconymi rachunkami – tłumaczy Józefaciuk.

– O Jezu, nie jestem pewna, jak by to było u nas, ale mam nadzieję, że nie tak – mówi Sara Ferreira, która ma troje dzieci w wieku 11, 13 i 15 lat.

– Nie wiem, czybym podjęła takie ryzyko – przyznaje szczerze Marysia Górecka, mama czworga dzieci (wiek od 2 do 13 lat).

Obie są blogerkami i jako doświadczone mamy doradzają innym. Choć rodzice często o coś pytają, to niemal nigdy o to, jak rozmawiać z dziećmi o pieniądzu.

– Unika się tego tematu, wychodząc z założenia, że dopóki dziecko z nami mieszka, ma wszystko, więc niech sobie nie zwraca głowy pieniędzmi. Gdy dorosnie i zacznie zarabiać, samo zobaczy, jak jest. Temat pojawia się dopiero, gdy są problemy: pretensje i kłótnie, bo dziecko zaczyna porównywać się z innymi, mówi, że oni mają pieniądze, na co chcą, noszą markowe ubrania. Nieustannie wysyła rodzicom komunikaty, że ma za mało, bo mniej niż inni – tłumaczy Marysia Górecka.

Ale nawet wtedy raczej nie bierze się dziecka na szczerą rozmowę o tym, jaka jest sytuacja finansowa rodziny, ile comiesięcznych opłat.

Gdy Kornelia z programu „Nastolatki rządzą kasą” patrzy na rachunki, których

nigdy wcześniej rodzice jej nie pokazywali, oczy robią się jej coraz większe. Prawie 3 tys. zł na ratę kredytu za dom, ubezpieczenie 200, prąd 159, abonament za trzy telefony 421... – Czemu aż tyle? Zdzierstwo! – narzeka. Dotąd była przekonana, że korzystanie z telefonu nic nie kosztuje. A gdy do tego dochodzą jeszcze inne opłaty i po podliczeniu wychodzi 7,5 tys. zł, jest zdumiona.

Jessi jest przerażona cenami żywności. Dotąd jeździła na zakupy z rodzicami, wkładała do koszyka, co chciała, a o tym, ile rodzice zostawili w kasie, jakoś się nie rozmawiało. Tak jak i o tym, ile kosztuje wymiana oleju w samochodzie, płyn do spryskiwacza, ubezpieczenie OC.

ROZRÓD PANTOFELKA

– **PIENIĄDZE SĄ CZĘSTYM TEMATEM TYLKO TAM, GDZIE ICH NIE MA.** W biednych domach dzieci – siłą rzeczy – słyszą, ile co kosztuje. W rodzinach średniozamożnych i majątnych o tym się nie mówi. I to przedziwne, bo dziecku wyjaśnia się, jak wygląda piesek, a jak kurka, mówi się o słońcu, że świeci, o deszczu, że pada, ale nie mówi się o tym, że wszystko ma swoją cenę – tłumaczy Ewa Żeromska, pedagog, doradca rodzinny. – A odkąd powszechne stały się karty oraz płatności zdalne, dziecko długo może nawet nie wiedzieć, jak wyglądają pieniądze. Nie ma w domu ani bilonu, ani banknotów.

Magdalena Buczkowska, ekonomistka i blogerka znana jako Mama Dusigrosz, na samym szczycie grzechów, jakie popełniają rodzice w finansowej edukacji dzieci, stawia nieedukowanie. Odpuszczają, licząc, że może kiedyś ktoś zrobi to za nich. Nie mówią dzieciom nawet o tym, skąd biorą się pieniądze, więc mogą rosnąć w przekonaniu, że z bankomatu, bo przecież ilekroć mama lub tato podejną do tej magicznej maszyny, to sobie wybierają.

– Ktoś powinien dziecku wyjaśnić, że pieniądze nie wzięły się tam znikąd i że zanim się je wybierze, trzeba zarobić. Gdy jest małe, nie poznaje logicznego ciągu: praca – zarobki – wydatki, a potem szybciej usłyszy o rozrodzie pantofelka niż o budżecie domowym, podatkach, lokacie, kredycie. A to powinien być elementarz, jak „Ala ma kota” – tłumaczy

Żeromska. Są co prawda w szkole lekcje z podstaw przedsiębiorczości, ale najwcześniej w drugiej licealnej, w dodatku niewiele tam o finansach osobistych, więcej o patriotyzmie gospodarczym i funkcjach rynku. Minister edukacji Czarnek zapowiada, że od września tego roku będzie inaczej – zamiast podstaw przedsiębiorczości, biznes i zarządzanie. Ale też dopiero w szkole ponadpodstawowej.

– To, że w podstawówce nie ma lekcji o finansach, jest błędem systemowym.



Nie wyjaśniamy dziecku logicznego ciągu: praca – zarobki – wydatki. Szybciej usłyszy o rozrodzie pantofelka niż o podatkach, lokacie, kredycie. A to powinien być elementarz, jak „Ala ma kota”

EWA ŻEROMSKA, PEDAGOG, DORADCA RODZINNY

Tak jak błędem jest to, że w domu nie włącza się dzieci w rozmowy o pieniądzu, odmawia im się kieszonkowego – mówi Ewa Żeromska.

DOPÓKI MI NIE ZAPŁACICIE

Z BADAŃ BNP PARIBAS WYNIKA, ŻE W POLSCE KIESZONKOWE DAJE 65 PROC. RODZICÓW.

Argumenty przeciwników: po co mu, nabierze przekonania, że można mieć kasę za nic, nie wiadomo, na co przepuści, ilekroć by mu dać, to roztrwoni.

– To w jaki sposób ma się nauczyć zarządzać pieniędzmi? Jak ma się zmierzyć z sytuacjami: „na co wydać” albo „chciałbym to sobie kupić, ale już nie mam pieniędzy, bo wydałem”. Dostając kieszonkowe, ma szansę przekonać się, że każda decy-

zja ma konsekwencje – tłumaczy dr Sabina Kołodziej, psycholożka ekonomiczna z Akademii Leona Koźmińskiego.

– Pozwólmy dzieciom popełniać błędy na małych kwotach, żeby w przyszłości ustrzec je przed dużo kosztowniejszymi – mówi Mama Dusigrosz. Nawet opracowała wzór na wysokość kieszonkowego: 1 zł x wiek dziecka w latach x liczba tygodni w miesiącu. Zakładając, że dziecko ma 10 lat, a w miesiącu wypadną 4 tygodnie, to powinno dostać 40 zł. Przy czym, jeżeli rodziców stać, mogą w ten wzór na kieszonkowe zamiast złotówki wstawić dwa albo trzy złote – wówczas dostanie 80 zł albo 120 zł.

Z badań BNP Paribas wynika, że rodzice raczej nie szaleją. Dzieci w wieku od 3 do 5 lat, jeżeli w ogóle dostają kieszonkowe, to na ogół 20 zł miesięcznie. W wieku od 6 do 10 lat – średnio 50 zł, starsze około 100 zł.

Większość gotówkę, ale 23 proc. przelewem na konto, 3 proc. blikiem.

Jedni od razu całość, inni tygodniówki. – Najważniejsze, żeby dziecko wiedziało, kiedy je otrzyma. Jeżeli ma zarządzać pieniędzmi i planować wydatki, nie możemy doprowadzać do tego, że nie będzie wiedzieć, czy dostanie, czy nie, i za każdym razem musi się upominać – tłumaczy dr Kołodziej.

Część rodziców zamiast kieszonkowego wprowadza taryfikator: za wyrzucenie śmieci dwa złote, pościelenie łóżka trzy. Dodatkowo płatne piątki i szóstki zdobyte w szkole. – Jestem przeciwniczką – mówi dr Kołodziej. I tłumaczy, że w dziecku powinno się wzmacniać motywację wewnętrzną, a nie przekonanie, że uczy się dla dobrych ocen i pieniędzy. – Także płacenie za wykonywanie podstawowych obowiązków domowych nie jest dobrym pomysłem, bo przecież każdy w rodzinie powinien podejmować działania dla jej dobra – tłumaczy dr Kołodziej.

– Niestety, dochodzi do przegięć – w jednych domach w ogóle nie mówi się o pieniądzu i dziecko nie wie nawet, skąd się biorą, a w innych wszystko się wycenia, przelicza i uczy dziecko postawy: nie kiwnę palcem, dopóki mi za to nie zapłacicie – mówi Ewa Żeromska.

Przypadki, w których dziecko mogłoby zarobić, to czynności wychodzące poza zwykłe obowiązki: umycie samochodu, skoszenie trawnika. – Jeżeli rodzice nie mają czasu i musieliby komuś to zlecić, mogą zapłacić dziecku – tłumaczy.

SŁOIKI I KOPERTY

MAMA DUSIGROSZ, KTÓRA ZDĄŻYŁA PRZECWICZYĆ RÓŻNE EDUKACYJNE METODY na swoich dzieciach, mówi, że oswajając z pieniędzmi można już nawet te, które jeszcze nie potrafią liczyć.

– Córka miała dwa lata, gdy zaczęłyśmy bawić się w stragan. Dzięki temu szybko zaczęła się orientować, że jak się coś kupuje, to się za to płaci i czasami otrzymuje resztę, a czasami nie – tłumaczy. Kieszonkowe doradza wypłacać dzieciom, które nie tylko umieją już liczyć, ale też mają możliwość samodzielnie wydać pieniądze. Choć jeżeli ktoś chce dać trzy- czy czterolatki, też może. – Idąc razem z nim na zakupy, ustala, że nie ma już wrzucania do koszyka wszystkiego, co dziecku wpadnie w oko, tylko: proszę bardzo, możesz wykorzystać swoje pieniądze – tłumaczy Mama Dusigrosz.

Radzi, by najpierw kieszonkowe dawać dzieciom do ręki, nie przelewać. Można im podsunąć metodę trzech słoików, czyli dzielenie otrzymywanych środków na trzy kategorie: wydatki, oszczędności i pomoc. Na bieżące zakupy dziecko wybiera z pierwszego słoika, dzięki drugiemu odkłada na coś szczególnego, wymarzonego i uczy się powściągliwości. A dzięki słoikowi „pomagam” poznaje, co znaczy dobroczynność – tu zbiera środki, które później przekaże potrzebującym. Z czasem słoiki można zastąpić kopertami, dołożyć też kategorie, np. „prezenty”, „obóz sportowy”, „komputer”. A po słoikach i kopertach można przejść do założenia konta.

– U nas zaczynało się od samodzielnych zakupów. Mieszkamy tuż przy sklepie i jak tylko dziecko kończyło 7 lat, samo szło po masło czy jogurt. Szybko zaczęło rozumieć, że mając 10 złotych, nie kupi 10 jogurtów – mówi Marysia Górecka, mama czwórki dzieci, z których troje – w wieku 8, 11 i 13 lat – już tak umie zarządzać pieniędzmi, że ma kieszonkowe i po

dwa konta – jedno do odkładania, drugie do bieżących wydatków. Nie noszą portfeli, tylko opaski z chipem, płacą w sklepie dotykowo.

– Widzę, jak starają się gospodarować budżetem, jak kombinują. I jak to, że sami zarządzają pieniędzmi, ich zmieniło. Dopóki nie mieli kieszonkowego, wszystko wydawało im się tanie, teraz mówią: „za drogie”. Kolega z klasy ma Nike Air Force 1? Dawniej chcieliby mieć takie same. Teraz sprawdzają cenę, mówią: „Taki majątek za buty? To ja już wolę znaleźć sobie coś na Vinted” – opowiada Górecka.

– Wprowadziliśmy kieszonkowe dopiero w tym roku, teraz myślę, że trzeba było wcześniej – mówi Sara Ferreira, która ma dzieci w wieku 11, 13 i 15 lat. Ostatnio pojechali całą rodziną do Londynu. – Weszliśmy do sklepu z pamiątkami i każde z nich próbowało mnie na coś naciągnąć. Wystarczyło im przypomnieć, że mają kieszonkowe i sami mogą sobie kupić, by odłożyli to, co już trzymali w rękach.

Zmianę widać też w domu. – Dawniej mogłam w kółko prosić: gości światło i to niewiele dawało, zapominali. Wystarczyło im powiedzieć, ile płacimy za prąd i że za każdym razem, gdy nie zgaszają światła, będę im potrać z kieszonkowego. Nie leją już wody bez umiaru, zaczęło do nich docierać, że są opłaty i raty, bo mamy duży kredyt na dom – opowiada Ferreira.

– Dzieci nie są głupie, wystarczy im pomóc zrozumieć – twierdzi Ewa Żeromska.

– Mają w głowie dość oleju, są spostrzegawcze – dodaje Marcin Józefaciuk. Większość nastolatków w eksperymencie TVN w miesiąc dojrzała. Jessi, która kupiła sobie torebkę za 4 tys. zł, myśląc, że znajdzie się na szczycie szczęścia, nie czuła radości. Ten zakup sprawił, że musiała nieźle się nagłowić, żeby utrzymać rodzinę. Kornelia, która zaczęła zarządzanie domowym budżetem od kupienia gitary, po zakupy spożywcze chodziła z kalkulatorem, porównywała ceny, wybierała to, co najtańsze. I na koniec miesiąca zostało jej nawet 600 zł, z czego 200 dała mamie na fryzjera. **N**

malgorzata.swiechowicz@newsweek.pl



KRS 0000069730

Twoje 1,5% ratuje zwierzęta

Od 21 lat ratujemy zwierzęta. Prowadzimy 10 schronisk i przytulisk dla bezdomnych zwierząt oraz 30 inspektoratów. W 2022 r. uratowaliśmy i oddaliśmy do adopcji 6717 zwierząt i przeprowadziliśmy 5077 interwencji dotyczących niehumanitarnego traktowania zwierząt.



ANIMALS

www.animalsi.pl





JAK ŻYĆ Z CHORYM W DEPRESJI

Towarzysząc w mroku

Rodziny ludzi w depresji często mierzą się z zadaniami ponad siły. Dorosłych przygniata lęk o życie chorego. Dzieci za stan rodziców obwiniają siebie

TEKST MARCIN CHŁOPAŚ ILUSTRACJA KATARZYNA KOZAKIEWICZ

Marek z Krakowa jest po trzydziestce, ale do dziś trawi swoją rodzinną historię. Gdy kończył gimnazjum, starsza o osiem lat siostra trafiła na obserwację do szpitala po próbie samobójczej. Miała poważną depresję. Jej leczenie to okres liceum Marka. – Przystajesz być w ogóle zauważany, bo w domu wszystko kręci się tylko wokół chorej osoby. A ona ze względu na swój stan doprowadza do ekstremalnych sytuacji. Ty masz 15 lat, burzę hormonów, nie wiesz, jak sobie z tym radzić i widzisz rodziców, których przerasta wszystko. Czujesz, że nie możesz im dokładać swoich problemów, bo już więcej nie uniosą – mówi mężczyzna.

I wspomina huśtawki nastrojów siostry. – Wszyscy są w domu, a Iwona krzyczy, że się zabije, wybiega boso, jest zima. Czuję się bezradny, samotny i przerażony. Przy każdej „akcji” włączały mi się objawy psychosomatyczne. Cierpły mi nogi, ręce, nie mogłem oddychać. Kiedyś po czymś takim poszedłem do szkoły i tam zacząłem płakać. Przez długi czas nie mogłem się uspokoić. Wychowawczyni zaprowadziła mnie do szkolnego psychologa, ktoś zawiózł mnie do domu.

Płakałem do nocy. A jak się obudziłem, to dalej wyłem. I tak przez dwa kolejne dni – opowiada Marek. Szkoła skierowała go na terapię, dopiero wtedy zrobiło się trochę lepiej.

CIĘŻKO WSPIERAĆ CIĘŻKO CHOREGO
BADANIA PROF. BRITT AHLSTRÖM ZE SZWEDZKIEGO UNIVERSITY WEST pokazują, że bliscy osób z zaburzeniami psychicznymi czują znacznie większe obciążenie niż bliscy ludzi z chorobami ciała, nawet jeśli są to schorzenia poważne. Na początku rodzina próbuje zrozumieć problem, współczuje i pociesza. Często nie widzi skutków swojego empatycznego działania, więc wpada w marazm. – Rodziny pacjentów mówią o poczuciu bezsilności, o wrażeniu, że nie mogą nic zrobić. Opisując to obrazowo: jeśli ktoś ma połamane nogi, to pomagamy mu w codziennych czynnościach i proponujemy wiele przyjemności, które rekompensują uziemienie w domu. A w depresji nic nie sprawia przyjemności, więc nawet przy najszczerzych chęciach opiekuna jego inicjatywa spotyka się z obojętnością – mówi prof. Piotr Gałecki, krajowy konsultant w dziedzinie psychiatrii.

Bezradność wywołują niemal wszystkie możliwe objawy depresji: stałe uczu-

cie zmęczenia, nadmierna senność lub bezsenność, drażliwość, ciągła irytacja, niska samoocena, poczucie winy, pesymistyczne widzenie przeszłości i przyszłości. – W ciężkim przebiegu choroby występują myśli samobójcze. Jeśli są przez pacjenta wypowiedziane, stają się dla rodziny powodem olbrzymiej traumy. Naturalna jest przecież obawa, czy ta osoba rzeczywiście nie odbierze sobie życia. Dlatego bardzo często słyszę pytanie: czy można ją lub jego zostawić samego w domu? – zauważa Gałecki.

Jak pisze Ahlström, chorzy mogą mieć też tendencję, by w całym świecie, więc i w najbliższych, zauważać wyłącznie wady, co często prowadzi do poczucia winy z obu stron. W efekcie osoba w depresji może być postrzegana przez otoczenie jako wysysająca energię. Staje się tym większym obciążeniem, im dłużej trwa epizod.

Zdaniem dr Ewy Woydyłło-Osiałyńskiej specjalistki zbyt często nastawieni są jedynie na pomoc choremu, zbyt rzadko myślą o jego towarzyszach. – Kto kocha, zawsze chce pomóc. Naturalne jest, że przeżywa zmartwienie, bezradność, troskę, strach, niepewność. Tworzy się trudny dla ludzi melanz emocjonalny, który w zestawieniu

ze stanem osoby chorej może prowadzić do beznadziei, smutku, w końcu obarczania samego siebie odpowiedzialnością za sytuację. Towarzyszący choremu mogą stać się lustrzanym odbiciem jego emocji: też cierpieć, przeżywać załamanie, rozpacz – stwierdza terapeutka. Tendencję do obwiniania siebie mają przede wszystkim dzieci. – Widzą mamę w złym stanie, nie rozumieją, co się z nią dzieje, a ich pierwsza myśl brzmi: „to przeze mnie”. Gdy rodzic ma depresję, dzieci są sierotami. Czują się odrzucone, odepchnięte, czują wysiłek, jaki rodzic wkłada, żeby jednak wykonać podstawowe czynności opiekuńcze i nabierają przekonania, że są ciężarem – zauważa Woydyłło-Osiatyńska.

Wspomina przypadek matki, która mówiła do kilkulatków: „Boże, jaka ja byłabym szczęśliwa, gdyby was nie było”. Słyszając podobny komunikat, dziecko idzie w życie z niemożliwym do udźwignięcia brzemieniem. W takiej sytuacji powinno wiedzieć, że rodzic choruje, i zostać objęte opieką kogoś, kto jest zdrowy, silny psychicznie.

TERAPIA NIE TYLKO DLA CHOREGO

WEDŁUG MARKA PODCZAS EPIZODÓW SIOSTRY na kozetkę powinna trafić cała rodzina. – Ludzie naprawdę nie wiedzą, jak sobie z tym radzić, pomagać, ale też zadbać o swoje granice – mówi, wyszukując w sieci elegancką infografikę z radami: „co mówić do osoby z depresją?”. Otóż: „jak ci mogę pomóc?”, „wierzę w ciebie!”, „pamiętaj, że jestem i nie zostawię cię bez względu na wszystko!”, „możesz zawsze na mnie liczyć”. – Bulszit. To jest taka odpowiedzialność, że nie można wymagać od kogoś tego typu heroizmu. Iwona latami miała nawroty. Kiedy miałem 24 lata i dostałem wymarzoną pracę, w ogóle nie mogłem się na niej skupić, bo co chwilę odbierałem telefony. A Iwona mówi beznamiętnym głosem, że nie chce żyć, że mam przyjechać i to teraz. Kilka razy pojechałem. Po prostu leżała albo spała. Makabra emocjonalna – wspomina Marek.

Woydyłło-Osiatyńska: – Działa tu podstawowa zasada, że nie możesz dać drugiemu tego, czego sam nie masz. Nie

dodasz komuś odwagi, jeśli się boisz, ani radości życia, jeśli jesteś przygnębiony. Gdy osobą chorą opiekuję się ktoś bezsilny, przerażony, bez środków i narzędzi, to jest to dramat dla wszystkich. Niektórym ludziom wydaje się, że zdołają zamaskować swoje lęki i niepokoje, że uśmiechną się, powiedzą, że u nich dobrze i to wystarczy. Niestety nie. Chora osoba dobrze wyczuwa słabości innych. W wielu listach pożegnalnych od samobójcy jest zdanie: „Nie mogę patrzeć, jak się przeze mnie męczycie”.

Piotr Gałęcki: – Osoba towarzysząca choremu też ma prawo mówić o swojej ciężkiej sytuacji. Trzeba jednak pamię-

”

Zajmując się kimś w kryzysie, trzeba przyjąć pozycję aktywną, działać. Ale może to zrobić tylko człowiek, który zadba o siebie i sam ma się dobrze

DR EWA WOYDYŁŁO-OSIATYŃSKA

tać, żeby nie robić tego słowami: „przez to, że masz myśli samobójcze, ja sobie gorzej radzę w pracy”. Dobrym komunikatem jest raczej: „też jest mi ciężko, nie jestem w stanie zrobić nic więcej niż to, że jestem przy tobie”, „rozumiem tę chorobę”. Często małżonkowie chodzą wspólnie na terapię, choć choruje tylko jedna osoba. To ważne, bo daje cierpiącemu poczucie akceptacji. Depresją z definicji łączy się z niską samooceną i poczuciem winy, więc jeśli ktoś nam tego jeszcze dokłada, to wszystko staje się dodatkowo trudne. Co nie znaczy, że należy milczeć, jeśli jest nam trudno z tego powodu, że z bliską osobą dzieje się to, co się dzieje.

Woydyłło-Osiatyńska uważa, że polski system pomocy psychologicznej i psychiatrycznej ma wiele do nadrobienia. – Miałam okazję obserwować przypadek osoby chorej na depresję w Wielkiej Brytanii. Tam wszyscy domownicy byli objęci opieką lekarską. Dostali różne broszury, każdy w zależności od swojej sytuacji. Był folder dla małżonka, inny dla dziecka i jeszcze inny dla pozostałych domowników. Wszystkie zawierały pełne kompendium wiedzy: do kogo się zwrócić, jakiej pomocy można się spodziewać, gdzie są grupy wsparcia. Medycyna pomagała równoległe z psychologią i to nie tylko osobie chorej, ale całemu jej otoczeniu – opowiada terapeutka.

MOŻNA NIE DAWAĆ RADY

MAREK JEST PO TRZECH PRYWATNYCH TERAPIACH. Jakoś to wszystko przetrwał, ale nadal ma jeden lęk. – Co będzie, jeśli mój partner wpadłby w depresję? Nie potrafiłbym tego unieść. Nie po tym, co przeżyłem. Niby mam jakąś wiedzę, warsztat, samoświadomość. Ale u mnie to jest dość grząski grunt na poziomie emocji. Gdyby Iwona zadzwoniła dziś i powiedziała, że popada w mrok, łapie doła, to ja na bank za tydzień będę miał problemy z oddychaniem – mówi Marek. Poradził sobie, odcinając się od emocji wywoływanych przez „akcje siostry”, ale jak już sytuacja trochę się uspokoi, wyłażą w postaci bólu, kłopotów z oddychaniem, klucza w klatce: – Kiedyś miałem to wszystko od razu. Teraz nauczyłem się tak tłumaczyć emocje, że przychodzą z opóźnieniem.

Nadmierne obciążenie nie dotyczy tylko uczuć opiekunów chorej osoby. Badacze, którzy pod kierunkiem psychiatry prof. Andrzeja Kiejny badali bliskich chorych, podkreślają, że w związku z depresją wszystkie zadania rodzinne przechodzą na zdrowych członków rodziny. To sprzyja ich nadmiernemu obciążeniu codziennymi pracami, czasami wręcz do wyczerpania i pogorszenia zdrowia somatycznego. Relacje w tych rodzinach stają się napięte, pełne przygnębienia. – Jeżeli ktoś jest smutny i nie podejmuje żadnej aktywności, a jest z kimś w silnej relacji, to ta druga oso-

ba nie będzie się w tym czasie cieszyć. Oczywiście depresja to nie jest choroba zakaźna, więc nie będzie raczej mowy o kryteriach epizodu depresyjnego, ale na pewno mogą być kłopoty adaptacyjne w funkcjonowaniu – zauważa prof. Gałęcki. Opiekowanie się chorym nie jest czynnikiem ryzyka wystąpienia depresji, ale nadmierne obciążenie zadaniami już może nim być.

SPOSOBY NA PRZETRWANIE

86-LETNI ANDRZEJ BOBER JEST AMBASADOREM FUNDACJI TWARZE DEPRESJI i otwarcie mówi o ciągnących się latami problemach psychicznych. Gdy żona zachorowała somatycznie i trafiła do szpitala, dla niego zaczął się pęd i stres. Lekarze nie dawali kobiecie większych szans na przeżycie. Na jego głowę spadło wszystko: opieka nad żoną w klinice, w domu nad psem i praca w telewizji. Miesiącami krążył po Warszawie, załatwiając dziesiątki spraw. Skończył przy ulicy Sobieskiego w znanej klinice psychiatrycznej. Oboje zostali wypisani ze szpitali mniej więcej w tym samym czasie. – Basia wyzdrowiała, ale na OIOM-ie spędziła osiem miesięcy, przez co też wpadła w depresję. Ja czułem się już trochę lepiej i wiedziałem, że to nie ona mną, ale ja muszę opiekować się nią – mówi dziennikarz.

Bober wspomina, że oboje z żoną mieli nawroty choroby. Ich związek siłą rzeczy polega na dbaniu o siebie nawzajem. – Kiedy żona ma epizod depresyjny, roztaczam nad nią wyjątkową opiekę, daję jej więcej przestrzeni, przejmuję większość czynności domowych. To się nie dzieje w konkretnej, technicznej rozmowie: ty jesteś chora, ja się tym zajmę. Opiekuję się, nie mówiąc jej o tym, choć ona to czuje – podkreśla Bober. On sam, gdy ma pogorszony nastrój, woli pielęgnować samotność. Żonie pomaga wychodzenie z domu, bycie wśród ludzi, ale jakoś udaje im się wszystko godzić.

DESTRUKCYJNE I KONSTRUKTYWNE

Z BADAŃ CHARLESA S. CARVERA Z UNIWERSYTETU W MIAMI wynika, że postawa wobec depresji – zarówno u chorego,



”

Depresja to nie jest choroba zakaźna. Opiekowanie się chorym nie jest czynnikiem ryzyka, ale nadmierne obciążenie zadaniami już może nim być

PROF. PIOTR GAŁECKI

jak i w jego otoczeniu – może przyczyniać się do skuteczności leczenia. Duch walki i pozytywne przewartościowanie wobec choroby działają konstruktywnie, a lęk, bezradność i beznadzieja destrukcyjnie. Psycholog opisuje trzy strategie zachowania przyjmowane intuicyjnie zarówno przez chorych, jak i ich najbliższe otoczenie. Pierwsza koncentruje się na unikaniu stresujących sytuacji, odpychaniu od siebie myśli o trudnych doświadczeniach i odsuwaniu ich przeżywania. Druga skupia się na własnych emocjach, przeżyciach, fantazjowaniu i myśleniu życzeniowym. Trzeci styl cechuje osoby zadaniowe. Wobec pojawiających się przeciwności

mają tendencję do planowania, podejmowania wysiłku, którego celem jest rozwiązywanie problemu. To właśnie postawa dająca najlepsze efekty terapeutyczne. Z kolei osoby skupiające się na własnych przeżyciach zazwyczaj działają destrukcyjnie. Szkopuł więc w tym, by także dostały wsparcie.

Gdy polska czwórka podwójna wpadła druga na metę w czasie Igrzysk Olimpijskich w Tokio, jedna z wioślarek poczuła wyjątkowo wielką ulgę. Im cięższa jest osada, tym trudniej płynąć szybko. A Agnieszka Kobus-Zawojaska trenowała i startowała z gigantycznym ciężarem. W czasie obozu przygotowawczego i podczas startu była na lekach antydepresyjnych. Ale dała radę, wywiosłowała upragniony medal. Wiele zawdzięcza bliskim. W rozmowie z magazynem „Twarze Depresji” powiedziała: „Obarczałam moim problemem męża i trochę też najbliższą rodzinę”.

Maciej Zawojski pamięta to inaczej. – Nie czułem się obarczony. Nie traktowałem tego jako obowiązku. Po prostu jestem kochającym mężem i lubię widzieć uśmiech Agnieszki, więc kiedy okazało się, że mnie potrzebuje, robiłem wszystko, by jej pomóc – opowiada. Kiedy wioślarki były na obozie i Agnieszka zadzwoniła zapłakana, natychmiast wziął urlop i pojechał do niej. Sytuacja i stan żony go martwiły, ale dominowała chęć znalezienia rozwiązania. – Najważniejsze jest, by szukać pomocy i zachęcać chorą do kontaktu z lekarzem, z psychologiem. Dla osoby w depresji wykonanie takiego kroku jest często bardzo trudne – dodaje Zawojski.

Woydyłło-Osiatyńska: – Zajmując się kimś w kryzysie, trzeba przyjąć pozycję aktywną, proponować rozwiązania, działać. To mogą być nawet małe gesty i drobne „polecenia”. Można wręcz świadomie zgubić w domu przedmiot i poprosić o pomoc w jego znalezieniu, by tylko chory podjął jakąś aktywność i zaczął czuć się potrzebny. Ale może to zrobić tylko człowiek, który zadba o siebie, który sam ma się dobrze. **N**

marcin.chlopas@newsweek.pl

Izabela Krywiczanin
z rośliną *Anthurium regale*
pochodzącą z Peru





ROŚLINY, KTÓRE WYWOŁUJĄ EMOCJE

Pożądanie owłosionej łodygi

Jeden wyskoczy z helikoptera nad amazońską dżunglą, inny obrabuje ogród botaniczny. Grupa kolekcjonerów roślin, którzy zrobią wiele, by zdobyć unikatową sadzonkę, od kilku lat rośnie szybciej niż paprocie

TEKST MARCIN CHŁOPAS

Największą wtopą była monstera *Adansonii variegata*. Niewielka sadzonka, która miała może cztery listeczki, kosztowała Małgorzatę Wierzbicką 19 tysięcy złotych. Unikatowa roślina. Część była jasna, prawie biała, druga intensywnie zielona. Do tego każdy liść miał nieregularnie rozmieszczone dziury w finezyjnych kształtach. Ale rok później to już nie był biały kruk. Cena spadła do kilkuset złotych. Dziś taki kwiat doniczkowy można kupić w markecie budowlanym za 239 zł. – Gdy szukam czegoś nowego, kwestie dekoracyjne są dla mnie pierwszorzędne. Po prostu roślina musi mi się podobać, a wtedy potrafi wzbudzić duże emocje. Potem jest jeszcze satysfakcja, gdy robi się coraz większa i ładniejsza – opowiada kolekcjonerka spod Rzeszowa.

Poza zachwytem są jeszcze podniety w hazardowym stylu. Kupując niespotykany okaz, płacisz spore pieniądze za nieukorzeniony liść. Do okazałej rośliny długa droga, jest więc ryzyko, że gdzieś popełnisz błąd i nowy nabytek po prostu uschnie. Z monstera było odwrotnie – rozwijała się ładnie, szybko, bez specjalnej uwagi właścicielki. I po tym moż-

na się było zorientować, że jej rynkowa wartość błyskawicznie się załamała.

ZWYKŁY PRZEMYSŁ NIEZWYKŁYCH OKAZÓW

– **JEŚLI ROŚLINA** MA CIEKAWY WYGLĄD, jest rzadka, rozchwytywana, więc i droga, a do tego staje się coraz bardziej pożądana, bo jakaś celebrytka wrzuciła jej zdjęcie na Instagram, producenci staną na głowie, by doprowadzić do masowej sprzedaży. Przemysłowe rozmnażanie przeprowadza się metodą in vitro. Jeśli się udaje, najpóźniej w ciągu dwóch lat na rynek trafiają dziesiątki tysięcy sztuk i cena spada – tłumaczy Michał Gąstał, właściciel sklepu internetowego Coca Flora.

Tak było z dwubarwną monstera oraz innym „świętym Gralem” sprzed trzech lat – filodendronem „pink princess”. Niegdyś kilkaset złotych za małą sztukę, dziś 17,99 i utrata statusu towaru kolekcjonerskiego. Być może stąd wśród miłośników zielonych mieszkań pojawia się przekonanie, że ze zbieraniem rzadkich roślin dziś to już nie to samo, bo wszystko jest dostępne. Tak naprawdę, gdy na początku pandemii wybuchł szal na domową botanikę, a sklepy nie nadążały z wysyłaniem zamówień, ciężko pracowały też firmy prowadzące ma-

sową produkcję. – Pakiet 10-15 roślin, które wtedy były modne, trafił już do powszechnej sprzedaży. Kto więc zainteresował się kolekcjonowaniem roślin na początku pandemii, dziś może mieć wrażenie, że ten rynek spowszechniał i nie ma już roślin kolekcjonerskich – mówi Gąstał. Unikaty jednak nie zniknęły. Są, ale dla wtajemniczonych.

– Kto jest naprawdę wkręcony w temat, szuka na zagranicznych aukcjach, w zagranicznych grupach. Oglądam tak masę roślin, a gdy któraś mi się spodoba, zaczynam starania, żeby ją sprowadzić. Mam grono osób, które o tym wiedzą i raz po raz pytają o nowości, bo chcieliby jakąś ładną sadzonkę – opowiada Małgorzata Wierzbicka. To właśnie wyższy stopień wtajemniczenia. – Kto jedynie śledzi posty w grupie kolekcjonerów, ten nawet nie zobaczy unikatów. One się rozchodzą po znajomych, przez prywatne wiadomości, na aukcjach – dodaje Wierzbicka, która dziś nie tylko kolekcjonuje, ale i sprzedaje rośliny hodowane samodzielnie lub sprowadzane z zagranicy z myślą o handlu.

Dla importujących z Ameryki Południowej i Oceanii, bo stamtąd pochodzi większość niebanalnych eksponatów, to kolejny element hazardowy. Są gatunki,



które teoretycznie łatwo rozmnożyć, ale słabo znoszą transport, więc dostarczenie ich do Europy to problem i ryzyko. Wydajesz fortunę na roślinę i przesyłkę w profesjonalnym opakowaniu, a i tak po ocleniu w kraju odbierasz suchy badył.

DOMOWA DŻUNGLA

W PRZECIWIENSTWIE DO ŚWIATA KOLEKCJONERÓW SZTUKI czy znaczków u miłośników botaniki w cenie są przede wszystkim nowości. Ale i takie gatunki, które ciężko „skopiować”. Bo nie wszystkie rośliny nadają się do masowej produkcji. Niektóre rozmnażają się niechętnie, rosną powoli i nie poddają się in vitro. Wtedy przemysł się nimi nie zainteresuje, podaż nie wzrośnie, więc chętny na sadzonkę zawsze będzie musiał sporo za nią zapłacić – od kilkuset złotych do kilkudziesięciu tysięcy. Jednak co do zasady nawet w takich przypadkach cena z czasem raczej maleje, niż rośnie.

Marzec 2020 r. Ktoś wszedł do ogrodu botanicznego w San Diego i ukradł jedną z najbardziej pożądanых roślin świata. Musiał być dobrze przygotowany, bo filodendron *Spiritus sancti* wisiał w donicy kilka metrów nad ziemią. Pracownicy ogrodu podejrzewają, że złodziej miał teleskopowy kij zakończony ostrym nożem. Ślady wskazywały, że odnogę ucięto na szybko, w barbarzyński sposób uszkadzając roślinę wartą wówczas ponad 7 tys. dolarów. Dzisiaj podobny okaz kosztowałby 3-4 razy mniej, ale nadal jest trudnym do zdobycia obiektem pożądania kolekcjonerów. Powodem są właśnie trudności w tworzeniu nowych sadzonek, ale i kłopotliwe utrzymanie. *Spiritus sancti* wymaga odpowiedniej gleby, światła, stałej temperatury między 19 a 24 st. Celsjusza i wilgotności powietrza na poziomie 80 proc. Na parapacie w polskim mieszkaniu raczej szybko padnie. Trzeba zbudować mu specjalny boks wyposażony w wiele urządzeń bez przerwy utrzymujących odpowiednie warunki.

Izabela Krywiczaniin jest w drodze na wakacje. Zawsze ciężko jej się wyjeżdża, bo ciągle myśli, że powinna jednak dbać o rośliny. – Mam zamontowaną kamerkę i urządzenia do pomiaru temperatury

i wilgotności, więc na bieżąco podglądam parametry w aplikacji. Ale gdyby doszło do awarii i na dłuższy czas zabrakłoby prądu, zwłaszcza zimą, to byłby problem – mówi warszawianka, która specjalizuje się w roślinach z rodziny *Araceae*. Większość z jej okazów potrzebuje dużych temperatur, wysokiej wilgotności powietrza i wentylacji. – Chociaż zostawiam rośliny w dobrych rękach, bo moja mama ma klucz i chodzi się nimi opiekować, a sama też jest miłośniczką zieleni, to zawsze z tyłu głowy mam obawy – deklaruje Krywiczaniin.

”

Mam listę wymarzonych roślin, ale jeszcze trochę zdrowego rozsądku mi zostało, bo w grupie fanatyków można przeczytać: „oddam nerkę w zamian za roślinę...”

IZABELA KRYWICZANIIN

CISZA NAD CENNIKIEM

KOLEKCJONERKA MA 600 ROŚLIN. Zaczęła je rozmnażać, by wymienić się lub sprzedać. Żeby to robić legalnie, skończyła kurs, zdała państwowy egzamin. Jest zarejestrowana jako podmiot profesjonalny i do każdej sadzonki wystawia paszport, opisując jej rodzaj oraz pochodzenie. Dwa razy do roku przechodzi oficjalne kontrole. Sprawdzany jest stan roślin, by nie roznosiły chorób i szkodników. Wszystko musi być klarowne dla wszystkich.

Trochę inaczej jest z cenami. Zdarza się, że klienci przyjeżdżają do niej z kimś z rodziny i na wstępie puszczają oczko lub szepczą, by nie mówić otwarcie, ile

to kosztuje. – Wiele razy zdarzyło się, że ktoś udawał przed mężem lub żoną, że płaci 80 złotych za sadzonkę, kiedy de facto kosztowała dziesięć razy więcej. Albo w tytule przelewu pisał „zwrot”, żeby w rodzinie się nie zorientowali, co to za wydatek – mówi Izabela. Dla kolekcjonerów emocje płynące z posiadania wymarzonego egzemplarza są bezcenne.

– Czy można mieć emocjonalny stosunek do rośliny? – pytam.

– Jeśli się pisze w grupie fanatyków: „oddam nerkę w zamian za roślinę taką i taką”, to chyba można. A widuję takie posty. Ja na szczęście jeszcze trochę zdrowego rozsądku mam, ale mam też listę wymarzonych roślin, za które dałabym dużo. Czekam i szukam, w końcu trafią w moje ręce – odpowiada Krywiczaniin.

Małgorzata Wierzbicka też przyznaje, że rośliny dają jej ogromne emocje. – Pierwszą kupiłam po tym, jak koleżanka pokazała mi jeden unikatowy i koszmarnie drogi, przynajmniej tak wtedy myślałam, liść. Ale tak bardzo mi się spodobał, że też się zdecydowałam. Potem już poleciało. To było jak nałóg. Chciałam mieć więcej i więcej, i to, i tamto, bo tego nikt nie ma. Najbardziej emocjonujące były te okazy, które najtrudniej zdobyć. Nagle masz coś, o czym wszyscy marzą i możesz się tym pochwalić, wzbudzając szczerą zazdrość – opowiada, dodając, że to nie musi być nic wielkiego. Niektóre cenne okazy kolekcjonerskie to małe rośliny z liśćmi wielkości paznokcia.

NA EKWADORSKIM ZBOCZU

W ICH OPISACH RÓWNIE CZĘSTO CO O NIEDOSTĘPNOŚCI mówi się o wyjątkowości. – Wyobraźmy sobie monstrę, bardzo popularną roślinę. Pewnego razu ktoś widzi w szklarni, że u jednej z sadzonek dokonana się mutacja, pojawiły się na niej białe czy żółte plamy, które wyglądają ciekawie. Kolekcjonerów to interesuje, ale na 10 tysięcy sadzonek jest tylko jedna taka. Jej wartość od razu idzie w górę, ale na razie takiego unikatku się nie sprzedaje. Fachowiec oddzieli tę jedną i zacznie pracę nad powieleniem jej niezwykłej cechy. Tak się tworzy nowe obiekty pożądania – opowiada Michał



Małgorzata Wierzbicka kolekcjonuje rośliny tropikalne


Gąstał, bo przypadek *Adansonii variegata* jest w środowisku powszechnie znany. Czasami nowość nie jest efektem mutacji ani poszukiwań w egzotycznych zakątkach internetu, tylko prawdziwych pionierskich wypraw w dziewicze tereny.

Nad stromą górą gdzieś w Ekwadorze zawisa śmigłowiec. Kilka osób zjeżdża po linie do gęstego, niedostępnego inną drogą lasu. To najczęściej pasjonaci nastawieni na poszukiwania. Większość z nich specjalizuje się w konkretnych rodzinach roślin. Szukają nowych gatunków. Znajdują dość często, bo – wbrew pozorom – ludzkość nie odkryła znacznej większości roślin i zwierząt żyjących na świecie. Naukowcy szacują, że nieopoznane jest nawet 86 proc. flory Ziemi – podaje serwis Crazy

Nauka. Jeśli rośliny, które znajdzie ekspedycja, nie mają cech szczególnych, pewnie zostaną opisane i trafią tylko do specjalistycznych opracowań dla botaników. Ale jeśli będzie to roślina ciekawa, to ma szansę trafić do sprzedaży. – Kolekcjonerzy pożądamy nietypowych rozmiarów liści, niezwykłych kształtów, wybarwień czy owłosienia łodygi. Jeśli eksploratorzy znajdą coś takiego i wprowadzą na rynek, to tanio nie będzie. Okazów mało, a cena musi zrównoważyć wydatki poniesione na wyprawę – podkreśla Gąstał.

RATOWAĆ, CO SIĘ DA I KOCHAĆ JAK PSA

IZABELA I MAŁGORZATA MAJĄ W SWOICH DOMACH SPECJALNE POMIESZCZENIA

przeznaczone tylko dla ich kolekcji. Podobno do roślin łatwiej się przywiązać niż do znaczków czy butów. Bo trzeba o nie dbać każdego dnia i widać tego efekty – rośnie, zmienia się, odżywa i kwitnie albo obumiera. Z rośliną nawiązuje się kontakt jak z psem czy kotem. Jeśli się o coś dba, to pojawiają się emocje. Kolekcjonerki tłumaczą, że to tak samo jak z psem, którego mamy od szczeniaka, bawimy się z nim, leczymy, spacerujemy, przyjaźnimy. Pozbyć się go przecież nie sposób. A przy okazji wiele z tych okazów to gatunki zagrożone. Być może przetrwają wyłącznie dzięki zaangażowaniu i konewkom kolekcjonerów. 

marcin.chlopas@newsweek.pl



OPOWIEŚĆ TANATOPRAKTYKA

Śmierć przypudrowana

Ludzie uważają, że jak ktoś pracuje przy trupach, to jest nienormalny albo pijak. Nie biorą pod uwagę, że to może być misja – mówi **PAWEŁ GRZYBOWSKI**, który przygotowuje zmarłych do pochówku

ROZMAWIA KAROLINA ROGASKA



NEWSWEEK: Śnią się panu zmarli, którymi się pan zajmował?

PAWEŁ GRZYBOWSKI: Na szczęście nie, ale bałem się, że tak będzie, gdy zacząłem swoją przygodę z tanatopraktyką. Mój kuzyn, który pracuje w domu pogrzebowym, przez pierwszy miesiąc tej roboty prawie nie zmrugał oka. Wydawało mi się, że u mnie będzie tak samo. Tym bardziej że ciała zmarłych zawsze mnie odstręczały. Tata pracował na cmentarzu, a ja w czasie wakacji dorabiałem sobie, wykonując tam drobne prace porządkowe, jednocześnie będąc ministrantem. Pamiętam, jak pewnego dnia dzwoniłem dzwonem na odprowadzenie zmarłego do grobu, a był akurat pogrzeb za pogrzebem. Zakład wniósł do kaplicy kolejną trumnę, zostawili otwarte wieko i poszli. Byłem tak przerażony, że odłożyłem sznur dzwonu i uciekłem z kaplicy.

Skoro zmarli budzili w panu tyle emocji, to skąd pomysł, by zajmować się przygotowaniem i malowaniem ich do pochówku?

– Motywacją była śmierć babci. A raczej to, jak źle zaopiekowano się jej ciałem po śmierci. Poprosiliśmy dom pogrzebowy, żeby ją przygotowało, ale jego pracownicy ewidentnie się nie przyłożyli. Dla naszej rodziny to była kolejna trauma. Uznałem, że chcę sprawić, by inni ludzie nie musieli przez to przechodzić. Na początku myślałem o założeniu własnego zakładu i zatrudnieniu kompetentnych ludzi, żeby zajmowali się kosmetyką, ale prowadziłem wtedy dwa sklepy spożywcze i nie było przestrzeni na tworzenie kolejnego biznesu od podstaw. Zapisałem się więc na szkolenie z sanitarnego przygotowania zwłok. To były dwa intensywne dni pod okiem instruktora. Potraktowałem je jako test, czy dam radę. I ku mojemu zdziwieniu bardzo szybko przełamałem wstręt i strach. Drugiego dnia szkolenia wstałem kilka godzin przed budzikiem, tak bardzo byłem podekscytowany.

Po dwóch dniach zaczął pan samodzielną pracę?

– Na początku brałem ze sobą ojca. W razie, gdybym zemdlął czy nie dawał sobie z czymś rady. Trzeba pamiętać, że każdy pacjent, każdy przypadek jest inny i tak

naprawdę uczymy się cały czas czegoś nowego. Dwa dni to na pewno za mało, dopiero z regularną praktyką przychodzi wprawa.

Teraz to pana główne zajęcie?

– Sklepy zamknąłem, bo przestały być opłacalne. Jestem koordynatorem do spraw sprzedaży w markecie budowlanym. Tanatopraktyka to dodatkowe zajęcie, pasja. Chciałem się tym zajmować na pełen etat, ale to wcale nie takie proste. Zlecenia dostaję zazwyczaj bezpośrednio od rodzin. Niestety, wielu ludzi wciąż nie wie, że można skorzystać z takich usług, nawet domy pogrzebowe nie zawsze mają tę wiedzę. A zatrudniać kogoś na stałe też się zakładom nie opłaca. W wielu ważny jest pieniądz – pracownik zakładu robi więc wszystko: od przywie-

skomplikowana sprawa. Szczególnie dla ludzi bez przeszkolenia.

W którym momencie zaczyna się pana praca z ciałem?

– Czasem już w kaplicy, kiedy rodzina chce poprawić coś po pracownikach zakładu albo zależy jej tylko na makijażu. Zazwyczaj jednak zaczyna się w zakładowym prosektorium. Wtedy pierwszym krokiem jest identyfikacja ciała. Są domy pogrzebowe, gdzie jest 40 ciał jednocześnie i łatwo może dojść do pomyłki. Zawsze muszę się upewnić, czy o tę osobę chodzi. Mam oczywiście w miarę aktualne zdjęcie tej osoby, ale twarz po śmierci bardzo się zmienia. Czasem to też osoby po wypadkach. Jak już mam pewność, to biorę się do powierzchniowej dezynfekcji, a potem zabezpieczenia ciała przed wyciekami.

To znaczy?

– Naturalne otwory ciała trzeba zabezpieczyć bawełną i zrobić podszycie szczękowo-żuchwowe, żeby usta się nie otwierały. Czasem dochodzi do tego tanatoplastyka, czyli odtwarzanie zniszczonych fragmentów specjalnym woskiem funeralnym. Zdarza się też, że poprawiam zycia po szpitalu – jeśli pacjent zmarł na stole operacyjnym, to zazwyczaj jest pozszywany byle jak.

Potem makijaż? Robi się go zwykłymi kosmetykami?

– Samo wykończenie, jak cienie na powieki czy szminka, mogą być drogeryjne. Ale już podkład nie – inaczej wszystko, co namaluję, spłynie. Muszę mieć produkt odporny na zmiany temperatur, bo po zabiegach zmarły zazwyczaj trafia jeszcze na jakiś czas do chłodni. Jeśli jest takie życzenie, to farbuję też włosy czy maluję paznokcie. Z tym ostatnim mam największy problem. Siostra musiała sporo czasu poświęcić, żeby mnie nauczyć, bo na kursie czasu na takie rzeczy już nie ma. Zanim jednak wezmę się do makijażu, to trzeba zrobić wypełnienie. Twarz, a szczególnie oczy, zapadają się po śmierci. W oczodoły i pod skórę wprowadza się specjalny wypełniacz tkankowy, trzeba tylko uważać, żeby nie przesadzić. Takie wypełnienie podane w nadmiarze może odmłodzić twarz o kilkanaście lat i człowiek się robi niepodobny do siebie.



Coraz częściej zastanawiam się, co będzie ze mną po śmierci. Jednocześnie mniej się przejmuję tym, co ziemskie i cielesne

zienia ciała przez makijaż po zakopanie zwłok. Efekty bywają adekwatne do włożonego wysiłku.

Słyszałem o klejeniu powiek zmarłego kropelką czy wkładaniu zwykłych tamponów, żeby zamknąć otwory zmarłego. Sam zresztą raz byłem świadkiem podobnej sytuacji – rodzina wezwała mnie do zmarłego już leżącego w kaplicy, bo był źle przygotowany, a żeby zapobiec wyciekom płynów, pracownicy zakładu wsadzili mu w usta ręcznik papierowy. Rozmiękł tak, jak rozmiękają chusteczki wrzucone do wody. Można się domyślić, że nie spełnił swojej funkcji.

Czyli zakłady zazwyczaj ograniczają się tylko do podstawowego odkażenia?

– Zgadza się, tanatopraktyka i będąca jej elementem tanatokosmetyka to bardziej

A chcemy przywrócić naturalny wygląd osoby zmarłej. Ważna zasada przy stosowaniu kosmetyków – czasami im mniej, tym lepiej.

Czym to, co pan robi, różni się od balsamacji?

– Balsamacja to proces sterylizacji i dezynfekcji ciała oraz przywrócenia naturalnego wyglądu, który odbywa się od wewnątrz. Wymienia się krew i płyny ustrojowe na specjalne mieszanki chemiczne. Chroni to też ciało przed rozkładem. Jest wymagana, jeśli ciało ma być transportowane np. samolotem. Jednak ogólnie mało ludzi z niej korzysta. Może czasem na wsiach, gdzie wciąż jest tradycja, by zmarły przez kilka dni leżał w trumnie w domu. Balsamacja jest gwarantem, że niczym się od niego nie zarazimy.

Domyślam się, że zapach podczas pracy jest mało przyjemny, ma pan jakiś sposób, by to wytrzymać?

– Przede wszystkim staram się oddychać ustami. Do tego przed założeniem maski ochronnej spryskuję ją perfumami. Jeśli klient wydziela bardzo silny zapach, to w kaplicy, gdzie ma być złożony, rozpylam taką funeralną mgiełkę z olejkami z goździka i róży. Wydaje mi się też, że nakładam na tyle dużo warstw odzieży ochronnej, że ten zapach na mnie nie zostaje. Przynajmniej taką mam nadzieję, bo jak się przy tym pracuje, to jednak nos się przyzwyczaja. W każdym razie nikt mi na to nigdy nie zwrócił uwagi.

Są jakieś zlecenia, których by się pan nie podjął?

– Czasem odmawiam rekonstrukcji i makijażu topielcom i osobom po poważnych wypadkach. Kiedy ciało jest mocno pogruchotane i uszkodzone, praca tanatopraktyka może bardziej zaszkodzić, niż pomóc. I na pewno nigdy nie podejmę się pracy z dziećmi. Nie dałbym rady. Tym bardziej że mam w rodzinie historię śmierci dziecka – gdyby ona wróciła w prosektorium, mogłyby obudzić się przykre wspomnienia. Zresztą domy pogrzebowe zazwyczaj proponują, by rodzice sami przygotowywali dzieci do pogrzebu. To dla nich dodatkowy czas, by się pożeg-



Czujemy, że ten zawód to nasza misja – pomagamy ukoić ból tych, co zostali przy życiu

nać. Moja siostra – bo to jej córka zmarła – się na to zdecydowała i mówi, że nie zmieniłaby swojej decyzji.

Zdarzyło się, że jakaś rodzina była niezadowolona z pana usług?

– Na szczęście nie. Ale miałem kiedyś klientkę, która uparła się, żeby mi towarzyszyć w trakcie wykonywania praktyk. Byłem oporny, bo wiem, że dla laika to, co robię, może wyglądać drastycznie. Ona jednak nie ustępowała. Wpuściłem ją na salę, a ona cały czas dotykała zmarłego, poprawiała ubranie, sugerowała, że można tutaj jeszcze coś dodać. To trudne, kiedy wiesz, że ktoś, komu życie się rozpadło, wścieka się i na zmianę lamenuje, a ty musisz pozostać profesjonalny. Mam taką metodę, że staram się jak najwięcej milczeć i tylko słuchać. Bo i co powiedzieć w takiej sytuacji?

Pan kiedyś płakał podczas pracy?

– Nie. Może dlatego, że się dziećmi nie zajmuję. A przy starszych umiem wyłączyć emocje. Wchodzę i skupiam się na zadaniu, na tym, żeby zmarły wyglądał tak, jakby tylko spokojnie spał w trumnie. Oczywiście z poszanowaniem ludzkiego ciała.

Jak znajomi, partnerki czy koledzy z pracy w handlu reagują na to, czym się pan zajmuje?

– Zaciekawieniem albo zdziwieniem. Dużo dopytują, ale ja ich wtedy odsyłam do moich mediów społecznościowych, tam wiele wyjaśniam, nie chce mi się po sto razy odpowiadać na to samo pytanie. Wyjątkiem była jedna dziewczyna, z którą byłem na randce. Kiedy dowiedziała się, co robię, powiedziała, że za żadne skarby nie chce o tym słuchać. I dobrze, bo ja się trzymam zasady, że co się dzieje w prosektorium, to tam zostaje.

Nikt się nie naśmiewa?

– Tak bezpośrednio to nie. Choć ja wiem, jakie chodzą o nas historie. Że jak ktoś jest tanatopraktykiem, to na pewno musi być nienormalny albo że jest pijak, bo na trzeźwo by się tak z trupami nie dało. Niewiele ma to wspólnego z prawdą. Ani ja, ani moi znajomi z branży nie mamy problemu z alkoholem. Po prostu czujemy, że ten zawód to nasza misja – pomagamy ukoić ból tych, co zostali przy życiu.

Mam za to koleżanki, które wprost słyszały niemiłe rzeczy, i to od właścicieli domów pogrzebowych. Naśmiewali się, że jak można kobietę do tego zatrudnić, jak czasem martwi i po 200 kilo waży i jak ona sobie poradzi z ubraniem takiego delikwenta. A siła nie ma tu nic do rzeczy. Właściwie każdy da radę, jak się do tego odpowiednio zabierze.

Czyli jak?

– Najpierw trzeba wykonać coś, co ja nazywam rehabilitacją. To taka gimnastyka ciała poprzez rozruszanie zastygniętych kończyn – wygląda to podobnie jak rehabilitacja osób z niepełnosprawnościami. Do tego dochodzą odpowiednie techniki chwytu, gdy chcemy zmarłego podnieść czy przesunąć.

Ta praca zmieniła pana podejście do śmierci?

– Jako że jestem wierzący, coraz częściej zastanawiam się, co będzie ze mną potem. Jednocześnie mniej się przejmuję tym, co ziemskie i cielesne. W końcu z nas wszystkich i tak zostanie jedynie stos kości. **N**

karolina.rogaska@newsweek.pl

NIE TYLKO BIZNES

Mikołaj Kunica

Czekoladowe uniesienie



Nie chcę od nich żadnych pieniędzy – hardo rzuciła ciotunia Wanda w trakcie czwartkowego five o'clock'u u babci Marysi, gdy w lapidarnej rozmowie o polityce, gotowaniu i aurze wspomniałem półgębkiem o nadciągającej wraz z wielkanocną nadzieją 13. emeryturze.

Nie drażąc drażliwej, jak widać, kwestii portfela osób, o których z żelazną konsekwencją pan premier mawia „nasi drodzy seniorzy”, warto zatrzymać się przy samym systemie świadczeń i transferów socjalnych w kraju starzejącym się niemal najszybciej w UE. Czy ciocia Wanda chce, czy też ma w głębokim poważaniu politykę senioralną PiS, to i tak pojawi się u niej zajacek z trzynastką, bo ZUS tak to pospinał, że kasa ekstra trafi na rachunki cioci oraz babci Marysi wraz z kwietniową emeryturą. Zajacek zapuka do 9,7 mln ludzi, bo trzynastka należy się wszystkim emerytom i rencistom, także 78-letniemu informatykowi z Poznania, który po przepracowaniu 58 lat pobiera miesięczne świadczenie w kwocie 22 776,86 zł na rękę.

To nie koniec dobrych wiadomości. Inflacja, jak zapewnia prezes Glapiński, ma co prawda „wygasać”, ale na razie jakoś nie zamierza i bije rekordy wszech czasów. A jeśli tak, to i do emeryckiego garnuszka (jeszcze bez trzynastek) rząd dosypać musi. Już od marca większość świadczeń jest zwaloryzowana rekordowo wysokim wskaźnikiem 14,8 proc. z gwarancją minimalnej podwyżki o 250 zł brutto. Żeby jednak nie było tak miło, to w senioralnym zagajniku na kolejny zaciąg emerytów czai się z początkiem kwietnia wilk ukryty za nowymi tablicami średniego dalszego trwania życia. Kasa bezwzględnie, z matematyczną precyzją.

Z tablic pani prezes ZUS Gertrudy Uścińskiej wynika, że skoro nie ma już pandemii, to 60-latkowie pociągną jeszcze średnio 254,3 miesiąca (o 16 dłużej, niż szacowano rok temu), a przed 65-latkami ponad 16 wiosen. Ponieważ każda z nich kosztuje, a finansowana ma być z odłożonej (przynajmniej w teorii) składki, to emerytury przyznane na podstawie wniosków złożonych od 1 kwietnia mogą być nawet o kilkaset złotych niższe niż świadczenia osób, które zawnioskowały o nie raptem kilka dni wcześniej. Absurd? Nie pierwszy i nie ostatni, ale wraz z nadejściem Wielkanocy model polityki socjalnej obnaża je bezwzględnie.

Choć wiosny lecą niemiłosiernie, jako wciąż w miarę czynny redaktor nie łapię się do ZUS-owskich tablic, ale dzięki czujności przyjaciółki towarzyszącej mi pani G. odkryłem, że i ja z socjalnego kociołka może nie chochlą,

ale łyżeczką pożywić się zdołam. Trzeba tylko się spieszyć, bo kwiecień za pasem i darmowa stawa odjedzie. Wszystko za sprawą latorośli opływającej w matczynej miłości, zajęcia pozaszkolne i inne zachcianki stanów wyższych polskiej klasy średniej. Młoda dama z uwagi na inne źródła finansowania była o włos od utraty kolejnego wynalazku rozdawanego hojnym gestem wszystkim niezależnie od kondycji i potrzeb. Bon turystyczny wygasał wraz z ostatnim dniem marca, a przecież ferie skończyły się grubo ponad miesiąc temu i weź tu coś zaplanuj na już? Gdy o redystrybucję podatków chodzi, to jednak ciężko dobrowolnie złożyć na ołtarzu gapiostwa 500 złotych. I oto z pomocą przyszedł sektor HoReCa wsparty przez segment beauty & wellness. Szeroki wachlarz propozycji SPA oferował zabieg pielęgnacyjno-relaksacyjny dla najmłodszych „czekoladowe uniesienie”. Czy którakolwiek nastolatka (a pewnie nie tylko) dobrowolnie przepuści nieoczekiwaną okazję?

Rozdawanie szerokim gestem publicznych środków, bez najprostszycy choćby kryteriów dochodowych, kompromituje politykę socjalną

Pytanie o świadome kreowanie celów polityki społecznej za pomocą rosnącej nieustannie liczby programów i transferów społecznych w polskich realiach jest równaniem z ogromną sumą, ale bez odpowiedzi. W zeszłym roku na wypłatę 13. i 14. emerytury zrzuciliśmy się wszyscy kwotą blisko 25 mld zł. W tym roku za program 500+, który od lat nie poprawia dziecięci polskich rodzin, zapłacimy 40 mld. Na Dobry Start wydamy 1,4 mld zł, a Rodzinny Kapitał Opiekuńczy podniesie nasz wspólny rachunek o kolejne 2,4 mld. Za czekoladowe uniesienie – 150 zł – zapłacimy z puli, w której rząd zarezerwował z naszych podatków blisko 4,5 mld złotych. Tylko po co? Rozdawanie szerokim gestem publicznych środków, bez najprostszycy choćby kryteriów dochodowych, kompromituje skądinąd ważną w każdym społeczeństwie politykę socjalną. Nic dziwnego, że Polska jest jednym z nielicznych państw grupy OECD, w których wydatki socjalne w 2022 r. nie spadły po pandemii, lecz były praktycznie identyczne z poniesionymi – przy wielkiej mobilizacji całego aparatu fiskalnego – w kryzysowym 2020 r. Pytanie, ile przepaliliśmy, fundując sobie chwile czekoladowych uniesień. **N**

Mikołaj Kunica, redaktor naczelny Business Insider Polska



Bernadovo – wyjątkowe apartamenty w Gdyni

Trójmiasto to najpopularniejsza lokalizacja, w której Polacy kupują drugie domy, mieszkania na wynajem, a ostatnio także do zamieszkania. Osiedle Bernadovo w Gdyni kusi kupujących atrakcyjną przyrodą!

Jednym z największych atutów Bernadova jest jego lokalizacja. Osiedle powstaje na skraju Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego – takie sąsiedztwo nie tylko zapewnia ciszę, spokój i stały kontakt z przyrodą, ale także jest gwarancją, że w przyszłości w bezpośrednim otoczeniu nie powstaną inne inwestycje. Ponad połowę obszaru osiedla stanowi dojrzały, stary las, który będzie własnością mieszkańców Bernadova. Dzięki odpowiedniemu

zagospodarowaniu inwestycja będzie idealnym miejscem wypoczynku, niezależnie od pory roku. Na jej terenie powstaną alejki spacerowe, strefy wypoczynku, plac zabaw, ścieżki dydaktyczne oraz domki dla małych zwierząt, ptaków i owadów. Lokalizacja inwestycji w gdyńskim Małym Kacku, w oddaleniu od najbardziej zatłoczonych turystycznie rejonów, zapewnia relaks i spokój także w szczycie sezonu turystycznego. Nie oznacza to jednak, że z Ber-

nadova jest daleko do morza – do mola w Orłowie jest zaledwie 5 km, które autem dzieli mniej niż kwadrans. Bliskość obwodnicy Trójmiasta zapewnia szybki dojazd do mniej obleganych plaż w Babich Dołach, Mechelinkach czy Rewie. Mały Kack to dzielnica Gdyni o rozbudowanej infrastrukturze lokalnej, w której nie brakuje placówek edukacyjnych, ochrony zdrowia i sklepów, a w bezpośredniej okolicy znajdują się popularne centra handlowe Riviera i Klif.

– Trójmiejskie nieruchomości nabywane jako „second home” czy inwestycyjnie pod wynajem wybierane są najczęściej pod kątem odległości od morza. W zwartej, miejskiej zabudowie oznacza to nierzadko pójście na kompromisy w postaci niższego standardu, mniej atrakcyjnego sąsiedztwa czy po prostu turystycznego zatłoczenia. My oferujemy coś innego – Bernadovo dzięki absolutnie unikalnej lokalizacji na granicy Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego gwarantuje kupującym ciszę, spokój i bezpośredni kontakt z naturą niezależnie od pory roku, przy zachowaniu niewielkiej odległości od bałtyckich plaż i pełnego dostępu do miejskiej infrastruktury. Wysoki standard i liczne udogodnienia w tej inwestycji czynią ją atrakcyjną alternatywą dla osób poszukujących domów poza miastem – mówi Wojciech Smolak, dyrektor sprzedaży i marketingu BPI Real Estate Poland.

Osiedle Bernadovo wyróżnia elegancka architektura autorstwa renomowanej pracowni Roark Studio, doświadczonej w projektowaniu topowych inwestycji z segmentu premium w Trójmieście. W ramach projektu powstanie 18 dwupiętrowych budynków ze 108 mieszkaniami o zróżnicowanych rozkładach i metrażach – od kompaktowych 2-pokojowych po przestronne 5-pokojowe apartamenty, do których na parterach przynależą będą ogródki, a na piętrach balkony i tarasy. Kameralność osiedla odzwierciedlają też same budynki – w każdym znajdzie się jedynie sześć lokali. Wszystkie będą standardowo wyposażone w system Smart Home z możliwością rozbudowy o dodatkowe moduły. Zastosowana drewniana stolarka okienna o dużych przeszkleniach zapewni odpowiednie doświetlenie mieszkań. Okna zostały wyposażone w szyby o optymalnym współczynniku odbicia, tak aby umiłowolny czas ptaki były bezpieczne.



„ Bernadovo dzięki unikalnej lokalizacji na granicy Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego gwarantuje kupującym ciszę, spokój oraz bezpośredni kontakt z naturą przy zachowaniu niewielkiej odległości od morza i bliskości miasta.

Wojciech Smolak, dyrektor sprzedaży i marketingu BPI Real Estate Poland

W inwestycji znajdują się liczne rozwiązania redukujące wpływ osiedla na środowisko naturalne. Dzięki zastosowaniu paneli fotowoltaicznych na dachach mieszkańcy będą płacić mniejsze rachunki za energię zużywaną w częściach wspólnych. Cała woda opadowa z terenu osiedla zostanie zagospodarowana dzięki zielonym dachom i użyciu zbiorników na deszczówkę z technologią rozsączania. Projekt będzie także posiadał certyfikat BREEAM na poziomie co najmniej „very good”, który gwarantuje realizację nieruchomości według najlepszych standardów, z troską o środowisko oraz o zdrowie i dobre samopoczucie mieszkańców. Do wyłącznej dyspozycji nabywców trafi również szeroka paleta udogodnień, cztery przestronne podziemne hale garażowe, rowerownie i stoja-

ki na jednoślady oraz wydzielone na zewnątrz miejsca do mycia psów i dwóch kółek. Na potrzeby mieszkańców osiedla również na zewnątrz powstaną stanowiska do ładowania pojazdów elektrycznych oraz aż 15 ogólnodostępnych miejsc postojowych dla odwiedzających mieszkańców gości. Na terenie inwestycji znajdzie się strefa fitness ze szklaną ścianą z pięknym widokiem na las oraz komfortowa sala klubowa. Całe osiedle będzie ogrodzone i objęte 24-godzinnym monitoringiem.

Belgijski deweloper BPI Real Estate Poland przewiduje zakończenie realizacji Bernadova w drugim kwartale 2024 roku. ●

Więcej informacji na: bernadovo.pl



PIOTR OSIECKI W PIERWSZYM WYWIADZIE OD ARESZTOWANIA

W MOJEJ SPRAWIE NIE MA PRZYPADKÓW

Dostawałem propozycje, z których wynikało, że moja wolność ma swoją cenę, na przykład w postaci oddania mojej firmy państwowej spółce za złotówkę. Nie zgodziłem się i przesiedziałem w areszcie 16 miesięcy – mówi **PIOTR OSIECKI**, założyciel największego prywatnego TFI

ROZMAWIA RADOSŁAW OMACHEL ZDJĘCIE FILIP KLIMASZEWSKI

Afera GetBacku to obok SKOK Wołomin największa afery finansowa III RP. Prawie 10 tys. osób i firm utopiło w sumie 3 mld zł, kupując jej obligacje, które okazały się prawie bezwartościowe, albo nie mogąc sprzedać akcji, gdy ich cena runęła. Na mocy porozumienia układowego odzyskują ledwie 25 proc. zainwestowanych kwot, i to w ratach do 2028 roku.

Spółka GetBack powstała dekadę temu do odzyskiwania długów klientów grupy finansowej Leszka Czarneckiego.

W 2016 roku firmę za 825 mln zł kupił fundusz Abris Capital Partners, by rok później wejść z GetBackiem na giełdę. Pozyskane dzięki temu 740 mln zł miało w większości trafić do GetBacku na zakupy kolejnych pakietów wierzytelności nadających się do windykacji. A także spółek z branży takich jak EGB, której przejęcie od funduszy Altus TFI GetBack uzgodniło tuż przed swoim wejściem na giełdę.

Towarzystwa Funduszy Inwestycyjnych Altus. Tak się jednak nie stało. GetBack i jego właściciel, czyli Abris, podzielili się pieniędzmi po połowie.

Już kilka miesięcy po sukcesie giełdowym okazało się, że GetBack ma problemy. Szef firmy Konrad Kąkolewski miał mocarstwowy plan budowy największego windykatora w regionie. Tyle że nie miał na to pieniędzy, także dlatego, że część obiecanych firmie środków z giełdy trafiła do Abrisu. Kąkolewski pieniądze na przejęcia zdobywał, emitując obligacje dystrybuowane przez banki mniejszym i większym inwestorom. Tylko od października 2017 roku do końca marca 2018 roku GetBack wcisnął klientom papiery dłużne warte znacznie ponad miliard złotych. Szkopuł w tym, że kupowane w pośpiechu pakiety wiarygodności nie przynosiły w odpowiednim tempie dochodów, które wystarczyłyby do terminowego wykupu długu. W kwietniu 2018 roku po ujawnieniu informacji, że firma szuka pomocy finansowej u podmiotów państwowych, GPW zawiesiła handel jej akcjami.

GetBack padł ofiarą zbyt ekspansywnej strategii finansowej długiem. Zawiodły także instytucje kontrolne i finansowe, takie jak KNF, które przymknęły oko na ryzyko związane z gwałtownie rosnącym zadłużeniem spółki. A sprawa szybko nabrała zabarwienia politycznego. GetBack sponsorował bowiem imprezy organizowane przez obóz władzy, o pakiet ratunkowy dla GetBacku zabiegał w 2018 roku między innymi Kornel Morawiecki, ojciec premiera. Zarzuty usłyszało w sumie pół setki menedżerów różnych firm i szczebli. Konrad Kąkolewski cztery lata spędził w areszcie. 16 miesięcy pod wątpliwym zarzutem przesiedział Piotr Osiecki, właściciel Altus TFI. Zdaniem prokuratury Altus sprzedał GetBackowi spółkę EGB po zawyżonej cenie.

Zainteresowaniem prokuratury nie cieszyli się dotąd menedżerowie funduszu Abris, czyli właściciela GetBacku w najgorętszym dla spółki okresie. Należący do Abrisu GetBack miał do tej pory status strony poszkodowanej.

Menedżerowie Abrisu do dziś przekonują, że nie wiedzieli, co dzieje się w nadzorowanej przez nich spółce. Na przykład w związku z zakupem spółki EGB notowanej na giełdzie i kupionej przez GetBack po due diligence i niezależnych wycenach. – Nikt nie miał wówczas wiedzy, że kapitalizacja notowanej na giełdzie EGB była efektem wielomiesięcznej manipulacji – mówi Wojciech Łukawski, menedżer Abrisu i były członek rady nadzorczej GetBack i przekonuje, że transakcja została przeprowadzona w złej wierze i z metodycznym fałszowaniem informacji. Jakich? Tego nie podaje.

O sprawie GetBacku rozmawiamy z Piotrem Osieckim.

NEWSWEEK: Trzy razy trafiał pan do aresztu w tej samej sprawie i trzy razy z niego wychodził. Miał pan rekordową w historii polskiego sądownictwa kaucję (108 mln zł), a prokuratura, żeby jej nie przyjąć, zamknęła na klucz drzwi do swojej siedziby...

PIOTR OSIECKI: I wciąż dzieją się dziwne rzeczy. Na początku marca, w środku dnia, w centrum Warszawy dwóch zakapturzonych smutnych panów kręciło się koło mojego samochodu. Jeden stał na czatach, drugi położył się pod zderzakiem i próbował coś zamontować.

” ZROBIONO ZE MNIE KOZŁA OFIARNEGO. PASOWAŁEM DO TEJ ROLI WSZYSTKIM: POLITYKOM, PROKURATURZE, KOMISJI NADZORU FINANSOWEGO I GŁÓWNEMU AKCJONARIUSZOWI

Ma pan wrogów?

– Z jednym podmiotem jestem w sądowym sporze. O zdarzeniu poinformowałem policję, całe zajście nagrały kamery monitoringu. Mam nadzieję że sprawcy zostaną zatrzymani i sprawa się wyjaśni.

Pięć lat temu prokurator zarzucił panu, że wartą rzekomo kilkadziesiąt milionów złotych spółkę windykacyjną EGB sprzedał pan firmie GetBack za 207 mln zł, co miało walnie przyczynić się do spektakularnego bankructwa tej drugiej.

Czuje się pan winny?

– Winny? Chyba dumny z rzetelnego wykonywania swoich obowiązków w stosunku do uczestników funduszy Altus TFI. Nawet student ekonomii wie, że w każdej transakcji jest perspektywa kupującego i sprzedającego. Ktokolwiek sprzedaje, stara się uzyskać jak najlepszą cenę. I to jest w porządku, pod warunkiem że sprzedający nie wprowadza kupującego w błąd co do wartości przedmiotu transakcji, nie oszukuje, tylko rzetelnie informuje kupującego o faktach. A kupujący może te fakty ocenić i wycenić. Prokuratura nie zarzuca mi oszustwa, tylko działanie na szkodę kupującego przez zawyżenie ceny. Moja sprawa to nic więcej jak tylko próba odwrócenia uwagi od prawdziwych sprawców działania na szkodę obligatariuszy. Ja też straciłem na obligacjach GetBacku istotne pieniądze.

Firmę EGB kontrolowane przez pana TFI Altus kupiło po 4 zł za akcję, a sprzedało rok później po 16 zł za akcję.

– Inwestycja w EGB była pochodną doświadczenia podobnej inwestycji z 2012 roku. Kupiliśmy wtedy pakiet akcji spółki windykacyjnej DTP, płacąc 2 zł za akcję, a po 10 miesiącach sprzedaliśmy część pakietu po cenie 8 zł na giełdzie, a resztę później inwestorowi branżowemu po 6,4 zł za akcję. Branża windykacyjna szybko się rozwijała. EGB miało zdrowe parametry finansowe, było jedną z najdłużej funkcjonujących na rynku firm, nie było zadłużone, ale poprzedni właściciele nie mieli na tę spółkę pomysłu.

Altus miał?

– Po zakupie EGB podpięliśmy do serwisowania warte dziesiątki milionów złotych portfele wiarygodności zgromadzone w funduszach Altusa. I tak spółka, nie wydając ani grosza, uzyskała dostęp do obsługi potężnych pakietów długów. Serwisant otrzymuje opłatę liczoną od skali dochodzonych wiarygodności. A także procent od odzyskanych długów, więc im większy portfel w zarządzaniu, tym większe zyski. A na koniec lepsza wycena. Tylko

na zarządzaniu jednym z takich portfeli Altusa roczne przychody EGB wzrosły o 5 mln zł.

Czyli fundusze wiarytelności Altusa budowały portfele długów, których windykowaniem zajmowała się EGB.

– Tak. To trochę tak jakby korzystało z zasobów wielkiego brata, co zwiększyło skokowo wartość EGB.

Kto do kogo przyszedł z propozycją zakupu albo sprzedaży EGB?

– 27 lutego 2017 roku do siedziby Altusa przyszedli Paweł Gieryński i Wojciech Łukawski, partnerzy zarządzający Abrisem.

Powiedzieli, że chcą konsolidować rynek w związku z planami wprowadzenia GetBacku na giełdę i zakup EGB wpisuje się w tę strategię. GetBack już wcześniej przyglądał się EGB, ale decyzja menedżerów Abrisu podjęta w 2017 roku doprowadziła do zawarcia tej transakcji.

I co pan na to?

– Altus TFI dokonywało w tamtym okresie na giełdzie transakcji wartych w przybliżeniu 200 mln zł tygodniowo! Zarządzaliśmy kapitałem własnym rzędu 800 mln zł i powierzonymi aktywami wartymi w sumie ok. 18 mld zł. W naszym biznesie każda spółka jest na sprzedaż w każdej chwili, ale pod warunkiem uzyskania dobrej ceny.

Co wydarzyło się po tym spotkaniu?

– W marcu 2017 roku przyszedł e-mail z kancelarii prawnej inicjujący przeprowadzenie kolejnego due diligence, czyli prześwietlenia firmy przed jej zakupem. To nie była przypadkowa kancelaria, tylko Greenberg Traurig, w której partnerem jest mąż Pauliny Pietkiewicz, reprezentującej wtedy Abris.

Do kogo trafił ten e-mail?

– Do mnie, do mojego współpracownika Jakuba Ryby i do jednego z szefów Abrisu. Co ciekawe, wśród adresatów tej korespondencji nie znalazł się nikt z zarządu GetBacku. To pokazuje, że wbrew wcześniejszej narracji to przedstawiciele funduszu Abris inicjowali osobiście, negocjowali i nadzorowali przebieg transakcji zakupu EGB. Zarząd GetBacku otrzymał od akcjonariusza polecenie wykonania tej transakcji i są na to dokumenty. To jest bardzo istotne, bo zarzut wobec mnie wskazuje, że „działając wspólnie i w porozumieniu z zarządem GetBack”, naraziłem rzekomo GetBack na szkodę. A jak wynika choćby z tej korespondencji, wiodącą rolę w ustaleniach dokumentacji transakcyjnej ma Wojciech Łukawski, reprezentujący Abris, a nie zarząd GetBacku. Ba, wtedy miałem nawet wrażenie, że Konrad Kąkolewski, ówczesny prezes GetBacku, co najmniej dwukrotnie chciał zakup EGB storpedować.

Dlaczego?

– Zarząd GetBacku przygotowywał wtedy spółkę do wejścia na giełdę i z tego, co wiem, był spór między zarządem GetBacku a Abrisem o to, ile pieniędzy z giełdy trafi do spółki, a ile do Abrisu, który chciał od razu upłynnić część swoich akcji, pomimo że dopiero co je kupił. Z oferty publicznej, która wyniosła w sumie 740 mln zł, do GetBacku trafiło tylko 370 mln zł, a drugie tyle do spółki kontrolowanej przez Abris. Jak dziś wiemy z dokumentów ujawnionych publicznie, to Wojciech Łukawski osobiście wskazał zarządowi podział środków z emisji, przekonując do złożenia takiej, a nie innej wersji prospektu emisyjnego.

Szukaj tygodnika

Newsweek^{POLSKA}

w sieci sklepów



Ile GetBack powinien otrzymać z tej oferty?

– To pytanie nie do mnie. Z tego oświadczenia Łukawskiego, czyli przedstawiciela Abrisu skierowanego do zarządu GetBacku przed emisją, wynikało wprost, że przy IPO [pierwsza oferta publiczna – red.] o takiej wartości, 540 mln zł trafi do spółki. Akcjonariusz miał otrzymać co najwyżej 200 mln zł. Ten podział środków z IPO miał potem kluczowe znaczenie dla losów GetBacku.

Dlaczego?

– Do złożenia oferty doszło latem 2017 roku. W tym samym czasie w prospekcie emisyjnym zostały ustalone warunki transakcji zakupu EGB, a stan zadłużenia GetBacku nie budził niepokoju. W kłopoty firma wpadła kilka miesięcy później. Żeby zrealizować uzgodnioną z właścicielem strategię rozwoju, GetBack tylko w ostatnim kwartale 2017 roku i w pierwszym 2018 roku wyemitował obligacje na ponad miliard złotych. Spółka upadła z powodu wzrostu długu do poziomu, przy którym nie była w stanie go terminowo obsługiwać.

Wiosną 2018 r. Kąkolewski chodził po rynku finansowym i szukał 200-250 mln zł dokapitalizowania. Pukał m.in. do PKO BP i do Polskiego Funduszu Rozwoju. To jasno pokazuje, że gdyby konstrukcja IPO była inna i Abris nie wziął dla siebie połowy wpływów – 370 mln – z wejścia na giełdę, GetBack nie straciłby płynności.

Kto i na jakiej zasadzie wycenił EGB przed sprzedażą do GetBacku?

– Altus robił regularnie swoją wycenę zgodnie z procedurami obowiązującymi fundusze, a kupujący swoją. Dziś wiemy, że robili to renomowane KPMG i Haitong Bank. Wyceniały firmę EGB w widełkach między 200 a 300 mln zł. Po negocjacjach cena wyniosła 207,4 mln zł.

Ala zdarzały się transakcje, kiedy GetBack kładł na stole kwoty kilkakrotnie wyższe od wycen sprzedającego – np. przy zakupie wierzycielności Banku Pekao SA za 143 mln zł, które sam bank wycenił na ok. 60 mln zł. Zastanawia pana, dlaczego tylko pan dostał prokuratorskie zarzuty?

– Najbardziej prawdopodobna odpowiedź: nie jestem z nikim politycznie związany.

Dobrze pamięta pan 31 sierpnia 2018 roku?

– Nigdy nie zapomnę. Przyszli o szóstej rano z długą bronią, powalili mnie na podłogę jak groźnego przestępcę. Przestraszyli dzieci. Szok. Pamiętam jednak, że gdy prokurator odczytał mi zarzut, że sprzedając EGB do GetBacku, wyrządziłem kupującemu szkodę, uśmiechnąłem się w duchu. Wiedziałem, że to absurd i zeszło ze mnie ciśnienie. Nie miałem wcześniej żadnych konfliktów z prawem. Byłem przekonany, że za chwilę wytłumaczę sądowi cały absurd zarzutu rzekomego działania na szkodę spółki GetBack, którą przecież nijak nie zarządzałem. Działalem w interesie moich funduszy i ich inwestorów! Tyle że czas posiedzeń aresztowych wyznaczany był na 15 minut. Żaden z sądów nie weryfikował meritum sprawy zawartego w setkach tomów akt. Ocenę tego, czy jestem winny, czy nie, sędziowie orzekający o areszcie pozostawili na później sądowi, który ma w nieokreślonej przyszłości rozpatrywać moją sprawę. Do dziś, choć od aresztowania mija 4,5 roku, nie przedstawiono mi aktu oskarżenia.

Trafiał pan do aresztu trzykrotnie.

” WIERZE, ŻE KIEDYŚ POWSTANIE KOMISJA ŚLEDZCA, PRZED KTÓRĄ BĘDĘ MÓGŁ ZNACZNIE WIĘCEJ OPowiedzieć I ONA WYJAŚNI WSZYSTKIE „PRZYPADKI”, JAK RÓWNIEŻ TŁO POLITYCZNE TEGO, CO MNIE SPOTKAŁO

– Trzy razy za to samo. Pomimo że nie mataczyłem, przebywałem stale w domu, a prokuratora zabezpieczyła mój majątek w kwocie znacznie przekraczającej wyimaginowaną szkodę... Przed aresztowaniem zgłosiłem się do prokuratora z dokumentami, żeby opowiedzieć o wszystkim, co było związane z EGB. Siedziałem kilka godzin na korytarzu. Nie chciano mnie nawet wysłuchać. Mimo to żaden z sędziów nie zastanowił się, jaki jest sens odbierania mi wolności, skoro to jest sprawa gospodarcza oparta na dokumentach. Wiedzieli, że mam autystyczną córkę, której stan zdrowia po pierwszym aresztowaniu drastycznie się pogorszył. Wie pan, co usłyszałem od sędzi warszawskiego Sądu Apelacyjnego Anny Kalbarczyk, kiedy wysyłała mnie do aresztu kolejny raz? Że powinienem był przygotować córkę na scenariusz powrotu do aresztu i wytłumaczyć jej, jak działa dwuinstancyjny system orzekania. Rozumie pan?! Autystycznej córce coś takiego wytłumaczyć?

Bardzo wymowny był przebieg posiedzenia aresztowego z marca 2020 roku, tego ostatniego, po którym wyszedłem na wolność. Sędzia zwróciła się do mojego obrońcy, że jest pandemia, że z wakan dy zaczęły spadać sprawy, obłożenie sądów jest mniejsze i dlatego „w końcu miała czas i dostęp do komputera i mogła zapoznać się w całości ze zdigitalizowanymi aktami sprawy”. Po 16 miesiącach spędzonych przeze mnie w areszcie sędzia po raz pierwszy przeczytała akta! Wychodzi na to, że w polskim sądownictwie to podejrzany musi udowodnić niewinność, a nie prokuratura jemu winę. **Prokuratura miała opinię biegłych...**

– A skąd. Tę opinię zamówiła dopiero dwa miesiące po aresztowaniu, a gotowa była w rok od zatrzymania. Niestety, w przeciwieństwie do prokuratury nie mogę publicznie mówić o tym materiale. Ale nawet z publicznych doniesień już widać, że dziś prokuratura dużo lepiej rozumie tę sprawę i jest dużo bliżej wyjaśnienia, kto faktycznie doprowadził GetBack do utraty płynności i potężnych szkód obligatariuszy.

Materiał jest w jawnych aktach. Biegłe uznały wyceny spółki EGB za rynkowe, ale dopisały, że GetBack nie powinien ulegać modom rynkowym, czyli zakupu po rynkowej cenie, tylko dążyć do jej zbiccia do wysokości kapitałów własnych. Może pan to skomentować?

– To w praktyce oznacza sprzedaż EGB po wartości likwidacyjnej, a nie rynkowej. Miałbym za tyle sprzedać działającą spółkę z perspektywami? Wtedy dostałbym zarzuty działania na szko-



dę zarządzanych funduszy i Altusa! I słusznie! Idąc tą logiką, każdego dnia na giełdzie tysiące inwestorów kupują i sprzedają akcje spółek wycenianych często wielokrotnie powyżej kapitałów własnych. To wszyscy są przestępcami?

Co się stało z tą opinią biegłych?

– To akurat mogę skomentować, bo zrobiła to publicznie już prokuratura. Została zlecona opinia uzupełniająca, a to oznacza, że nie ma de facto finalnej opinii chociażby uprawdopodobniającej jakiegokolwiek przestępstwo.

Jaka pana zdaniem była faktyczna rola funduszu Abris w sprawie GetBacku?

– Kluczowa. Światła samochodu świecą tam, gdzie kierowca skręci kierownicą. I tak właśnie ludzie Abrisu sterowali postępowaniami, prezentując odpowiednie, często wyrwane z kontekstu dokumenty z GetBacku, nad którym zachowali kontrolę. Skutkiem tego zajmowano się od początku pobocznymi wątkami, a sedno sprawy i rzeczywista rola głównych decydentów nie były badane. Proszę zresztą przeczytać opublikowane ostatnio skandaliczne esemesy Pauliny Pietkiewicz, która w Abrisie zajmowała się właśnie GetBackiem. Istnieje również nie mniej oburzająca korespondencja Pauliny Pietkiewicz dotycząca mnie osobiście.

Co takiego było w esemesach?

– Kilkanaście dni po moim aresztowaniu pisała do szefa rady nadzorczej Altusa: „Ja bym ci chciała przekazać moje rozmowy z prok. b. poważne. Oni nam dali zielone światło, żeby negocjować. Nietypowe, ale na poważnie, bo cały GB jest nietypowy. Rafał, czy mamy z kim porozmawiać ws. ugody prokuratorskiej?”. I dalej: „A na serio to chciałam z tobą b. poważnie i otwarcie pogadać. O opcjach, które są. I boję się, że źli doradcy, którzy nie mają kompletnie wyczucia ani politycznego, ani co do naszej bezprecedensowej sprawy, mogą doradzać we własnym interesie. Karniści niestety niewiele kumają z nieszablonowych rozwiązań ani biznesu. Najlepiej, jakbyśmy wynegocjowali z kimś kumatym i przedstawicie Piotrowi kompleksowy pomysł, żeby się zastanowił nad gotowym rozwiązaniem. Co Ty na to? Negocjowanie przez mecenasa, obrońcę nie ma sensu. Do kolejnego posiedzenia aresztanckiego możemy zamknąć temat”. W mojej ocenie to znaczyło jedno: powoływanie się na wpływy. Moja wolność miała cenę.

GetBack był do uratowania?

– Tak. Krótco po tym, jak rynek dowiedział się o kłopotach, była realna szansa na dokapitalizowanie ratunkowe. 28 kwietnia 2018 roku spotkaliśmy się w tej sprawie z przedstawicielami Abrisu w Komisji Nadzoru Finansowego. Ja reprezentowałem cztery polskie TFI, które były gotowe dokapitalizować GetBack i wznowić działalność operacyjną. Dostaliśmy wtedy ofertę przejęcia GetBacku od Abrisu, ale w ostatniej chwili Abris się wycofał... Zresztą była to jedna z czterech prób dokapitalizowania GetBacku, tak żeby spółka odzyskała płynność bez szkody dla obligatariuszy, ale każda z tych prób była ostatecznie blokowana.

Transakcja miałaby błogosławieństwo komisji?

– KNF była przeszczęśliwa i deklarowała, że bardzo pozytywnie odbiera inicjatywę polskich TFI dokapitalizowania spółki. Ale Abris wycofał się z transakcji, bo jak rozumiem, oznaczałoby to dla nich utratę kontroli nad szafami GetBacku.

Wierzy pan w przypadki?

– W mojej sprawie nie ma przypadków. Krótco po moim pierwszym aresztowaniu z Altusem skontaktowali się wysłannicy jednej z państwowych grup bankowych i zaoferowali, że... przejmą nasze TFI za złotówkę. Wówczas Altus miał jeszcze licencję. Ówczesni zarządzający odmówili i kilka miesięcy później Altus już licencji nie miał.

Podobnie było też z publikacjami na mój temat – np. jakoby miał po kryjomu opuszczać areszt, aby potajemnie robić dyplom MBA, który mam od 1997 roku. Stek bzdur, ale tekst został opublikowany przez poważny biznesowy portal kilka dni przed posiedzeniem sądu rozstrzygającym o moim areszcie. Prokuratura wykorzystywała ten absurdalny materiał na sali sądowej, a w areszcie został wykorzystany do wprowadzenia drakańskich obostrzeń, jakbym był groźnym recydywistą. Tych przypadków było zdecydowanie za dużo. Dlatego nie wierzę, że to „przypadkowy zakapior” w środku dnia przycepał mi jakieś urządzenie do auta. Wierzę, że kiedyś powstanie komisja śledcza, przed którą będę mógł znacznie więcej opowiedzieć i ona wyjaśni wszystkie „przypadki”, jak również tło polityczne tego, co mnie spotkało. **N**

radoslaw.omachel@newsweek.pl

REKLAMA

WARSZAWA

13-23.04

eurazjafestival.com



2023

FILM
FESTIWAL

kino Luna
kino Atlantic

Najlepsze filmy świata premierowo w Polsce!



Organizatorzy:





EPOKA RELIGIJNEGO FERMENTU

Zabijcie wszystkich, Bóg rozpozna swoich

Dzisiejszy antyklerykalizm jest wyjątkowo łagodny w porównaniu z antyklerykalizmem średniowiecznych heretyków, dlatego musieli zginąć, **bo dla Kościoła najważniejszy jest Kościół**

TEKST KRZYSZTOF VARGA



„Proces Wycliffa, 1378 r.”, rycina.
John Wycliffe (ok. 1330-1384) był angielskim
teologiem, filozofem i reformatorem Kościoła

W „Boskiej komedii” Dante heretyków umieścił w szóstym kręgu piekła. Leżeli tam w płonących, otwartych grobach, wrzeszcząc z bólu i pilnowani przez Furie. Zapewne w tych grobach leżały też ofiary potwornej rzezi, jaką katarom urządził w 1209 roku papież Innocenty III rękami armii Szymona z Montfort.

W czas Wielkiej Nocy i celebrowania śmierci oraz zmartwychwstania Chrystusa warto pamiętać o tych, którzy stracili życie z rąk Kościoła. Katarzy, waldensi, lollardowie – wielka trójca ruchów heretyckich – prześladowani przez

Kościół przy pomocy katolickich władców, zostali fizycznie wytępieni, nie mając takiego szczęścia jak późniejsi odstępcy od doktryny, Marcin Luter i Jan Kalwin, którym udało się stworzyć całkiem nowe i niezależne od papieża wyznania chrześcijańskie.

HEREZJE ZAWSZE ODŚWIEŻAŁY CHRZEŚCIJAŃSTWO, jeśli oczywiście nie były wyłącznie sektą obłąkańców bądź pojedynczymi maniakami. Mimo wielu różnic łączył je antyklerykalizm, niechęć do hierarchii, bogactwa kleru i jego życia coraz dalszego od nauk Chrystusa. Ale heretycy zazwyczaj płacili za to straszną

cenę. Kościół prowadził wojny przeciw nim, a Francuzi urządzili w XIII wieku regularną krucjatę przeciw albigenom i potraktowali wyjątkowo nieortodoksyjnych chrześcijan nie lepiej niż muzułmanów po zdobyciu Jerozolimy w 1099 roku.

Herezje pleniły się już niemal od zarażenia chrześcijaństwa. Arianizm w IV wieku odrzucał dogmat o Trójcy Świętej, trochę późniejszy pelagianizm negował ideę grzechu pierwotnego. Heretycy wieków VIII i IX nie stworzyli nowych ruchów i byli często malowniczymi kaznodziejami, nierzadko byli to po prostu szaleńcy, szarlatani bądź natchnieni asceci. Na przykład taki

Aldebert we francuskim regionie Soissons sam ogłosił się świętym, a swoim wyznawcom rozdawał pukle własnych włosów i skrawki paznokci jako relikwie. Pojawiali się i tacy, którzy nie akceptowali kultu krzyża i świętych obrazów oraz negowali sens pielgrzymek, a także nie uznawali papieża – jak biskup Turynu Klaudiusz – głosząc, że po śmierci świętego Piotra jego prymat nad Kościołem wygasł, a najwyższa władza kościelna nie ma prawa istnieć.

We wczesnym średniowieczu herezje pojawiały się i zniknęły, zawsze jednak budziły niepokój, wrogość albo mordercze instynkty u obrońców doktryny. Bo przecież „extra Ecclesia nulla salus”, czyli „poza Kościołem nie ma zbawienia”. Jeśli chcesz spotkać się ze Zbawicielem bez naszego pośrednictwa, to marny twój los. Heretycy uważali, że najważniejsza jest Biblia, co wyjątkowo irytowało Kościół, bo dla Kościoła najważniejszy jest Kościół.

W XI wieku heretycy ginęli z wyroków sądów kościelnych, ale także z „inicjatywy prywatnej”, gdy wśród Francuzów zapanało przekonanie, że jeśli ktoś ma bladą cerę, to z powodu bardzo surowego postu, charakterystycznego dla unikających produktów odzwierzęcych heretyków. Taki błąd chudzielec miał szansę skończyć na sznurze albo stosie. Jednak dopiero wiek XII przyniósł prawdziwy korowód ruchów heretyckich, a w konsekwencji tego krwawe łaźnie i prześladowania na masową skalę.

W 1116 ROKU WE FRANCUSKIM LE MANS NIEJAKI HENRYK MNICH w swych kazaniach wzywających do odnowy moralnej okazał się tak skuteczny, że namówił wszystkie tamtejsze prostytutki do spalania swych szat i ścięcia włosów jako splamionych grzechem, a lokalnych młodzieńców do brania ich sobie za żony. Jeden z kronikarzy ubolewał jednak, że gdy nawrócone miały już nowe szaty i odrośnięte włosy, większość powróciła do dawnej profesji.

Henryk Mnich doskonale ilustruje to, co się działo w tamtym okresie. Urodzony nie wiadomo gdzie i przybyły nie

wiadomo skąd, ale za to w łachmanach i boso, podpierając się kosturem – dokonał prawdziwej antyklerykalnej rewolucji, głosząc, że nawet budynki kościelne są niepotrzebne, nie mówiąc o przyjmowaniu Eucharystii czy przystępowaniu do spowiedzi. Małżeństwo zaś miało polegać wyłącznie na obopólnym wyrażeniu zgody przez nowożeńców, bez udziału księdza. Mnich w ogóle nie widział miejsca dla księży. Dzisiejszy antyklerykalizm jest wyjątkowo łagodny w porównaniu z antyklerykalizmem

***Kłeska heretyków
polegała nie tylko na ich
militarnym pokonaniu,
ale także na słabości
intelektualnej oraz
niewolniczym
przywiązaniu do
ubóstwa i ascezy, co na
dłuższą metę nigdy się
nie sprawdza***

średniowiecznych heretyków, bo ta epoka – mylnie uważana za monolit fundamentalistycznego katolicyzmu – pełna była antykościelnego fermentu. Dla takich jak Mnich najważniejszy był Nowy Testament, a nie obrzędy i zaszczyty. Inny ówczesny kaznodzieja Piotr z Bruis zanegował część oddawaną krzyżowi, ale tu się zapędził, bo kiedy w St. Gilles namawiał do spalania krucyfiksów, sam został wepchnięty w ogień i tak dokonał żywota.

NAJSŁYNNIEJSZĄ HEREZJĄ ŚREDNIOWIECZA są bez wątpienia katarzy, których ruch rozwinął się głównie w południowej Francji i północnych Włoszech. Inspiracją przyszła z Bizancjum, ze strony herezji stworzonej przez bułgarskiego księdza Bogomila w X wieku. Przekony-

wał on, że świat widzialny jest złem, ciało zostało stworzone przez Szatana, a dobre jest tylko to, co duchowe. Stąd bogomilowie wyrzekali się świata doczesnego, żyli w ubóstwie i praktykowali – jakbyśmy dziś powiedzieli – dietę wegańską. Idea ta rozpełzła po całym Bizancjum, a stamtąd powędrowała do Europy Zachodniej, dając życie najradykałniejszym ruchom heretyckim i... przyczyniając się do narodzin Inkwizycji. A w dłuższej perspektywie reformacji, kontreformacji, a więc całkowicie zmieniając religijny krajobraz Europy. Może dzisiejsza obsesja fundamentalistów katolickich na punkcie wegetarian i wegan jest dalekim i nieświadomym echem złości papistów na kacerzy, wyrzekających się pokarmów odzwierzęcych?

Katarzy byli właściwie sektą wyznającą manichejski dualizm, według którego wszystko zbudowane jest na opozycji dobro-zło, jasność-ciemność, a nie ma jednego Boga, ale dwóch: dobry i zły. Wszystko, co materialne, stworzone zostało przez złego, wszystko, co duchowe, przez dobrego.

Nazwa katarów wzięła się od greckiego słowa „czyści” i powinna odnosić się jedynie do górnej warstwy społeczności tej sekty, jej duchowieństwa, czyli właśnie „czystych”, „doskonałych”. Ci poddawali się ascezie w stanie ekstremalnym. Ich post obowiązywał nieustannie: nie dość, że wyrzekali się posiłków trzy razy w tygodniu, to dodatkowo urządzali sobie czterdziestodniowe posty trzy razy w roku. Oczywiście „doskonali” żyli także w ścisłej czystości fizycznej, nie uprawiając seksu. Zwykli „uczniowie” nie podlegali takim restrykcjom, ale aspirowali do zostania „czystymi”, aby móc się umartwiać jeszcze bardziej.

Jak można się domyślić, ruchy herezyckie wyrzekające się seksu, surowo poszczące i ostentacyjnie żyjące w skrajnym ubóstwie oskarżano o to, że tak naprawdę w ukryciu oddają się rozpuście, obżarstwu, pijaństwu i opływają w bogactwa. W przeciwieństwie do wcześniejszych herezji katarzy stworzyli wielką społeczność, a w pewnym momencie ich duchowa władza zasięgiem objęła dużą część południowej Francji. To już nie



była grupka napaleńców, ale społeczność mająca poparcie lokalnych książąt. Papież Innocenty III ogłosił krucjatę, przy okazji obiecując każdemu, kto weźmie w niej udział, nie tylko odpust całkowity, ale także zawłaszczenie dla siebie zdobytych na katarach dóbr. To oczywiście bardzo wzmoгло zapał religijny krzyżowców. W 1209 roku wyruszyła pod przywództwem hrabiego Szymona IV z Montfort wyprawa, rozpoczynając aż dwudziestoletnie tzw. wojny albigańskie. Słów „katarzy” i „albigensi” używa się wymiennie, co może rodzić przekonanie, że to dwa osobne ruchy heretyckie. Albigensami zwano katarów z okolic miasta Albi, a z czasem to określenie rozszerzyło się na wszystkich katarów. W lipcu 1209 r. krzyżowcy dotarli pod mury miasta Beziers w Langwedocji, centrum kataryzmu, które po szturmie zdobyli i wyrznęli w pień w zasadzie całą ludność. Arnaud Amaury, opat cysterski i legat papieski, jeden z dowodzących krucjatą, na pytanie, jak rozróżnić katarów od katolików w Beziers, miał według legendy powiedzieć: „Zabijcie wszystkich, Bóg rozpozna swoich”. Co też ze szczególnym okrucieństwem uczyniono, bo nie patrzono, kto jakiego stanu, wyznania, jakiej płci i wieku. Zginąć mogło nawet kilkanaście tysięcy kobiet, mężczyzn i dzieci, a nie oszczędzono nawet tych, którzy schronili się w katedrze – bogobojni żołnierze, gdy już wdarli się do świątyni, wymordowali wszystkich.

Rzeź w Beziers nie zakończyła krucjaty, albigensi odnosili nawet lokalne zwycięstwa, ale krzyżowcy zdobywali kolejne miasta i fortece, a towarzyszący im inkwizytorzy wysyłali na stosy tych, którzy nie chcieli wyrzec się swego wyznania. Wojny albigańskie przyczyniły się do wzrostu potęgi Inkwizycji i rozpoczęły wielką karierę założonego właśnie wówczas zakonu dominikanów. Mili braciszki w białych habitach pełnili wówczas wiodącą rolę w tej ponurej instytucji.

POTRZEBA ŻYCIA W APOSTOLSKIM UBÓSTWIE, choć doprowadzana, jak u katarów, do stanu chorobliwej sekciarskiej obsesji, cechowała cały XII wiek. Było

to stulecie niezwykle radykalne, skrajnie uduchowione, a wynikało to według Malcolma Lamberta, autora monumentalnej książki „Średniowieczne herezje”, z prawdziwego szaleństwa religijnego, jakie ogarnęło Europę Zachodnią w trakcie krucjat. Zdobycie Jerozolimy przez rycerzy I wyprawy krzyżowej w 1099 roku i powstanie Królestwa Jerozolimskiego wywołały zbiorową ekstazę eschatologiczną, skutkującą też pogromami Żydów i oczekiwaniem końca świata. To wzmożenie religijne skutkowało zarówno powstawaniem ruchów heretyckich, jak i krucjatami przeciw heretykom – Kościół uznał nieszczęsnych albigensów za groźniejszego wroga niż Saraceni, bo wroga wewnętrznego.

Ostatnim dużym ruchem byli waldensi. Urodzony w 1140 roku Valdes, znany też jako Pierre Valdo, bogaty kupiec z Lyonu, przejął się znaną nam legendą o świętym Aleksym, który rzuciwszy narzeczoną, poszedł w świat, by żyć w ubóstwie. Porzucił też lichwę, której się oddawał, rozrzucił pieniądze na ulicach i postanowił usunąć się ze świata oraz jeść tylko to, co mu dadzą inni. Podobnie jak wielu wędrownych kaznodziejów, opierał się na fragmencie z Ewangelii św. Łukasza o wysłaniu przez Chrystusa 72 uczniów, by szli i nauczali, wędrując „bez trzosa ani torby” i nie nosząc sandałów. To tam właśnie padają słynne słowa: „Idźcie, oto was posyłam jak owce między wilki”.

Ale od innych kaznodziejów odróżniał Valdesa pęd do wiedzy: chciał dowiedzieć się, o co dokładnie chodzi w ewangelii. Pozyskał uczniów, zaczął wraz z nimi nauczać, co naturalnie nie przypadło do gustu hierarchii. Lambert pisze, że to niekompetencja i zawiść władz kościelnych zepchnęły waldensów z pozycji zwykłego reformatorstwa w stronę herezji i spowodowały odejście od Kościoła oraz radykalizację postaw. Kościół zażądanie strzegł monopolu na głoszenie Słowa Bożego, sam przykładając się do rozprzestrzeniania się ruchów heretyckich, początkowo po prostu pragnących żyć w ubóstwie i nauczać ewangelii. Później zaś z zacięciem ich zwalczał, choć waldensi nie zostali masowo wyrznię-

ci jak mieszkańcy Beziers, ale ścigani przez Inkwizycję, osądzeni i skazywani na stos zesłali do podziemia. Przetrwali długo, lecz jako niedobitki, niczym ostatni japońscy żołnierze, ukrywający się w dżungli jeszcze wiele lat po końcu II wojny światowej.

KŁĘSKA WIELKICH ŚREDNIOWIECZNYCH HEREZJI polegała nie tylko na ich militarnym pokonaniu i prześladowaniach przez Inkwizycję, ale także na słabości intelektualnej. Jedynie angielska XIV-wieczna herezja Johna Wycliffa, nie wędrownego kaznodziei, lecz uczonego z Oksfordu, niosła ze sobą głębszą myśl. Wycliffe, inicjator tłumaczenia Biblii z łaciny na angielski – by prosty lud miał dostęp do Słowa Bożego – był teologiem żądającym reformy Kościoła, autorem wielu publikacji, domagającym się, by Biblia była jedyną wykładnią wiary chrześcijańskiej, a nie doktryny i dogmaty sankcjonowane przez papieżstwo. Wycliffa można nazwać ojcem intelektualnym przyszłych wielkich twórców reformacji – Jana Husa i Marcina Lutra; ten drugi przyszedł na świat niemal dokładnie sto lat po śmierci Anglika. Wycliffe zainspirował też plebejski ruch lollardów, a ci z kolei wywołali w Anglii antyklerykalne powstanie chłopskie – naturalnie zakończone krwawą klęską. Kościół kazał wyciągnąć Wycliffa z grobu, kości spalić, a prochy rozrzucić, by ślad nie został.

Katarzy, waldensi ani lollardowie nie stworzyli żadnej poważniejszej myśli teologicznej, prócz zestawu prostych haseł. Każda religia – nawet głosząca szlachetny powrót do apostołskiego modelu wędrownego nauczania – musi stworzyć swoją strukturę i zakorzenie się doktrynalnie. Zgubiło ich też niewolnicze przywiązanie do ubóstwa i ascezy, co na dłuższą metę nigdy się nie sprawdzi. Nawet u żarliwych chrześcijan. **N**

krzysztof.varga@newsweek.pl

KORZYSTAŁEM Z: MALCOLM LAMBERT,
„ŚREDNIOWIECZNE HEREZJE”, TŁUM.
WACŁAW JAN POPOWSKI, WYD. MARABUT,
VOLUMEN, GDAŃSK-WARSZAWA 2002

ROZMOWA Z MARTÍNEM CAPARRÓSEM

PRZEGRANA ÑAMERYKA

Ameryka Łacińska wydaje nam się dużo ważniejsza, niż jest w rzeczywistości. Tak naprawdę to mały region o niewielkim znaczeniu na scenie globalnej – mówi znany argentyński pisarz **MARTÍN CAPARRÓS**, autor „Głodu” i „Ñameryki”

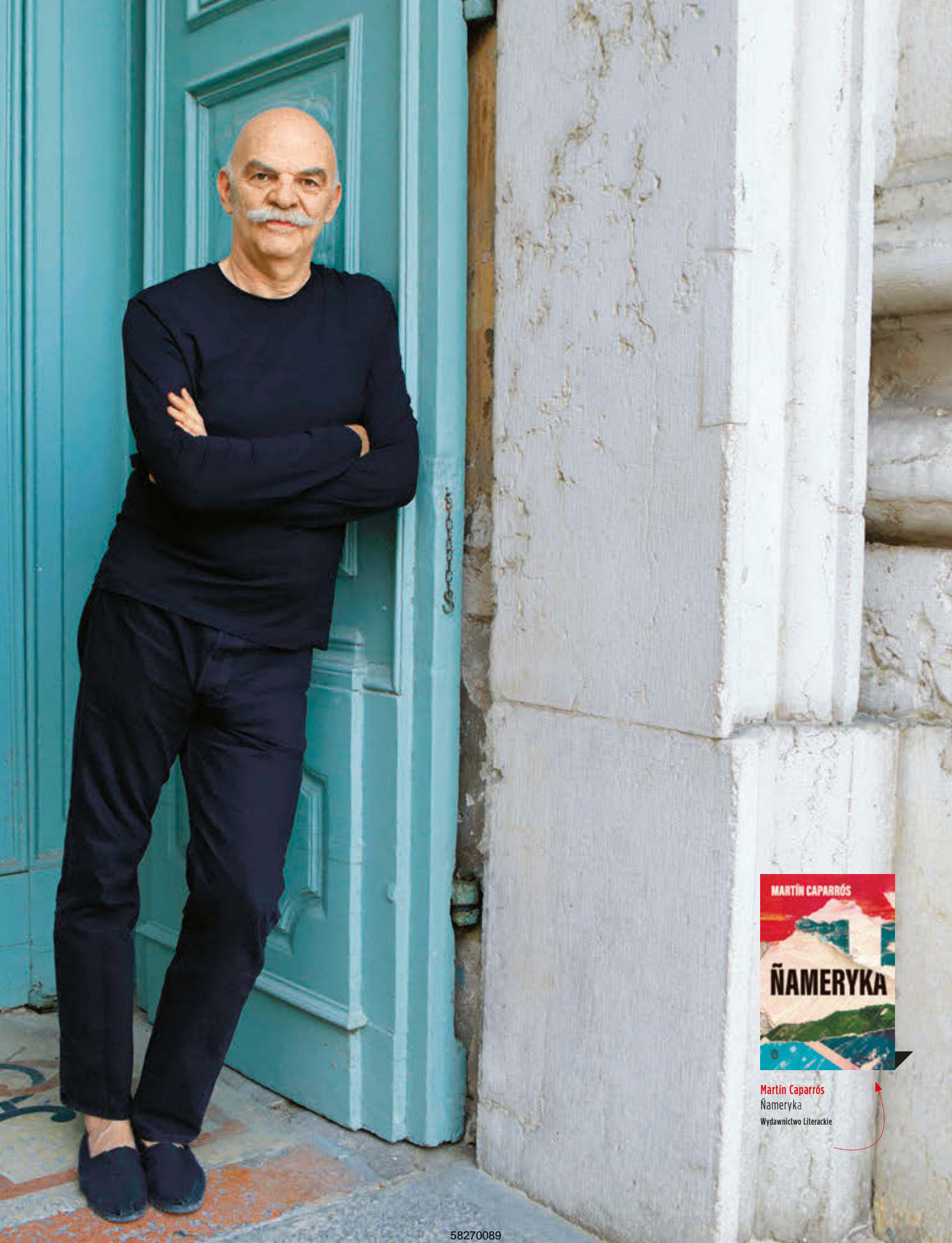
ROZMAWIA JACEK PAWLICKI

NEWSWEEK: Ponad 40 lat mieszkał pan w Buenos Aires. Czego dowiedział się pan o Ameryce Łacińskiej, pracując nad „Ñameryką”?

MARTÍN CAPARRÓS: Tak naprawdę podjąłem się tej pracy, żeby zrozumieć, czym ona jest wobec tych wszystkich klisz czy wytartych frazesów na jej temat. Odkryłem na przykład, iż wbrew powszechnemu przekonaniu, że to kontynent zdominowany przez dziką przyrodę, dżungle, góry, rzeki, Ñameryka jest najbardziej zurbanizowanym kontynentem na świecie. Aż 82 proc. jej mieszkańców zamieszkuje duże metropolie. Dlatego postanowiłem opowiadać o życiu w miastach, które odwiedzałem.

Która z metropolii sprawiła, że zyskał pan szersze spojrzenie na kontynent? Miasto Meksyk, Caracas, El Alto? Gdzie najłatwiej o zawrót głowy?

– Ciężko powiedzieć, które z miast wywarło na mnie największe wrażenie. Każde dodało jakiś nowy element do całej tej układanki, którą miałem już w głowie, siadając do pisania. Miasto Meksyk robi ogromne wrażenie choćby dlatego, że mieszka w nim 25 mln ludzi. Ta aglomeracja to olbrzymia, nieustająca eksplozja energii. Caracas z kolei jest doskonałym przykładem miasta całkowicie zdekonstruowanego, rozmontowanego. Kiedy odwiedziłem stolicę Wenezueli, przestały tam funkcjonować systemy będące podstawą każdego społeczeństwa. Nie miałem nawet jak zapłacić za kawę! Miami



Martín Caparrós
Ñameryka
Wydawnictwo Literackie

jest niezwykle ciekawym miejscem, bo właśnie tam przybyła znaczna część tych milionów Ńamerykanów, których brakuje dziś w Ńameryce. Hawana jest z kolei materializacją porażki iluzji i marzeń o lepszym świecie. El Alto w Boliwii to świetny przykład nowego tworu miejskiego – można tam obserwować charakterystyczne dla całego kontynentu masowe zjawisko migracji ludzi z terenów wiejskich do miast.

Hawana i Caracas są dla mnie alegorią losu całej Ńameryki. Kontynent, który mógłby być bogaty, stał się tak naprawdę ofiarą globalizacji. Światu dostarcza tylko migrantów, kokainy i surowców.

– Do listy produktów, które wysyła w świat Ameryka Łacińska, należałoby dołożyć jeszcze mięso, soję i lit. Tak działa Ńamerykański model gospodarczy – eksportowane są surowce bądź nieprzetworzone produkty rolne. Na kontynencie nie stworzono infrastruktury przemysłowej ani miejsc pracy. Co więcej, Ńameryka będzie dalej przegrywała na scenie międzynarodowej, jeśli nie zmieni modelu funkcjonowania. PKB całego regionu stanowi zaledwie 5 proc. PKB świata. Ameryka Łacińska jest znacznie bardziej obecna w wymiarze symbolicznym, kulturowym niż w kwestiach bardziej wymiernych. Wydaje nam się więc dużo ważniejsza, niż jest w rzeczywistości. Tak naprawdę Ńameryka to mały region o niewielkim znaczeniu na scenie globalnej.

Pisze pan jednak, że gdyby nie Ńameryka, to Europa byłaby tylko małym znaczącym wypustkiem Azji, zaś „Kościół rzymski byłby tylko jednym z wielu szulerów...”.

– Powiem więcej, gdyby nie Ńameryka, Hiszpania przypominałaby dziś Polskę, byłaby średniej wielkości krajem zamieszkanym przez 50 mln ludzi mówiących językiem, którym nie posługuje się nikt inny na świecie. Gdyby nie podbój Ameryki, Kościół katolicki nie byłby tak wpływowy jak dzisiaj. Ameryka Łacińska była pierwszym miejscem na świecie, gdzie w tak znaczący sposób doszło do ekspansji tej wiary. Dopiero później to samo stało się w Afryce. Słowem, konkwiista zasobnej wówczas w srebro i złoto Ameryki miała ogromne znaczenie dla rozwoju Europy i wzmocnienia katolicyzmu.

Czy nie jest ironią losu, że po kilku wiekach od konkwisty na czele Kościoła stanął Argentyńczyk, patrzący na świat zupełnie inaczej niż ludzie Zachodu?

– Moim zdaniem wybór Jorge Bergoglio na papieża był związany z faktem, iż Kościół katolicki uświadomił sobie, że powoli traci wpływy w Ameryce Łacińskiej. Tymczasem kontynent ten stanowił dotąd jego bazę, jeśli chodzi o wiernych. Kościół zdawał sobie też sprawę, że wybiera na papieża typowego peronistę, czyli człowieka na tyle sprawnego, iż będzie w stanie przekonać innych, że coś zmieni, by w rzeczywistości nie zmienić niczego.

A jak wytłumaczyłby pan dwuznaczną postawę papieża wobec wojny w Ukrainie?

– Jeśli zauważy pan, że zaczynam tłumaczyć zachowanie Bergoglio, to proszę natychmiast zadzwonić po karetkę, żeby zawieźli mnie tam, gdzie trzeba...

Rozumiem, nie chce pan rozmawiać o Franciszku.

– Po prostu nie mam pojęcia, dlaczego tak się zachowuje, albo jak wyjaśnić jego postawę wobec wojny. To człowiek, który wie-

”
**JEŚLI ZAUWAŻY PAN,
ŻE ZACZYNAM TŁUMACZYĆ
ZACHOWANIE PAPIEŻA
FRANCISZKA, TO PROSZĘ
ZADZWONIĆ PO KARETKĘ,
ŻEBY ZAWIEźLI MNIE TAM,
GDZIE TRZEBA**

rzy w piekło, w Boga, w to, że ów Bóg narodził się z matki dziewicy, słowem, wierzy w rzeczy nieracjonalne. Wydaje mi się, że nie jest racjonalne oczekiwanie racjonalnego zachowania od osoby, która wierzy w tak nieracjonalne rzeczy.

Czy Ńameryka to Zachód? Nie w sensie geograficznym, ale cywilizacyjnym?

– Najpierw musielibyśmy ustalić, co rozumiemy pod pojęciem Zachód. Jeden z francuskich pisarzy nazwał Amerykę Łacińską „extremo occidente”, co po angielsku tłumaczy się jako Far West. Chodzi o odległy, daleki Zachód. Myślę, że Ńameryka jest szeroko rozumianym Zachodem, bo należy do kultury Zachodu, jej mieszkańcy wyznają katolicyzm, posługują się językami wywodzącymi się z łaciny, społeczeństwa są zorganizowane na sposób zachodni. Problem polega na tym, że nawet w ramach szerokiej definicji Zachodu istnieje tak wiele niuansów i różnic, że trzeba by się zastanowić, czy możemy w ogóle mówić o czymś takim jak Zachód?

Czy słabość Ameryki Łacińskiej do Rosji nie wynika czasem z tego, że Wielkim Bratem dla państw w tym regionie były Stany Zjednoczone i to Amerykanie dopuszczali się tam licznych niegodziwości i okrucieństw?

– Ma pan rację, w Ameryce Łacińskiej od dawna da się zaobserwować jak najbardziej zresztą usprawiedliwioną tendencję, by sprzeciwiać się wszystkiemu, czego życzą sobie Stany Zjednoczone. Dzieje się tak dlatego, że kraj ten jest odpowiedzialny za ogrom przemocy, która spotkała Ńamerykanów w XX wieku, za wymordowanie wielu ludzi. Stąd też na kontynencie jest bardzo silna tendencja do uważania za przyjaciół nieprzyjaciół naszych nieprzyjaciół, która może prowadzić do katastrofalnych skutków.

W „Ńameryce” stawia pan tezę, że USA ponoszą pośrednio odpowiedzialność za dwie główne plagi Ńameryki – narkotyki i krwawą przemoc.

– Z pewnością przemoc w Meksyku nie szalałaby tak bardzo, gdyby kraj ten nie był sąsiadem państwa będącego największym konsumentem narkotyków na świecie. Za te narkotyki meksykańskie kartele kupują bowiem w Stanach Zjednoczonych ogromne ilości broni, która dosłownie zalewa kraj. Nie zapomnijmy jednak, że w USA jest też mnóstwo broni – więcej niż jedna sztuka na osobę. Pisząc książkę, chciałem ustalić, ilu konsumentów narkotyków jest w Stanach Zjednoczonych. Okazało



się, że wcale nie tak dużo, bo mówi się o 1-2 milionach. Czy to nie jest niesamowite, że tak niewielu wywiera tak tragiczny wpływ na tak wielu – na życie dziesiątków milionów ludzi w krajach takich jak Meksyk, Kolumbia, Honduras czy Ekwador?

Pomimo rozbicia wielkich karteli w Kolumbii powierzchnia upraw krzewów kokainowych w tym kraju wzrosła z 80 tys. hektarów w 2010 r. do 220 tys. ha w 2019. Dlaczego?

– To wynika ze zmiany struktury produkcji liści koka. Owszem, wszystko zaczęło się od wielkich karteli narkotykowych, bo to one rozkręciły ten biznes. Paradoksalnie słabością tych karteli była ich ogromna siła i władza. Stały się zbyt widoczne, co sprawiało, że irytowały i władze, i obywateli. Słowem, wielkie kartele były zbyt spektakularne, by przetrwać, ale te mniejsze, które je zastąpiły, wyciągnęły z tego wnioski. Operują bardzo dyskretnie, ich przywódcy mieszkają z reguły w zwyczajnych mieszkaniach w budynkach wielorodzinnych, nie obnoszą się z bogactwem. Sąsiedzi domyślają się, że dobrze im się wiedzie, ale nie wiedzą, jak bardzo dobrze. Co więcej, nowych Narcos jest więcej niż kiedyś – a więc nie 12-15, tylko 50 czy 100 liderów, są też bardziej rozproszeni.

Pisze pan, że wydanie w 2006 r. wojny handlowi narkotyków w Meksyku było „jedną z najbardziej idiotycznych decyzji prezydenckich, jakie podjęto na dowolnym kontynencie”, gdyż zmieniło kraj w pole bitwy. Czy problem narkotyków można załatwić w pokojowy sposób?

– Zanim rząd meksykański wypowiedział wojnę kartelom narkotykowym, podejście do problemu było przesiąknięte hipokryzją. Władze doskonale wiedziały, co się dzieje, ale przymykały na to oko. W rezultacie produkcja narkotyków rosła, ale nie było aż takiej przemocy i nie dochodziło do tylu brutalnych morderstw co obecnie. Wojna z narkotykami została przegrana w momencie, w którym została wypowiedziana, bo narkotykowy biznes kwitł w najlepsze, a wojna spowodowała trzysta tysięcy zabójstw.

Uważam, że jedynym sposobem pozbycia się przemocy związanej z handlem narkotykami jest ich legalizacja. To rozwiązanie byłoby rozsądne i logiczne. Przy pomocy podobnego posunięcia rozwiązano problem z przemocą, która ogarnęła USA w latach 20. ubiegłego roku. Kiedy w 1919 r. wprowadzono prohibicję, pojawiła się mafia, która zajęła się przemytem, produkcją i sprzedażą alkoholu. Problem zniknął, kiedy prohibicję zniesiono w 1933 r. Na świecie nie brakuje ważnych osobistości, które proponują legalizację narkotyków, tyle tylko, że wszyscy skupiają się głównie na marihuanie. Tymczasem realnym problemem nie jest marihuana, tylko cięższe narkotyki. Gdyby je zalegalizowano, państwo przejęłoby kontrolę nad ich produkcją, zarabiałoby na dodatkowych podatkach, zaś ich sprzedaż i dystrybucja byłyby zorganizowane...

A Meksyk, Kolumbia, Boliwia czy Peru stałyby się nagle bardzo bogatymi państwami.

– Na pewno by się na tym wzbogaciły.

Tyle że za naszego życia nikt na świecie nie zgodzi się na legalizację kokainy.

– Myślę, że nie. Z drugiej strony kokaina była legalna w Argentynie za życia naszych dziadków, na początku zeszłego stulecia. W języku potocznym bywa nazywana tam „merca”. To słowo pochodzi od nazwy firmy farmaceutycznej Merck. Dlaczego? Sto

lat temu kokainy nie produkowano w Argentynie czy Kolumbii, ale sprowadzano ją z Europy z laboratoriów firmy Merck.

Chyba żaden z kontynentów nie wydał na świat tyłu straszliwych, ale zarazem barwnych dyktatorów co Ńameryka: Trujillo, Castro, Pinochet, Videla, Chávez, Morales...

– A ja zapytałbym, co się dzieje z innym regionem, który wyprodukował najgorszych dyktatorów na świecie: Stalina, Hitlera, Mussoliniego czy Franco? Czyż Hitler nie wierzył w utopijną wizję świata bez Żydów? To była przecież jedna z najbardziej przerażających idei, w dodatku próbowano ją zrealizować.

OK, w porównaniu z Hitlerem dyktatorzy Ameryki Łacińskiej wypadają rzeczywiście blade. A co sądzi pan o prezydencie Bukele, który zbudował w Salwadorze największe więzienie w regionie, spędził tam kilka tysięcy Narcos i kazał kręcić reklamówki z więźniami w roli głównej?

– Oczywiście, że to jest okropne, ale równie okropne jest to, że wspiera to 70-80 proc. społeczeństwa Salwadoru. A bez społecznego poparcia taka polityka nie byłaby możliwa. Salwadorczycy są zdesperowani, gdyż w kraju szaleją mafie narkotykowe i gangi, których nikt nie był w stanie okiełznać. Dramatem jest to, że jedyny sposób na poradzenie sobie z tym wyzwaniem, jaki dotąd wymyślono, jest tak okropny jak pomysły Bukele. W obliczu narastającego niepokoju społecznego wynikającego z braku poczucia bezpieczeństwa politycy sięgają po rozwiązania z katalogu skrajnej prawicy. Tak jest też w innych krajach – we Francji, Włoszech, Polsce, na Węgrzech. W Salwadorze jest to widowiskowe, ale co do zasady nie różni się od tego, z czym mamy do czynienia w innych częściach świata.

Przez Ńamerykę idzie teraz tzw. różowa fala. W Meksyku, Argentynie, Chile czy Kolumbii rządzi lewica.

– Owszem, w kilku ważnych krajach rządzą partie uważane potocznie za lewicowe, ale w życiu lewicowcem nie nazwałbym np. prezydenta Meksyku Lópeza Obradora. Lewicowe nie są też rządy peronistów w Argentynie, a już na pewno tak nazwać nie można reżimów Ortegi w Nikaragui, Maduro w Wenezueli czy Castro na Kubie. Warto natomiast obserwować, co będzie się działo w Chile. Rząd Gabriela Borica jest powiewem nowości, choćby dlatego, że jego członkowie nie wywodzą się ze starych struktur partyjnych, wojskowych czy związkowych, tylko z ruchów społecznych, które organizowały wielkie protesty uliczne. Rządzą dopiero od roku, na razie nie idzie im dobrze, ale rok to zbyt mało, by ich ocenić. **N**

jacek.pawlicki@newsweek.pl

ROZMOWĘ TŁUMACZYŁA DOMINIKA KUR-SANATOS

MARTÍN CAPARRÓS (UR. 1957) JEST ARGENTYŃSKIM PISARZEM, REPORTEREM, DZIENNIKARZEM MIESZKAJĄCYM W MADRYCIE. JEST AUTOREM PONAD 40 KSIĄŻEK NAGRADZANYCH I TŁUMACZONYCH NA CAŁYM ŚWIECIE. W POLSCE UKAZAŁY SIĘ: „GŁÓD”, „KSIĘŻYC. OD NOWIU DO NOWIU” I AUTOBIOGRAFICZNI „DZIADKOWIE”. TERAZ WYSZŁO U NAS JEGO NAJNOWSZE DZIEŁO – „ŃAMERYKA”, REPORTAŻ O LUDZIACH DALEKIEGO ZACHODU

Donald Trump
na granicy Stanów
Zjednoczonych
z Meksykiem, Alamo,
styczeń 2021 r.



SEKS, KŁAMSTWA I WYBORY

Oskarżony Donald Trump

Trump to pierwszy w dziejach eksprezydent USA, który usłyszy zarzuty karne. Nowojorska ława przysięgłych uznała, że nielegalnie płacił za dyskrecję aktorce porno, z którą sypiał

TEKST PIOTR MILEWSKI, NOWY JORK

Akt oskarżenia jest niejawnym, zostanie odpieczętowany dopiero, gdy podejrzany stawi się w sali rozpraw lub zostanie do niej siłą doprowadzony. Prokurator okręgowy Manhatanu Alvin Bragg rozpoczął z adwokatami eksprezydenta negocjacje na temat warunków oddania się Trumpa w ręce wymiaru sprawiedliwości. Tak zwana wielka ława przysięgłych, która w odróżnieniu od zwykłej prowadzi czynności quasi-dochodzeniowe i nie decyduje o winie, lecz o zasadności postawienia zarzutów, obradowała dwa miesiące. Nie wiadomo, ilu spośród 23 ławników głosowało za wniesieniem aktu oskarżenia, ale starcza zwykła większość.

Trump prawdopodobnie przyleci z Florydy i pojawi się w sądzie we wtorek. Zostanie sfotografowany, policjanci wezmą jego odciski palców i ze zdjęciem wprowadzą do rejestru aresztowań.

PRZYWRÓCIĆ AMERYCE JURNOŚĆ

SKANDAL CIĄGNIĘ SIĘ OD PONAD CZTERECH LAT. W styczniu 2018 r. wyszło na jaw, że tuż przed wyborami adwokat nowojorskiego dewelopera Michael Cohen zawarł ugodę z występującą w filmach dla dorosłych aktorką Stormy Daniels. Za jednorazową rekompensatę w wysokości 130 tys. dolarów zgodziła się ona nie ujawniać, że współżyła z kandydatem republikańskim na prezydenta.

Trump praktycznie stracił szansę wygrania kolejnych wyborów prezydenckich. Na przeczolganego przez sąd kandydata nie zagłosują wyborcy niezależni

Gdyby podobna informacja wyciekła po roku urzędowania Obamy czy Busha, Ameryka nie mówiłaby o niczym innym. Jednak Trump obniżył standard godności urzędu do tego stopnia, że wiadomość wywołała wprawdzie pewne poruszenie, lecz szybko została zepchnięta na dalszy plan przez groźniejsze wybryki. Liberalne media pooburzały się na hipokryzję prawicy, która entuzjastycznie wspiera Trumpa, choć finansowała pozew kochanki Billa Clintona Gennifer Flowers, a także żądała usunięcia go ze stanowiska za romans ze stażystką w Białym Domu.

Tymczasem Daniels – a właściwie Stephanie Clifford – nie odpuściła. Zyskała niepowtarzalną okazję, by ustawić się do końca życia. 130 tysięcy, które zdawały się sumą godziwą, gdy nikt nie dawał Trumpowi szans na zwycięstwo, były niczym

w porównaniu z potencjalnymi honorariami za wywiady, książki czy filmy – zarówno dokumentalne, jak i erotyczne.

Stormy podpisała kontrakt na tournée po klubach striptizowych „Przywrócić Ameryce jurność” (parodia sloganu Trumpa „Przywrócić Ameryce wielkość”). A następnie zaskarżyła ugodę do sądu, argumentując, że jest nieważna, ponieważ zamiast kochanka podpisał ją Cohen. Co ciekawe, prezydent figurował w dokumencie jako David Dennison, Daniels jako Peggy Peterson. Prawdziwe nazwiska można było znaleźć tylko w załączniku objętym klauzulą tajności. Zdaniem adwokata powódki Michaela Avenattiego „Dennison” miał obowiązek złożyć podpis, bo papier zawierał adekwatne rubryki, lecz pozostały one puste.

Daniels ujawniła szczegóły romansu w roku 2011 tygodnikowi „In Touch”. Deweloper nawiązał z nią stosunki niecałe cztery miesiące po przyjeździe na świat jego syna Barrona i kontynuował spotkania przez blisko dwanaście kolejnych. Poznali się na turnieju golfowym American Century z udziałem celebrytów. Trump pożerał aktorkę wzrokiem przez całą imprezę, a na koniec spytał, czy nie zjadłaby z nim kolacji. Wspólne posiłki kończyły się w apartamentach hoteli należących do magnata, m.in. w Lake Tahoe, Beverly Hills i Miami. Gospodarz mówił partnerce, że jest niezwykła, piękna tudzież mądra, zupełnie jak Ivanka oraz



Demonstracja przed sądem karnym na Manhattanie, gdzie prokurator okręgowy Alvin Bragg negocjuje z adwokatami eksprezydenta warunki realizacji aktu oskarżenia Trumpa, Nowy Jork, 27 marca 2023 r.

obiecował, że zaprosi ją do swojego reality show „The Apprentice”.

„Seks był podręcznikowo poprawny – stwierdziła Stormy. – Żadnych szaleństw. Żadnych prezerwatyw”. Jej pozew stanowił ripostę na wniosek o wyegzekwowanie ugody złożony przez Cohena w sądzie arbitrażowym Los Angeles. To ważne, bo pełnomocnik nie może podejmować żadnych kroków prawnych bez wiedzy i zgody strony, którą reprezentuje. Innymi słowy: Trump musiał polecić adwokatowi, by uciszył Clifford. Zaangażowanie prezydenta potwierdziło wniesione do sądu federalnego powództwo, w którym prawnik żądał 20 milionów odszkodowania za złamanie przez aktorkę klauzuli milczenia.

Eksprezydent USA z powodzeniem przez dekady stosował taktykę zastraszania konkurentów i ukręcania łba pozwom cywilnym na mocy umów pozasądowych. Ale tym razem trafił swój na swego. Stormy nie bała się negatywnego PR. Przeciwnie: im robiło się głośniejsze, tym lepiej. Avenatti, składając skargę, zyskał prawo upublicznienia ugody i załączników, co też skwapliwie zrobił, śląc kopie do każdej redakcji, która sobie tego życzyła.

PRZESTĘPSTWO WYBORCZE

WTEDY WŁAŚNIE WYBUCHŁ PRAWDZIWI SKANDAL, bo diabeł tkwi w szczegółach. Zdradzając żonę, Trump nie złamał prawa, zaś polityczna klientela – włącznie z chrześcijańskimi fundamentalistami – wybaczała mu gorsze rzeczy, np. osławione łapanie kobiet „za cipy”, gdyż do ugrania miała zakaz aborcji oraz deregulację rynku finansowego. Jednak pod



Seks był podręcznikowo poprawny. Żadnych szaleństw. Żadnych prezerwatyw

WSPOMINAŁA STORMY DANIELS
SPOTKANIA Z DONALDEM TRUMPEM

warstwą tabletkowych brudów kryły się poszlaki przestępstw finansowych.

Początkowo Cohen twierdził, że przekazał Daniels własne pieniądze za pośrednictwem utworzonej w tym celu spółki Essentials Consultants. „Trump Organization ani sztab wyborczy prezydenta nie były podmiotami transakcji i nie pokryły moich wydatków bezpośrednio czy pośrednio” – oświadczył.

Brzmiało to niewiarygodnie, ale nawet gdyby Cohen faktycznie był pierwszym w historii świata prawnikiem, który potajemnie płaci rachunki klienta, zamiast go żyłować, to ów wspaniałomyślny gest należało potraktować jako datek na kampanię Trumpa. Ponadpartyjna organizacja nadzoru publicznego Common Cause wniosła do Federalnej Komisji Wyborczej skargę, wskazując, że „celem płatności było wywarcie wpływu na wynik głosowania”, a więc zarówno darczyńca, jak i obdarowany mieli obowiązek zgłosić ją odpowiednim organom.

Wkrótce sprawą zajęła się prokuratura federalna. Cohen przyznał się do ośmiu

przestępstw, ale najważniejsze były dwa ostatnie: złamanie przepisów prawa wyborczego. A konkretnie „w porozumieniu z kandydatem i na jego polecenie dokonanie płatności mających zmienić rezultat głosowania” bez zgłoszenia ich odpowiednim organom jako datków na kampanię.

Zaprzysiężone zeznania adwokata miały rangę dowodu, że Trump popełnił przestępstwo, lecz prezydenta USA można pociągnąć do odpowiedzialności jedynie w ramach procesu parlamentarnego (impeachmentu) za „nadużycia popełnione w czasie sprawowania urzędu, zdradę stanu, przekupstwo lub inne zbrodnie i przestępstwa”.

Billa Clintoną kongresowi republikanie próbowali skazać za to, że zeznając pod przysięgą na przedprocesowym przesłuchaniu w sprawie z powództwa cywilnego, nie chciał powiedzieć, jakich części ciała kochanki dotykał i czym. Tyle że Partia Republikańska przestała być ugrupowaniem konserwatystów, a stała się partią wodzowską, która szefa nie ruszy, choćby – jak sam to ujął – „zastrzelił faceta na Piątej Alei w Nowym Jorku”.

Przy czym określenie „partia wodzowska” należy wziąć w cudzysłów, bo większość republikanów po cichu gardzi nowojorskim cwaniakiem, a kadzi mu ze strachu przed fanatycznym elektoratem. Zaś kiedy demokraci przejęli Izbę Reprezentantów, Trump popełnił znacznie gorsze przestępstwa niż płacenie kochance za milczenie, więc dwa impeachmenty dotyczyły innych kwestii.

Ostatecznie prokuratura federalna nie postawiła zarzutów głównemu winnemu, choć jego „cyngiel” Cohen dostał trzy lata więzienia, zapłacił 50 tys. dol. grzywny i dożywotnio utracił prawo wykonywania zawodu. Trump popełnił te same przestępstwa. Były radca Białego Domu ds. etyki Norman Eisen zwrócił ponadto uwagę na kwestię, którą nazywa „efektem Ala Capone”. Otóż w ramach ugody gwiazda zobowiązała się przekazać Essentials Consultants (czyli Trumpowi) wszelkie związane z romansem zdjęcia, filmy, e-maile oraz esemesy, które potencjalnie mają ogromną wartość.

Jeśli ktoś kupi wielki brylant za dolara, to fiskus uznaje, że wzbogacił się o rynko-

wą cenę klejnotu. W wypadku transakcji z Clifford cenę trudno ustalić, lecz prezydent, nabywając prawa do łakomych dla mediów treści, niewątpliwie się wzbogacił, więc nie zgłaszając zmiany statusu majątkowego, oszukał urząd podatkowy.

POCZĄTEK SERII

OKUP ZAPŁACONY AKTORCE NIE JEST JE-DYNYM. Dawna modelka „Playboya” Karen McDougal twierdzi, że miała trwający dziewięć miesięcy romans z miliarderem, a prawa do tej historii kupił za 150 tys. dol. jego przyjaciel David Pecker – szef spółki American Media Inc., która kontroluje brukowiec „National Enquirer”. Nigdy nie opublikował tekstu, natomiast McDougal nie może zaprezentować innym środkiem przekazu dowodów, że mówi prawdę, bo zapłaciłaby wielomilionową karę.

Zarzuty modelki zweryfikował jednak i opublikował prestiżowy tygodnik „The New Yorker”. Z kolei były strateg Białego Domu Steve Bannon powiedział autorowi książki „Ogień i furia” Michaelowi Wolfowi, że prawnik Trumpa Marc Kasowitz „podczas kampanii uciszył ze sto kobiet”.

I tu dochodzimy do sedna problemu: skoro Trump nie wahał się płacić setek tysięcy dolarów, by ukryć małżeńskie zdrady, to jest prawdopodobne, że zgodziłby się też na inne ustępstwa wobec osób mających kompromitujące materiały. A hakami mogą dysponować Rosjanie, Chińczycy czy nawet Kim Dzong Un, którego hakerzy potrafią penetrować najlepiej zabezpieczone amerykańskie komputery.

Trump praktycznie stracił szansę wygrania kolejnych wyborów prezydenckich. Na przeczolganego przez sąd kandydata z pewnością nie zagłosują wyborcy niezależni. Jednocześnie proces zwiększy lojalność jego twardego elektoratu, który uważa śledztwo Bragga i postawienie zarzutów za polityczną dintojrę. Stawia to Partię Republikańską w dramatycznej sytuacji. Liderzy prawicy nadal muszą kadzić Trumpowi, by nie narazić się fanatykom i wystawią do walki z Bidenem człowieka z góry przegranego.

Co gorsza (dla Trumpa), nowojorski proces jest najmniej niebezpieczny spośród kilku, które mu grożą. Specjalny prokurator bada sprawę tajnych dokumentów,

które – mówiąc brutalnie – eksprezydent ukraść. A ponadto zainspirowanie szturmu na Kapitol 6 stycznia 2021 r., za co Trump może usłyszeć trzy zarzuty podżegania do: przestępstwa z użyciem przemocy, rebelii, utrudniania czynności organu państwa. Aby uzyskać wyrok skazujący, prokuratura musiałaby dowieść, że Trump wywarł bezpośredni wpływ na tłum.

Adekwatny cytat z jego przemówienia zna cała Ameryka: „Pomaszerujemy na Kapitol (...) Okażcie siłę. Walczcie jak cholera, inaczej ukradną wam kraj!”. Kolejne punkty aktu oskarżenia obejmowałyby znowę przestępczą w celu zdrady interesów USA, zamachu stanu i naruszenia uprawnień Kongresu. Należałoby wykazać, że podejrzany zamierzał zmienić wynik wyborów, który sam uznawał za wiążący.

Że zamierzał, to nie ulega wątpliwości. Potwierdziły to dziesiątki świadków z jego

najbliższego otoczenia. Czy wierzył we własne kłamstwa – to inna sprawa. Oskarżyciele mogliby jedynie argumentować, że żaden racjonalnie myślący człowiek nie powinien wierzyć, przerzucając ciężar dowodu na obronę. A tej pozostałoby tylko lansowanie tezy, że eksprezydent jest niepoczytalny, na co raczej by się nie zgodził.

Trump złamał także prawo stanowe. „Znajdź nam 11 780 głosów. O jeden więcej, niż potrzebujemy do zwycięstwa. Weź wyluzuj. No pomóż!” – prosił sekretarza stanu Georgii Brada Raffenspergera, który nagrał rozmowę. Zasadność postawienia wynikających z tej konwersacji zarzutów bada ława przysięgłych powołana przez Fani Willis, prokuratorkę powiatu Fulton. Krótko mówiąc, były prezydent może nie tylko usłyszeć zarzuty w co najmniej trzech sądach, lecz także trafić za kraty. **N**

piotr.milewski@newsweek.pl

REKLAMA

Opera
Bałtycka
w Gdańsku

IMRE KÁLMÁN KSIĘŻNICZKA CZARDASZA

KIEROWNICTWO MUZYCZNE: ADAM BANASZAK
REŻYSERIA: JERZY SNAKOWSKI
SCENOGRRAFIA I KOSTYUMY: HANNA WÓJCIKOWSKA-SZYMCZAK
CHOREOGRAFIA: MICHAŁ CYRAN
PRZYGOTOWANIE CHORU: AGNIESZKA DŁUGOŁĘCKA-KURAŚ
REŻYSERIA ŚWIATŁA: MACIEJ IWANCZYK

PREMIERA 12 MAJA 2023

Operę Bałtycką w Gdańsku
Energia | GRUPA ORLEN
Instytut Kultury
Partnerski Dr Irena Eris
metropolitalna
Bilety
Pracownicy
Wykaz
sejstymna
Radio Gdańsk
SEZON 2022/2023
www.gdansk.pl
Présto





PRAWDZIWI KEANU REEVES

Wolny ptak

Wielki talent? Uroda? Nie, fenomen Keanu Reevesa polega na tym, że wymyka się regułom rządzącym Hollywood. Żyje po swojemu

TEKST ARTUR ZABORSKI

Możecie zobaczyć go zarówno w wielkich hollywoodzkich hitach, jak i skromnych produkcjach z niewielkimi budżetami, które stały się ważne w środowiskach miłośników kina. Jak kultowe „Moje własne Idaho” (1991), w którym Reeves i River Phoenix zagraли męskie prostytutki. Jego bohater Scott pochodził z bogatej rodziny, ale wybrał życie na ulicy w akcie buntu przeciwko ojcu. Nie chciał być tak zepsuty i zaślepiony pieniędzmi jak on.

W życiu prywatnym Reeves też się buntuje: przeciwko absurdalnym zarobkom gwiazd w fabryce snów i filmom robionym tylko dla pieniędzy, ale też przeciw ograniczeniom własnego ciała.

NIEBEZPIECZNA PRĘDKOŚĆ

58-LETNI AKTOR DEKLARUJE, ŻE DZIŚ DO ZAGRANIA w jakimś filmie zachęca go nie czek z wielkim honorarium, tylko frajda z roli. I jeśli poczuje tę frajdę, wtedy na planie daje z siebie wszystko. Możecie się o tym przekonać w kinach, do których wszedł właśnie „John Wick 4”. Wcielając się w tytułowego zabójcę, Reeves na planie przechodził samego siebie. Choreograficzne sceny walk z jego udziałem przyprawiają o zawrót głowy. Skacze, biega, przewraca się, bawi bronią, robi fikołki i inne akrobacje, jakby brał udział nie w filmie, tylko w igrzyskach olimpijskich.

– To bardzo smutne pytanie – mówi Keanu Reeves, kiedy pytam go, czy myśli o tym, że będzie musiał w przyszłości zmienić swoje podejście do grania na

mniej intensywne (rozmawiamy w grupie dziennikarzy na Zoomie). – Śmierć jest częścią życia. Dziś nie mogę już biegać, skakać ani grać tyle, ile kiedyś. Ale kiedy tylko dostaję szansę, żeby dać z siebie wszystko, na co mnie stać, korzystam z niej. Czuję żal, że dziś nie jestem już tak wydolny jak dawniej. Ale pociesza mnie myśl, że w przyszłości będę mógł nadal jeździć samochodem i kręcić sceny pościgów. Tak czy siak to smutna sprawa – dodaje.

Ekranowe ciało Reevesa jest pokryte bliznami, ale nie wszystkie stworzyli charakteryzatorzy. W życiu prywatnym aktor też lubi bowiem wcisnąć gaz do dechy. Od dawna kolekcjonuje motocykle – jest właścicielem m.in. harleya-davidsona, a w Hawthorne w Kalifornii otworzył nawet własną firmę Arch Motorcycle Company. I regularnie jeździ na motocyklu. W wywiadzie dla „Esquire” zdradził, iż ma na koncie tyle wypadków, że dorobił się wielu szram, a nawet stracił śledzionę.

Śmieje się, że popisy motocyklowe to kolejna rzecz, która przyciąga go w scenariuszach – wariactwa, które wyczynia w seriach „Matrix”, „John Wick” czy w „Speed – niebezpieczna prędkość”, kręcił bez pomocy kaskaderów. A potem dziękował za te sceny reżyserom.

HAWAJSKA KREW

NIC DZIWNEGO, ŻE FILMOWCY UWIELBIAJĄ Z NIM PRACOWAĆ. Reeves słynie z tego, że nie gwiazdorzy. Reżyser Chad Stahelski chętnie przypomina w wywiadach, jak kręcili „Johna Wicka” (2014) i aktor miał prawie 40 stopni gorączki.

Ale o tym, że jest chory, ekipa dowiedziała się po skończeniu dnia zdjęciowego. Choć lał się z niego pot, był czerwony na twarzy i miał podkrążone oczy, wszyscy myśleli, że to efekt scen rozgrywających się w klubie, gdzie John Wick naparza się z całą zgrają zbirów.

– Ważna jest etyka pracy – mówi nam Reeves. – Publiczności nie obchodzi to, co dzieje się na planie, tylko produkt, który dostaje. To za niego płaci. Ale żeby ten produkt był dobry, to musi być w to zaangażowana cała ekipa, więc warto dbać o to, żeby być dla innych inspiracją – dodaje.

Stahelski śmieje się, że Reevesa najlepiej opisuje jego imię. Keanu w lokalnym języku Hawajczyków oznacza chłodną bryzę nad górami. To synonim spokoju, opanowania i relaksu, który nie spodobał się w jego pierwszej agencji aktorskiej. Kiedy młody Reeves przeprowadził się z Kanady do Hollywood, agenci zachęcali go, żeby znalazł sobie jakiś pseudonim. Posłuchał ich. Na kolejnym spotkaniu poprosił więc, by mówili na niego Chuck Spadina. Agenci zasugerowali, żeby szukał dalej. Kolejnego dnia zaproponował, żeby nazywali go Templeton Page Taylor. Żaden z agentów nie miał już wątpliwości, że ma zostać Keanu Reevesem.

Aktor ma w sobie hawajską krew po ojcu, którego przodkowie przybyli na wyspę z Chin, a potem przenieśli się do Ameryki. Jednak dla Chińczyków pochodzenie aktora nie ma dziś szczególnego znaczenia i zakazali dystrybucji „Johna Wicka 4” w swoim kraju. Powód? Wypowiedzi Reevesa, który otwarcie popiera walczących o wolność Tybetu.

Mieszanka azjatyckiej urody (jego matka jest z pochodzenia Angielką) bywa jednak w Hollywood pomocna. Kiedy reżyserka „Chyba na pewno ty” (2019) pisała scenariusz, jednego była pewna: chciała, żeby bohaterka jej komedii romantycznej podkochiwała się w Amerykanach azjatyckiego pochodzenia. Ale w fabryce snów amantów o takim typie urody jest jak na lekarstwo. Od początku zakładała, że w jej filmie musi zagrać Reeves, który gdy tylko poznał szczegóły projektu, natychmiast się zgodził.

KOTEK KEANU

UWIELBIA DOBRE PARODIE. GDY JORDAN PEELE I KEEGAN-MICHAEL KEY stworzyli swoją komedię „Keanu” (2016), która jest prześmiewczą wersją „Johna Wicka”, w której tytułową postać zastępuje kotek Keanu zamieszany w wojnę gangów, marzyli, żeby Reeves dołączył do obsady. Ale gdy zgłosili się do jego agentów, ci natychmiast odmówili, nie konsultując tego z aktorem. Gdy aktor zobaczył zwiastun filmu, sam zadzwonił do reżyserów. Ci poprosili go, żeby nagrał swoim głosem sekwencję snu kociaka. Dodajmy, że Reeves jest znanym miłośnikiem kotów – jedną ze swoich firm produkcyjnych nazywał nawet Side by Side na cześć relacji, jaką ma ze swoim czworonogiem.

W „Chyba na pewno ty” wcielił się w samego siebie, tylko że w przerysowanej formie. Grał egotycznego aktora, dla którego liczą się kasa i sława. Żartował ze swojego wizerunku, naigrawając się przy tym z krytyków filmowych, z którymi nie miał lekko. Nie grał ról, które uznano by za wybitne, nie może się też pochwalić akorskimi nagrodami. Najwięcej nominacji ma do Złotych Malin – antynagród dla najgorszych filmów.

Fenomen Keanu Reevesa nie polega ani na wybitnym talencie, ani na efektywnej urodzie, tylko na tym, że wymyka się modelom życia i funkcjonowania w Hollywood. Udało mu się zachować niezależność. Chociaż po premierze „Speed: Niebezpieczna prędkość” (1993) stał się jednym z najślawniejszych aktorów dekady, który z powodzeniem mógłby spędzić resztę życia na odcinaniu kuponów od tego sukcesu, odrzucił pomysł zagra-

nia w sequele. Odmówił, choć wytwórnia była gotowa zapłacić mu zawrotnie na tamte czasy honorarium – 11 milionów dolarów. Studio 20th Century Fox nie zaproponowało mu roli przez następne dziesięć lat.

Z drugiej strony trudno powiedzieć, żeby zaczął szukać w kinie ambitniejszych projektów, bo w jego filmografii jest mnóstwo filmów akcji w rodzaju „Johnny’ego Mnemonica” (1995), „Reakcji łańcuchowej” (1996), „Życia na krawędzi” (1997) czy „Adwokata diabła” (1997).

– Nie chodzi o to, żeby skupiać się na przemoc i się nią napawać, tylko tworzyć zachwycające sceny walk, wydobywać piękno z ich choreografii, pokazywać,

”

Nie chodzi o to, żeby skupiać się na przemoc i się nią napawać, tylko tworzyć zachwycające sceny walk, wydobywać piękno z ich choreografii

KEANU REEVES

do czego jesteśmy dzisiaj zdolni w budowaniu ruchu na ekranie. Nie tworzymy filmów, które mają obrazować, do czego zdolny jest człowiek. Nie idziemy też w stronę pornografii przemocy, tylko Jackiego Chana i hongkońskiej mentalności – mówi nam Keanu Reeves.

KINO, FILANTROPIA I WSCHÓD

CHĘĆ PROMOWANIA KULTURY WSCHODU doprowadziła go do otwarcia własnej firmy produkcyjnej. To w niej nakręcił swój debiut reżyserski „Człowiek Tai Chi” (2013) naszpikowany scenami walk. Jako aktor też nadal najchętniej sięgał po filmy, w których Hollywood spotykało się z Azją, by wspomnieć „Królów ulicy” (2008),

„47 roninów” (2013) czy serię „John Wick”. W tę ostatnią zaangażował się z jeszcze jednego powodu: na planach filmów z trylogii „Matrix” za akrobacje odpowiadał Chad Stahelski. Zaprzyjaźnili się. Kiedy Chad wreszcie mógł zasiąść na krzesło reżyserskim i nakręcić swój wymarzony projekt, od razu zadzwonił do Reevesa. Aktora nie trzeba było przekonywać, bo słynie ze szczodrości względem przyjaciół – w „Swedish Dicks” (2016) zagrał byłego kaskadera, który próbuje swoich sił jako zabójca na zlecenie, bo poprosił go o to jego przyjaciel Peter Stormare. Za udział dostał grosze, a produkcji nie było stać na zatrudnienie dla niego kierowcy. Keanu Reeves dojeżdżał więc na plan sam. Ale to nie powinno nikogo dziwić, skoro wśród najpopularniejszych na YouTube filmików jest ten, na którym ktoś zarejestrował, jak aktor w zatłoczonym metrze ustępuje komuś miejsca.

Wschód jest ważny dla urodzonego w Bejrucie aktora (jego matka realizowała tam projekt kostiumograficzny i poznała wtedy ojca Keanu – geologa, który porzucił rodzinę, gdy Keanu miał trzy latka) – pomógł mu odnaleźć spokój po tragediach, które go dotknęły. W 2008 r. media podały, że aktor jest w związku z aktorką Jennifer Syme. Gdy zaszła w ciążę, Keanu nie mógł doczekać się, aż zostanie tatą. Wspólnie wybrali dla córeczki imię Ava. Jednak dziecko urodziło się martwe. Był rok 2000. Zaledwie kilka miesięcy później – w kwietniu 2001 r. – w wypadku zginęła Jennifer.

Reeves mówi, że przy życiu zachowały go trzy rzeczy: kino, filantropia i filozofia Wschodu. Po atakach na World Trade Center aktor zaangażował się w pomoc organizacjom, które działały na rzecz rodzin zabitych w zamachach z 11 września 2001 r. Na ich konto przelał milion dolarów. Wspiera też organizacje pomagające chorym na raka, bezdomnym czy imigrantom. – Zarobiłem już tyle pieniędzy, że mógłbym za nie przeżyć kolejne kilka wieków, nie robiąc nic. Ale jestem sprawny i gotowy do pracy, a tak długo na pewno nie będę żył. Pora więc podzielić się z innymi – podsumowuje aktor. ■

Artur Zaborski



Tysiące ludzi biorą udział w proteście przeciwko rządowej reformie systemu emerytalnego, Paryż, 23 marca 2023 r.

FRANCJA NA ZAKRĘCIE

Ostatni demokratyczny prezydent?

Wymuszenie reformy emerytur wywołało tak wielki polityczny kryzys, że jeszcze nigdy Marine Le Pen nie była tak blisko władzy

TEKST MACIEJ NOWICKI



Byla jesień 2022 r. Emmanuel Macron już od kilku miesięcy rządził drugą kadencję, ale prawie nikt nie wiedział, co zamierza z nią zrobić. Jeden z jego doradców zdradził tajemnicę: „Reforma emerytur spadnie z nieba jak bomba, wejdzie w atmosferę i potem... wszystko znowu nabierze tempa”. Trudno było o bardziej nietrafioną przepowiednię. „Bombardowanie” reformą nie oczyściło politycznej atmosfery we Francji. Raczej podpałiło Francję i wyrządziło nieodwracalne szkody samemu macronizmowi – wielu uważa, że projekt polityczny prezydenta jest martwy.

Zaczęto się od protestów przeciwko podniesieniu wieku emerytalnego, ale potem demonstracje stawały się coraz bardziej pełne gniewu i przemocy. I coraz wyraźniej wymierzone w samego Macrona. „Przeszliśmy od kryzysu społecznego na temat emerytury do początków kryzysu demokratycznego” – powiedział Laurent Berger, lider Francuskiej Demokratycznej Konfederacji Pracy, największego i najbardziej umiarkowanego związku zawodowego. „Gniew rośnie, a przed nami stoi prezydent, który nie widzi tej rzeczywistości”.

Dla wielu demonstrantów samo odwołanie reformy emerytalnej to stanowczo za mało. Tak naprawdę pragną ukarania samego Macrona. Słychać nawet wezwania do królobójstwa: „Najpierw Ludwik XVI. Teraz Macron”.

KIEDY W 2018 ROKU WYBUCHŁ RUCH ŻÓŁTYCH KAMIZELEK w związku ze wzrostem cen paliw, prezydent udał się na objazd kraju. Próbował zbliżyć się do ludzi pracy, którzy doszli do przekonania, że Macron ich lekceważy lub nimi wręcz gardzi. „Podatek ekologiczny”, który spowodował drożyznę na stacjach, został odesłany do lamusa.

W czerwcu ubiegłego roku Macron obiecywał „nową metodę rządzenia”. W wywiadzie dla gazet regionalnych mówił, że Francuzi są zmęczeni reformami narzucanymi z góry.

Gdy więc na początku tego roku postanowił podnieść wiek emerytalny z 62 do

64 lat, został ostrzeżony przez liderów związkowych, że czeka go ciężka przeprawa: „Jeśli Emmanuel Macron chce uczynić to matką wszystkich reform, dla nas będzie to matką wszystkich bitew” – powiedział Frédéric Souillot, sekretarz generalny związku Force Ouvrière.

Reforma jest bardzo niepopularna. A okoliczności wydawały się równie mało sprzyjające. „Kiedy uruchamia się reformę emerytalną w kontekście silnej inflacji, mocno obniżonej siły nabywczej i strachu wywołanego wojną, wydaje się to raczej niezrozumiałe” – krytykował były prezydent François Hollande. Była też dodatkowa trudność – w ostatnich wyborach partia prezydencka (Renaissance) utraciła większość absolutną. Aby przeforsować reformę, potrzebowała dodatkowych głosów. Gdy stało się jasne, że ich zabraknie, prezydent postanowił skorzystać z innej metody: konstytucja (artykuł 49.3) pozwala mu na zmiany legislacji bez głosowania w parlamencie. Robił to już wcześniej, ale nigdy w sprawie tak fundamentalnej i równie niepopularnej. 70 proc. Francuzów jest przeciwnych reformie emerytalnej, w tym 90 proc. tych, którzy obecnie pracują. Nawet ponad połowa wyborców Macrona z 2017 r. jest na „nie”. Było jasne, że prezydent dolewa oliwy do ognia. A rezultat może być tylko jeden – Francuzi będą kontynuowali protesty z jeszcze większą furią.

Doradcy przekonywali, że Macron powinien zwrócić się do narodu, „aby znaleźć wyjście z politycznego impasu”. Ale usłyszeli od prezydenta, że nie ma on „skrupułów ani wyrzutów sumienia” z powodu pominięcia parlamentu, ponieważ nie było „innego wyboru”.

Gdy sytuacja nadal się zaogniała, Macron w końcu przemówił do narodu. W orędziu telewizyjnym porównał demonstracje przeciwko reformie emerytalnej do ataku trumpistów na Kapitol. Co rzecz jasna Francuzi uznali za kolejną prowokację.

Artykuł 3 konstytucji mówi, że „suwerenność narodowa należy do ludu, który wykonuje ją przez swych przedstawicieli i w drodze referendum”. Jeden z blogerów ironizował, że powinno się dodać następujące zdanie: „poza wyjątkowymi przy-

padkami, gdy życzenie ludu jest oceniane przez prezydenta jako niewłaściwe”.

„REFORMA EMERYTALNA STAŁA SIĘ KATALIZATOREM wszystkich pretensji nagromadzonych pod adresem głowy państwa” – przekonuje politolog Frédéric Mas.

Deputowani z partii Macrona otrzymywali groźby śmierci. Dziesiątki budynków, takich jak ratusze i posterunki policji, a także ponad sto biur wyborczych partii prezydenckiej stały się w ostatnich tygodniach celem wandalizmu i podpażeń. Ponad 800 funkcjonariuszy zostało rannych podczas protestów.

Prezydent ma od samego początku nadzieję, że przemoc, po którą sięgają demonstranci, obróci się przeciwko nim, bo na końcu Francuzi zapragną spokoju. Na razie wcale się na to nie zanoszą. Jeden z sondaży wykazał, że 70 proc. uważa, że to rząd swoim postępowaniem spowodował przemoc.

U źródeł gniewu leży naruszenie nieformalnej umowy, która od dziesięcioleci stanowiła podstawę relacji między obywatelami a państwem. „Większość młodych protestujących przyjaciel i kolega mówi to samo: że istnieje fundamentalna umowa społeczna, która właśnie została złamana” – tłumaczył swój udział w demonstracjach Julien, archeolog z Orleanu. „Zasadniczo zgodziliśmy się po II wojnie światowej, że ludzie muszą cieszyć się życiem po zakończeniu pracy. Ta umowa nie została zlikwidowana w sposób jasny i oficjalny, ale przez ostatnie 20, 30 lat jest rozmontowywana krok po kroku. Ludzie nie są głupi. Zauważają to”.

W 2000 roku we Francji na każdego emeryta przypadało 2,1 pracownika, ale w 2020 roku już tylko 1,7. W swoim orędziu do narodu Macron przekonywał, że w Europie wiek emerytalny jest niemal wszędzie wyższy niż we Francji. Ale Francuzów ta argumentacja ani trochę nie przekonuje. „Rząd od początku kłamał na temat konieczności tej reformy. Najpierw powiedzieli, że ma ona na celu wygenerowanie funduszy na pomoc osobom starszym, ale to okazało się kłamstwem. Potem powiedzieli, że reforma pomoże kobietom, ale to też kłamstwo.

Z powodu reformy kobiety będą musiały pracować o trzy miesiące dłużej niż mężczyźni. A teraz Macron mówi, że jego reforma jest konieczna, aby uratować państwowy system emerytalny. I po raz kolejny kłamie” – mówiła Chloe Tessier, demonstrantka z Paryża.

We Francji państwo jest powszechnie postrzegane jako „dostawca bezpieczeństwa”, choć wiąże się to z wysokimi kosztami: wydatki publiczne stanowią niemal 60 proc. PKB i są zdecydowanie najwyższe w UE. A na pracowników, jak i na pracodawców nakładane są bardzo wysokie opłaty socjalne

Kiedy Willy’emu Alioune, właścicielowi trafiki z przedmieść Paryża, który protestował przeciwko reformie Macrona, zwrócono uwagę, że w większości krajów ludzie pracują znacznie dłużej, odparł: „Mamy niższy wiek emerytalny, ponieważ jesteśmy krajem wartości. A dziś mamy wrażenie, że tracimy te wartości pod presją międzynarodowych korporacji”. Jean-Baptiste Duclos, technik laboratoryjny, był podobnego zdania: „Być może mamy we Francji niższy wiek emerytalny niż w niektórych innych krajach. Ale płacimy też wyższe podatki, które mają finansować takie rzeczy jak nasz system”.

Obniżenie w 1981 r. przez François Mitterranda wieku emerytalnego z 65 do 60 lat było postrzegane – obok zniesienia kary śmierci – jako jedno z wielkich osiągnięć lewicy.

Wielu Francuzów zaczyna marzyć o emeryturze w wieku dwudziestu lat (dlatego w ostatnich protestach uczestniczy wielu ludzi bardzo młodych). Tylko 21 proc. twierdzi, że praca zajmuje bardzo ważne miejsce w ich życiu (w 1990 r. było to 60 proc.). Tylko 9 proc. uważa, że emerytura oznaczała wejście w zły okres życia.

Francuzom nie chodzi tylko o to, że mają pracować dwa lata dłużej. Boją się, że ich cały dotychczasowy świat może odejść w przeszłość. „Jest to kolejny sygnał ogólnej deklasacji kraju: ten kryzys zapowiada inne, które prawdopodobnie będą się mnożyć w miarę upadku francuskiego modelu społecznego” – ostrzega Frédéric Mas.

IDĄC W 2017 R. PO WŁADZĘ, MACRON CHCIAŁ DAĆ NADZIEJĘ MŁODYM, rozczarowanym tradycyjnymi partiami. I tym, którzy przestali chodzić na wybory. Z tego pierwotnego macronizmu dziś nic nie zostało. „Zdołał zantagonizować wszystkich, zajmując całe centrum. Jego postawa to jak się wydaje: „Po mnie choćby potop” – jak mówi politolog Jacques Rupnik.

Macron przetrwa przez cztery lata do końca kadencji – we Francji prezydent ma pozycję porównywalną do monarchy. Być może uda mu się jakoś sprawić, że kwestia emerytur przycichnie. Być może

***Dla wielu
demonstrantów samo
odwołanie reformy
emerytalnej to
stanowczo za mało.
Słychać nawet
wezwania do
królobójstwa:
„Najpierw Ludwik XVI.
Teraz Macron”***

nawet reforma zostanie odwołana, bo nadal możliwe jest narodowe referendum w tej sprawie. Ale nie ulega wątpliwości, że – jak to ujął jeden z bliskich współpracowników prezydenta – od tej pory „prezydent jest znacznie bardziej samotny, partia prezydencka znacznie słabsza, a jej możliwości zbudowania koalicji przy następnym głosowaniu znacznie mniejsze”. To było zwycięstwo pyrrusowe, za które zwycięzca zapłacił stanowczo zbyt wysoką cenę. „Politycznie druga kadencja Macrona jest skończona. Znajdujemy się w głębokim kryzysie. Jesteśmy świadkami nadużycia władzy. I to się zemści w ten czy inny sposób” – podkreśla politolog Philippe Moreau Chevolet.

Największe ryzyko dotyczy nie tego, co stanie się w najbliższych tygodniach czy

miesiącach, ale co będzie w 2027 roku, gdy odbędą się kolejne wybory prezydenckie. Macron nie ma następcy, a jego partia nie ma przed sobą żadnej przyszłości. Powstała tylko w jednym celu, aby jej założyciel zamieszkał w Pałacu Elizejskim.

Kryzys bardzo ożywił skrajną lewicę i skrajną prawicę. Szanse przejęcia władzy w 2027 r. przez skrajną lewicę są na razie niewielkie. Partia Mélenchona używa w czasie tego kryzysu tak skrajnego języka, że zraziła do siebie absolutną większość Francuzów – nic nie odstrasza bardziej niż chaos. Co innego Marine Le Pen: gdy deputowani partii Mélenchona nazywali rządowych ministrów „mordercami”, udzieliła im nauczki: „W polityce mamy przeciwników. Złe zachowanie to żadna strategia”.

Od ostatniej porażki Le Pen zrobiła jeszcze więcej wysiłków, aby Francuzi ujrzyli w niej godnego szacunku polityka i zapomnieli o „brunatnych” korzeniach jej partii. I to się może bardzo opłacić. Żadna partia nie zyskała na tym kryzysie tyle co radykalna prawica. I nigdy szanse Le Pen na prezydenturę nie były równie duże co dzisiaj. „Dzisiejszy kryzys sprawia, że pozycja Rassemblement National jest bardzo wygodna. Nie muszą nic specjalnego robić. Wystarczy czekać i zebrać owoce tego konfliktu” – podkreśla politolog Bruno Palier. Le Pen jest w bardzo wygodnej pozycji również dlatego, że jest anty-Macronem. Nie potrafiła z nim wygrać, ale za cztery lata już go nie będzie. „Jeśli Francuzi zechcą dokonać zemsty na prezydencie, klasie politycznej, elitach, Marine Le Pen ma wszelkie szanse na zwycięstwo” – mówi Jérôme Jarre, który od dziesięcioleci bada francuską opinię publiczną.

Jest niestety możliwe, że Francja znalazła się na historycznym zakręcie. I czeka ją skok w polityczną próżnię, którego skutki będą katastrofalne. „Macron jest być może ostatnim demokratycznym prezydentem Francji” – ostrzegł niedawno jeden z ministrów. Le Pen jest podobnego zdania: „Po Macronie będziemy my”. **N**

maciej.nowicki@newsweek.pl



GRAŻYNA AUNDO-AKAA CAŁY CZAS
BYŁAM PRZYTOMNA, MÓJ
MÓZG WYŁĄCZYŁ TYLKO
ROZUMIENIE
ANGIELSKIEGO
I ROSYJSKIEGO. ŚWIADOMIE
NIE PATRZYŁAM NA NOGI



WOLONTARIUSZE W BACHMUCIE

Pytania o sens

Nadal szukam odpowiedzi na pytanie o sens tego, co się wydarzyło. **Dlaczego rosyjski pocisk mózdzierzowy urwał mi prawą nogę, a lewą poważnie uszkodził? Dlaczego to spotkało właśnie mnie i do czego to może się przydać innym?**

TEKST ELŻBIETA TURLEJ ZDJĘCIA BARTOSZ SIEDLIK

Spotkałyśmy się w kawiarni w Krzeszowicach. Cztery miesiące po stracie nogi na wojnie w Ukrainie Grażyna Aondo-Akaa uczy się chodzić. Na razie z balkonikiem i o kuli, przed nią nauka chodzenia na protezie. Oto jej opowieść.

– Życie to ciąg pytań i szukanie odpowiedzi. Ja zaczynałam od pytań, jak patrzeć na ludzi z niepełnosprawnościami. To, że stan ciała nie definiuje człowieka, zrozumiałam w gimnazjum w Krzeszowicach. Działałam wtedy w oazie, gdzie spotkałam Martę. Była ode mnie o sześć lat starsza, pisała wiersze, miała niesamowite poczucie humoru. I porażenie mózgowie. Trzymała mnie w pionie. Kiedy – jak tysiące nastolatek – myślałam, że nikt mnie nie kocha i nikomu nie jestem potrzebna, powtarzała: – Ja cię potrzebuję. Ja cię Kocham. Dzięki niej trafiłam do działającej przy naszej parafii wspólnoty osób z niepełnosprawnością intelektualną i ich rodziców. Zrozumiałam tam, że osoby z niepełnosprawnością nie potrzebują opieki, ale bycia razem. Nie chcą, żeby coś dla nich organizować, ale żeby robić coś wspólnie. Dzięki nim zdecydowałam się na studia z pedagogiki specjalnej na krakowskim Uniwersytecie Pedagogicznym. I zrobiłam specjalizację z pracy z osobami z niepełnosprawnością intelektualną, a potem wczesnego wspomagania rozwoju dziecka.

Czego dowiedziałam się podczas studiów? Tego, że my, specjaliści, nie jeste-

śmy od tego, żeby komuś układać życie. Jesteśmy po to, żeby podpowiedzieć, z czego można skorzystać, ale to człowiek ma podjąć decyzję. Nasza rola kończy się tam, gdzie zaczyna ludzkie „tak” albo „nie”.

CZŁOWIEK, NIE STATYSTYKA

PODZAS STUDIÓW, RÓWNIEŻ DZIĘKI MARCIE, POZNAŁAM KRAKOWSKĄ KLICKĘ, czyli Katolickie Stowarzyszenie Osób Niepełnosprawnych i Ich Przyjaciół. Hasło Klicki brzmi: „Wyciągnąć ludzi z domu”. Wyciągaliśmy więc z domów ludzi na wózkach. Zaliczaliśmy z nimi długie wycieczki: do Ojcowa, Trzebini, szlakiem wszystkich krakowskich kopców. Wyjechaliśmy dwa razy na pielgrzymkę do Camino de Santiago. Wymyśliliśmy też i zaczęliśmy zbierać pieniądze na budowę domu dla osób z niepełnosprawnością. Mieli tam zamieszkać skazani na domy pomocy społecznej – instytucje totalne, w których ludzie mogą tylko pomarzyć o wolności. Stereotypowo DPS-y to schronienie dla niepełnosprawnych, ale prawda jest taka, że ich mieszkańcy – wszyscy sprowadzeni do jednego mianownika – cierpią. Nie dziwię się nikomu, kto w takich warunkach ćpa albo pije. W inny sposób nie poradzi sobie z bólem istnienia.

Gdzie w takim razie jest sensowna pomoc?

W małych domach, takich jak ten, na który zbieramy pieniądze, w mieszkaniach wspomaganych. Wszędzie tam,

gdzie człowiek to nie statystyka, ale ktoś kochany i rozumiany.

Miłość procentuje, pomaga rozwijać skrzydła, np. zgłosić się na odwyk, pogadać z psychologiem, zacząć terapię.

Wierzyłam, że moje doświadczenia mogą się komuś przydać, dlatego zostałam na uczelni. Przez osiem lat miałam zajęcia ze studentami. Napisałam pracę doktorską o samostanowieniu osób z niepełnosprawnością ruchową – szukałam czynników psychologicznych, które sprawiają, że osoby z niepełnosprawnością biorą odpowiedzialność za swoje życie. Pracę obroniłam cztery dni po wybuchu wojny.

**UWIEZIENI NA WYSOKICH PIĘTRACH
O CZYM POMYŚLAŁAM** NA WIADOMOŚĆ o inwazji Rosjan na Ukrainę?

To były pytania: co z osobami z niepełnosprawnością? Czy znajdzie się ktoś, kto – kiedy zacnie się ostrzał – zaciągnie ich wózek do schronu? Jak poradzą sobie bliscy chorych podpiętych pod respirator? Co z nimi będzie, kiedy zabraknie prądu? Czy niechodzący, uwięzieni na wysokich piętrach blokowisk, są skazani na pewną śmierć? Co mogę dla nich zrobić? Podobne pytania zadawali sobie przyjaciele z Kliki. Zaczęliśmy działać. Najpierw założyliśmy punkt koordynacyjny: szukaliśmy cewników, worków do stomii, sprzętu rehabilitacyjnego, organizowaliśmy operacje.

Szybko doszliśmy do wniosku, że to za mało.

Pierwszy do Ukrainy, do Charkowa, wyjechał nasz wolontariusz Kamil. Wtedy jeszcze się nie znaleźliśmy. Rozmawialiśmy ledwie kilka minut. Kamil organizował ewakuacje. Cały czas mam przed oczami przywiezioną przez niego kobietę, która ostrzał Żytomierza przesiedziała na jednym łóżku z córką w śpiączce. Nie chciała jej zostawić i schodzić do schronu. Nigdy nie zapomnę też Bogdana, mężczyzny po urazie rdzenia kręgowego poruszającego się na wózku. Dzięki Kamilowi trafił do Polski razem z żoną i kilkuletnią córką. Przejmująco mówił o tym, że to żona i córka powinny wyjechać, a on – jako mężczyzna – zostać w Ukrainie. Wiedziałam, że pojedę do Ukrainy, ale początkowo działałam zdalnie, m.in. pod-

syłałam Kamilowi adresy miejsc, gdzie potrzebna jest pomoc. Tak trafił do domu pomocy społecznej, z którego wyjechała cała kadra, zostawiając kilkunastu starych mężczyzn. Okazało się, że wprowadzili się tam narkomani, którzy gotowali dla pensjonariuszy. Nie wiadomo, z jakich przyczyn zdecydowali się zostać, grunt, że nie zostawili tych ludzi samych. Wierzę, że pomagając innym, znaleźli

”

*Przez cały czas zadaję
sobie pytania: gdzie jest
Bóg, kiedy giną
na froncie ojcowie
małych dzieci? Kiedy
lecą rakiety na blok
mieszkalny albo
centrum
rehabilitacyjne,
w którym giną dzieci
z zespołem Downa?*

GRAŻYNA AONDO-AKAA

sens i nadzieję w bezsensie wojny. Kiedy jechałam do Ukrainy, chciałam odnaleźć to samo.

Początkowo wyjechałam na miesiąc. Na urlop. Po tym, co zobaczyłam, przekładanie papierów na biurku nie ma najmniejszego sensu. Co zobaczyłam? Ludzi, którzy na ulicach wyrwali sobie jedzenie z rąk. Ludzi z niepełnosprawnością uwięzionych na 16. piętrze, pozbawionych – po zbombardowaniu sieci – dostępu do wody pitnej. Nosiliśmy im tę wodę i w realny sposób ratowaliśmy życie. Widziałam obłożnie chorych, leżących, którzy nie mieli szansy, żeby zejść do schronu. Bliscy ustalili ich łóżka tak, żeby z dwóch stron były otoczone ścianami. Łudzili się, że w ten

sposób uratują ich przed ostrzałem rakietowym. Ale największe wrażenie zrobiła na mnie zbombardowana szkoła w jednej z najbardziej zniszczonych i wyludnionych dzielnic Charkowa – północnej Sali-tówce. W jej podziemiach mieszkali ludzie, którzy mieli poważne problemy psychiczne. Nie wiem, jak to się stało, że tam trafili. Siedzieli od pół roku stłoczeni, bez leków, bez kontaktu z ludźmi. Nad nimi, w zrujnowanej sali, wisiały fragmenty wystawy z hasłem „Nigdy więcej wojny”. Niedługo później widziałam zrzuconą na pobliską wioskę bombę fosforową. Z daleka przypominała fajerwerki.

Czy się bałam? Strach powoduje, że zachowujemy się bardziej racjonalnie, mamy mocniej wyostrzone zmysły. Bałam się, ale wiedziałam, że wrócę. I nigdy wcześniej nie czułam takiego spokoju i przekonania, że będę tam, gdzie powinnam być.

CHOINKA DLA ZOI

WZIEŁAM ROCZNY, BEZPŁATNY URLOP Z UCZELNI. Dołączyłam do Kamila. Zamieszkaliśmy w Charkowie. Rozwoziliśmy gorące posiłki w dwóch osiedlach, ale przede wszystkim spotykaliśmy się z ludźmi. Z boku może nie wyglądało to na poważną pracę humanitarną: wchodziliśmy do piwnic, rozmawialiśmy, żartowaliśmy. Czasem wypiliśmy z kimś wino, wyszliśmy na spacer, zawieźliśmy do lekarza. Interesowali nas ci ludzie i chcieliśmy, żeby wiedzieli, że dla nas nie są anonimowi.

Z czasem zaczęliśmy wyruszać poza Charków. Znajomy ksiądz zaprosił nas pod Winnicę, gdzie prowadził przedszkole dla dzieci z autyzmem. W Hajsynie pod Odessą spotkaliśmy rodzinę Nikity, 6-lataka z porażeniem mózgowym. Nikita był leżący, nie mówił. W ciągu miesiąca zorganizowaliśmy mu sprzęt rehabilitacyjny: pionizator i siedzisko. Kiedy po raz pierwszy w życiu usiadł, było widać w jego oczach zmianę. Dosłownie, jakby po neuronach w jego mózgu płynął prąd.

A potem po raz pierwszy ruszyliśmy do Bachmutu. Na pierwszą linię frontu. Byliśmy tam dwa dni, nocowaliśmy kawałek dalej. Pierwszy raz w życiu widziałam niebo przecinane płonącym ogniem w dzień i w nocy, drony latające nad głową i w tym



wszystkim dzieci, które podczas ostrzału artyleryjskiego chodziły po ulicach. Nigdy nie zapomnę oczu chłopca, który w takich warunkach szedł po węgiel. W tych oczach była pustka. W listopadzie i grudniu byliśmy trzy razy w Bachmucie. Woziłyśmy paczki z jedzeniem do tzw. Centrum Wolontariackiego. Ale cały czas nie opuszczaliśmy naszych ludzi w Charkowie. W czasie Bożego Narodzenia ubraliśmy 60-letnią Marynię i jej mamie, 92-letnią Zoi, choinkę. Zoja jest leżąca, Maryna ma reumatoidalne zapalenie stawów. To była ich pierwsza choinka od ośmiu lat.

SZARE NIEBO

WIEDZIELIŚMY, ŻE NA PRAWOSŁAWNE ŚWIĘTA pojedziemy do Bachmutu. Chcieliśmy w tamtą ciemność zawieźć promień światła. Chcieliśmy, żeby ludzie wiedzieli, że świat o nich nie zapomniał. Kupiliśmy 25 kg mandarynek, ugotowaliśmy gar kutii, wzięliśmy 500 bochenków chleba. Mieliśmy to zawieźć do trzech tzw. punktów niezłomności, do których cywile mogą przyjść, rozgrzać się, zjeść coś ciepłego. Mapę dojazdu znaleźliśmy na pamięć.

W pierwszym punkcie niezłomności spotkaliśmy ludzi z niepełnosprawnością intelektualną, demencją. Wyszli ze swoich piwnic, żeby zdobyć coś do jedzenia. Byli kompletnie bezradni, bierni, stracili poczucie sensu dalszego życia. Może i byli uzależnieni od pomocy humanitarnej, ale co innego mogliśmy im zaproponować?

To było kilometr od linii frontu. Kolejny punkt był oddalony od niej o sto metrów. Dojechaliśmy tam, podszedł do nas wolontariusz. Powiedzieliśmy, że mamy jedzenie, zapytaliśmy, co im zostawić. Kamil wszedł do auta. I wtedy pocisk moździerzowy uderzył 30 metrów od nas w blok mieszkalny. Odłamki poleciały w naszym kierunku. Jeden z nich od razu uciął mi prawą nogę. Kolejne poraniły lewą. Jeden przeszedł na wylot przez udo.

Po ludzku nie miałam prawa tego przeżyć. Urwało mi nogę, a to jest taki krwotok, że jeśli nie zahamuje się go w ciągu dwóch minut, to człowiek umiera. Na szczęście mieliśmy dobrze zaopatrzone apteczki i Kamil błyskawicznie założył mi opaski uciskowe. Na szczęście znalazł się jakiś człowiek – do dziś nie wiem, kto

to był – który pobiegł szukać ukraińskich żołnierzy. Medycy wojskowi dojechali do nas po 40 minutach.

Cały ten czas byłam przytomna, mój mózg wyłączył tylko rozumienie angielskiego i rosyjskiego. Świadome nie parzyłam na nogi. Nie chciałam widzieć krwi, mięsa. W swojej pracy naukowej zajmowałam się psychologicznym przystosowaniem do nabytej niepełnosprawności i wiedziałam, że te drastyczne obrazy będą wracać do mnie w tzw. flashbackach, czyli traumatycznych obrazach. Wolałam patrzeć w szare niebo.

”

Boli codziennie, ale nie chcę rozpamiętywać tego, co mi się stało. Teraz muszę zrobić wszystko, żeby wrócić do Ukrainy. Jestem tam potrzebna

GRAŻYNA AONDO-AKAA

BÓG

POWTARZAŁAM KAMIŁOWI NUMER TELEFONU mojej siostry. Miał nauczyć się go na pamięć i zadzwonić. Nie chciałam, żeby rodzina dowiedziała się o moim wypadku z internetu.

Gdy żołnierze przynosili mnie do samochodu, spojrzałam jednak na nogi. Stopa była wygięta pod dziwnym kątem. Potem dowiedziałam się, że była już odrwana i stała na kocu. Zapytałam Kamila, czy obetną mi nogę. Odpowiedział: Tak. Dzięki temu wiedziałam, co się ze mną będzie działo. Gdybym dowiedziała się o tym w szpitalu, nie wiem, jak bym to przeszła. A tak byłam przygotowana.

Nogę amputowali mi w szpitalu w Pałowodzie, skąd zostałam przewieziona


do Polski, do szpitala w Lublinie, a potem do Krakowa. Kamil był ze mną przez pierwszy miesiąc, potem wrócił do Charkowa. To naturalne – przecież ludzie tam na niego czekają.

Odzwyczajają się do mnie. Piszemy ze sobą na Facebooku. Wysyłam im zdjęcia, filmiki, że wyszłam już ze szpitala, że wstaję, zaczynam rehabilitację, uczę się chodzić z balkonikiem. Wiem, że dla nich jest ważne, że nie utknęłam w łóżku. To daje im siłę, motywację do tego, żeby przetrwać.

Czy wojna i to, co się ze mną stało, zachwiało moją wiarą w Boga? Przez cały czas zadaję sobie pytania: gdzie jest Bóg, kiedy giną na froncie ojcowie małych dzieci? Gdzie jest Bóg, kiedy lecą rakiety na blok mieszkalny albo centrum rehabilitacyjne, w którym giną dzieci z zespołem Downa? Nie rozumiem koncepcji wolnej woli, bo jeśli Bóg jest wszechmogący, czy nie powinien powstrzymać wolności zabijania drugiego człowieka? Nie znam odpowiedzi na te pytania i wiem, że z podobnymi pytaniami mierzą się wszyscy, którzy tam zostali. Dlatego dziś najbliższa jest mi filozofia Viktora Frankla, psychiatry i więźnia obozów koncentracyjnych, autora książki „Człowiek w poszukiwaniu sensu”. Frankl szukał tego, co powoduje, że w najgorszym piekle człowiek pozostaje człowiekiem i doszedł do wniosku, że każdy powinien odnaleźć indywidualny sens i nadzieję w świecie.

Jaki sens dla mnie miał wyjazd do Ukrainy? Przywracanie ludziom nadziei. Spowodowanie, że w ludzkich oczach w miejsce pustki pojawia się błysk. Jaki jest w takim razie sens mojego wypadku? Wciąż się z tym mierzę. Na pewno w jakiś sposób to buduje moją siłę, bo gdyby ktoś powiedział, że jestem w stanie przejść przez taki ogrom bólu, nie uwierzyłabym. Do tej pory tylko w teorii wiedziałam, że ból towarzyszy osobom z niepełnosprawnością przez całe życie. Teraz wiem o tym z autopsji i przyzwyczajam się do niego. Boli codziennie, ale nie chcę pograć się w smutku i rozpamiętywać tego, co mi się stało. Teraz muszę zrobić wszystko, żeby wrócić do Ukrainy. Jestem tam potrzebna. To ma sens. **N**

elzbieta.turlej@newsweek.pl

A close-up photograph of a man and a woman kissing their newborn baby. The man, on the left, has a beard and is wearing a teal t-shirt. The woman, on the right, is wearing a white striped shirt. They are both smiling and looking at the baby. The background is softly blurred, showing what appears to be a hospital or clinic setting.

ZROZUMIEĆ NIEPŁODNOŚĆ

Gry z zarodkami

Dzięki nowej metodzie para mężczyzn będzie mogła mieć biologiczne potomstwo. Zdaniem jej twórców stanie się to już za dziesięć lat, ale manipulacje komórkami budzą wielkie kontrowersje

TEKST DOROTA ROMANOWSKA



Nie mają biologicznej mamy, ale mają dwóch ojców. Takie właśnie myszy przyszły na świat w laboratorium dr. Katsuhiko Hayashiego z uniwersytetu w Osace. Naukowcy pobrali komórki macierzyste ze skóry mysich samców i przeprogramowali je tak, że zamieniły się w indukowane pluripotencjalne komórki macierzyste, czyli takie, które mogą przekształcić się w dowolny inny typ komórek. Te nowe komórki zaczęły się dzielić, a naukowcy czekali tak długo, aż niektóre z nich spontanicznie utraciły chromosom Y. Bo podobnie jak u ludzi komórki samców myszy zawierają jeden chromosom X i jeden chromosom Y.

Potem przy użyciu specjalnej substancji uczeni sprawili, że w niektórych komórkach doszło do powielenia chromosomu X. Takie komórki przekształcili w niedojrzałe komórki jajowe i zapłodnili je plemnikami. Zarodki umieścili w macicy myszy surogatki. Na świat przyszły, wydaje się, zdrowe i płodne myszy, mające dwóch biologicznych ojców. Szczegóły eksperymentu naukowcy opisali na łamach „Nature”.

Dr Katsuhiko Hayashi, główny autor tego doświadczenia, uważa, że w przyszłości dzięki tej procedurze para mężczyzn będzie mogła mieć biologiczne potomstwo. – Ale do tego jeszcze bardzo, bardzo daleka droga – uważa prof. Krzysztof Łukaszyk z Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego. Katsuhiko Hayashi w 2016 r.

FOT. DRAZEN_/E+/GETTY IMAGES



wyhodował zarodek z komórek macierzystych. Na świat przyszła mysz, która miała dwie biologiczne matki. – Najwyraźniej Katsuhiko Hayashi chciał pokazać światu coś nowego, pójść krok dalej w swoich badaniach – uważa prof. Łukaszuk i zwraca uwagę, że potrzeba jeszcze wielu badań, aby ustalić, czy technologia, którą opracował japoński uczonec, będzie bezpieczna u ludzi.

Nawet jeśli okaże się, że technikę tę można zastosować u ludzi, to naukowcy będą musieli poprawić jej wydajność – zwiększyć liczbę zarodków zdolnych do rozwoju. Wyhodowali ich bowiem aż 630, ale tylko siedem się przyjęło. – U kobiet w wyniku stymulacji można uzyskać ok. 20 komórek jajowych. Z badań klinicznych wiemy jednak, że nie liczba komórek jajowych jest ważna, ale liczba blastocyst, które z nich się rozwijają – mówi prof. Łukaszuk. Okazuje się, że kiedy w wyniku stymulacji u pacjentki powstanie pięć komórek jajowych, to zazwyczaj uzyskuje się z nich dwie wysokiej jakości blastocysty. Ale są kobiety, u których w wyniku stymulacji powstaje 20 komórek jajowych, a mimo tak dużej ich liczby uzyskuje się zaledwie trzy blastocysty. Blastocysty to zarodki w piątym dniu rozwoju, które są gotowe do implantacji w macicy w ramach procedury in vitro.

Katsuhiko Hayashi jest jednak optymistą. Uważa, że u ludzi tworzenie komórek jajowych z męskich komórek będzie możliwe nawet za 10 lat, a dzięki tej technice nie tylko pary dwóch mężczyzn będą mogły mieć biologiczne dzieci – jego metoda ma także pomóc kobietom dotkniętym niepłodnością spowodowaną chorobami chromosomów płciowych, takimi jak zespół Turnera, w którym kobietom brakuje części lub całości jednego z chromosomów X.

– Wątpię, aby ta metoda była przydatna w leczeniu niepłodności. Naukowcy pobrali komórki macierzyste i hodowali je miesiącami, czekając, aż w jednej z nich nastąpi błąd, który spowoduje, że chromosomy X się powielą. Jeśli w jednej komórce będą dwa identyczne chromosomy, w których wystąpią mutacje powodujące choroby genetyczne, to te

choroby ujawnią się u tak powstałych dzieci – tłumaczy prof. Łukaszuk.

SZTUCZNE ZARODKI

PRACE NAD STWORZENIEM Z KOMÓREK MACIERZYSTYCH PLEMNIKÓW I KOMÓREK JAJOWYCH trwają już od lat. Z tak powstałych komórek rozrodczych rozwinęły się zarodki i urodziły zdrowe myszy, które są płodne. – Zespół, z którym współpracuję, wraz z naukowcami z Instytutu Rozrodu Zwierząt i Badań Żywności Polskiej Akademii Nauk w Olsztynie pod kierunkiem prof. Izabeli Woźniak-Potockiej prowadzi podobne badania. Hodowane są

Udało się już stworzyć sztuczne zarodki z ludzkich komórek macierzystych. Jednak defekty uniemożliwiły ich rozwój

blastocysty, czyli zarodki w piątym dniu rozwoju, z komórek chrząstki ucha wyciętych od krowy. Jeśli wszystko zadziała, to w ciągu kilku lat będzie możliwe wyprodukowanie nieograniczonej liczby zarodków krowich. Dzięki temu hodowcy będą mogli hodować zwierzęta o określonych cechach, np. dających mleko wysokobiałkowe lub zawierające mniej alergizujące białko. Tradycyjną metodą rozmnażania wyhodowanie takiego stada zajęłoby kilkadziesiąt lat – tłumaczy prof. Łukaszuk.

U ludzi także udało się stworzyć zarodki z komórek macierzystych. Dokonały tego dwa zespoły naukowców: jeden z University of Cambridge i California Institute of Technology, a drugi z Instytutu Weizmana. Do wyhodowania sztucznych zarodków wykorzystano komórki macierzyste, które zaczęły tworzyć strukturę przypominającą zarodek. W zarodku wykształciły się przewód pokarmowy, bijące serce oraz zaczątki mózgu. Po ośmiu dniach powstały w nim jednak defekty, które uniemożliwiły dal-

szy jego rozwój. Zdaniem naukowców w ten sposób w przyszłości można będzie uzyskiwać ludzkie narządy do przeszczepów, a sam eksperyment pozwoli zrozumieć, dlaczego dochodzi do zaburzeń rozwojowych zarodków. Może to pomóc w leczeniu niepłodności.

ETYKA I NAUKA

BADANIA LUDZKICH ZARODKÓW BUDZĄ OGROMNE KONTROWERSJE ETYCZNE. Dlatego w Europie i Ameryce Północnej są one dozwolone tylko do 14. dnia życia zarodka. W Azji naukowcy mają dużo większą swobodę w przeprowadzaniu tego typu eksperymentów. W 2018 roku He Jiankui z Południowochińskiego Uniwersytetu Nauki i Technologii w Shenzhen dokonał edycji genów dwójki dzieci. W genomie bliźniaczek, jeszcze na etapie ich życia zarodkowego, usunął fragment genu CCR5, który pozwala wirusowi HIV na wtargnięcie do ludzkich komórek. Miało to uodpornić dziewczynki na zarażenie HIV i tym samym ochronić je przed AIDS.

He Jiankui zastosował technikę edycji genów CRISPR/Cas9, choć większość naukowców uważała, że metoda ta jest jeszcze niedopracowana i na tym etapie badań nie powinno się jej stosować u ludzi. Genetycy nazwali jego eksperyment „nieprzyzwoitym, którego nie da się obronić ani moralnie, ani etycznie”. Naukowców zaniepokoił także wybór genu CCR5, i to z dwóch powodów. Po pierwsze, wiadomo, że osoby pozbawione tego genu są bardziej niż pozostałe narażone na inne choroby wirusowe, np. zarażenie wirusem zachodniego Nilu. – A po drugie AIDS nie jest chorobą, w przypadku której należałoby modyfikować geny. Są przecież dostępne skuteczne leki powstrzymujące namnażanie HIV – tłumaczyła mi wtedy prof. Ewa Bartnik z Instytutu Genetyki i Biotechnologii Wydziału Biologii UW.

Zastrzeżenia wobec He Jiankui były na tyle poważne, że w 2019 r. chińskie władze skazały go na trzy lata więzienia za nielegalne praktyki medyczne. W kwietniu ubiegłego roku uczonec wyszedł na wolność, a ponad miesiąc temu w mediach społecznościowych ogłosił, że za-



Myszy urodzone z wygenerowanych komórek macierzystych plemników i komórek jajowych, Osaka, Japonia, wrzesień 2021 r.

mierza kontynuować pracę, aby „w ciągu dwóch lub trzech lat przezwyciężyć trzy do pięciu chorób genetycznych”. Jedną z nich ma być dystrofia mięśniowa Duchenne’a, która powoduje postępującą i nieodwracalny zanik mięśni.

Liberalne prawo dotyczące eksperymentowania na ludzkich zarodkach obowiązuje w Meksyku. Z tego powodu dr John Zhang z New Hope Fertility Center w Nowym Jorku przeprowadził w tym kraju nietypowy zabieg zapłodnienia in vitro. Z komórki jajowej przyszłej mamy uczony usunął wadliwe mitochondria i zastąpił je materiałem genetycznym pobranym z komórki jajowej dawczyni. Tak przygotowaną komórkę zapłodnił nasieniem przyszłego ojca. W 2016 r. urodziło się pierwsze dziecko trojga rodziców.

Chłopiec ma materiał genetyczny ojca i dwóch kobiet. Urodził się w Meksyku, a jego rodzice pochodzą z Jordanii i od prawie 20 lat starali się o dziecko. Kobieta urodziła co prawda wcześniej dwoje dzieci – dziewczynkę i chłopca – ale zmarły niedługo po przyjściu na świat. Okazało się, że dzieci chorowały na rzadką genetyczną chorobę, tzw. zespół Leigha, która niszczy układ nerwowy, mięśnie, serce, wątrobę i nerki. Wadliwy gen dzieci dostały od mamy, a znajdował się on w jądrze mitochondriów.

Genów w mitochondriach jest co prawda tylko 37 (w jądrze ponad 20 tys.), ale ulegają one mutacjom, które zdarzają się o wiele częściej niż w genach jądrowych. Zapewne dzieje się tak dlatego, że w mitochondrium nie ma systemów naprawczych, takich jak te znajdujące się w jądrze. Mutacje te powodują cho-

roby dziedziczne, które niszczą przede wszystkim komórki mięśniowe lub nerwowe. Wadliwego DNA naprawić się nie da. Można jednak wymienić mitochondrium. Zawiera ono geny, które biorą udział w procesach oddychania komórki i które nie wpływają na inteligencję, osobowość czy wygląd.


URODZENI ZABÓJCY

OBCENIE W WIODĄCYCH KLINIKACH LECZENIA NIEPŁODNOŚCI zaledwie połowa procedur in vitro kończy się sukcesem – kobieta zachodzi w ciążę i rodzi dziecko. Niepowodzenia biorą się między innymi stąd, że naukowcy wciąż zbyt mało wiedzą o rozwoju zarodka. Rozwiązaniu tych zagadek służą badania prowadzone m.in. przez zespół prof. Magdaleny Żernickiej-Goetz z University of Cambridge w Wielkiej Brytanii. W 2014 r. uczeni z jej grupy opracowali metodę hodowania zarodków mysich poza organizmem mamy. Dzięki temu mogą dokładnie analizować, jak rozwija się embriion zwierzęcia dzień po dniu w tym kluczowym momencie ciąży. Wcześniej mogli badać rozwój zarodków, ale tylko do czasu zagnieżdżenia się ich w ścianie macicy. To, co działo się potem, było wielką niewiadomą.

Dwa lata później naukowcy z University of Cambridge przeprowadzili badania, które pomagają odpowiedzieć, jak poza organizmem mamy przebiega rozwój ludzkiego zarodka. Wyhodowane embriiony żyły jednak tylko przez dwa tygodnie. Potem naukowcy musieli przerwać eksperyment, bo tak stanowi prawo.

Badania te pozwalają wyjaśnić, w jaki sposób powstają wady rozwojowe płodu i dlaczego zarodek obumiera. Z dotychczasowych analiz wynika bowiem, że z mniej niż połowy zapłodnionych komórek rozwija się dziecko. Większość zarodków ginie na tak wczesnym etapie, że nawet sama kobieta nie wie, że przez krótki czas (dwa, trzy tygodnie) była w ciąży. Przyczyną mogą być poważne wady genetyczne zarodka, które uniemożliwiają dalszy jego rozwój, albo nadmiar w macicy komórek układu odpornościowego zwanych NK (od ang. Natural Killer – urodzeni zabójcy), które uznają embriion za intruza i przystępują do jego niszczenia.

Zanim jednak wyniki tych badań zostaną wykorzystywane do leczenia niepłodności, naukowcy zastanawiają się, jak już dziś pomóc niepłodnym parom. Jako główny powód niepowodzenia in vitro wymieniają wiek kobiet. Z dotychczasowych danych wynika, że wśród kobiet 45+ tylko 1 proc. pacjentek zachodzi w ciążę i rodzi dziecko. – Wraz z wiekiem spada płodność, ale u każdego w innym stopniu. Dlatego uważam, że każda kobieta, która w wieku 30 lat jeszcze nie zdecydowała się na macierzyństwo, powinna zbadać poziom hormonu AMH. Jest to hormon, który pozwala wnioskować o tzw. rezerwie jajnikowej, czyli puli dostępnych komórek jajowych. Jeśli jego poziom jest niski, dana kobieta powinna się bardziej pośpieszyć z zajściem w ciążę – radzi prof. Łukaszuk, współtwórca aplikacji dla kobiet iYoni App, kalendarz płodności i ciąży.

Niepowodzenia procedury in vitro wynikają niekiedy z niewiedzy lekarzy. – Na przykład nie do końca dobrze wykonywana jest diagnostyka preimplantacyjna, która pozwala ocenić, czy zarodek rozwija się prawidłowo – mówi prof. Łukaszuk. Prawidłowe pobranie i przygotowanie materiału do badań preimplantacyjnych mogłoby już znacznie zwiększyć skuteczność in vitro. Na razie co prawda tylko u par kobiety i mężczyzny. 

dorota.romanowska@newsweek.pl



CZAS GODÓW

PRERIOKUR OSTROSTERNY

z rodziny kurowatych żyje na amerykańskiej prerii, od południowo-środkowej Kanady po zachodnio-środkowe Stany Zjednoczone, i należy do największych zalotników wśród ptaków. Każdej wiosny samce gromadzą się na tokowiskach i bębniącymi odgłosami wabią samice. Puszą się, trzepoczą skrzydłami i powietrzem wypełniają charakterystyczne worki gardłowe na piersiach. Dzięki temu wydają się większe, niż są w rzeczywistości. Kury przyglądają się tym pokazom i wybierają najbardziej atrakcyjne koguty. Zazwyczaj zwycięzców jest dwóch i tylko oni kopulują z samicami. Każdy z nich kryje po 75-80 proc. kur zgromadzonych na tokowisku. Po chwili przyjemności samice opuszczają tokowisko i szukają krzaku bylicy, pod którym w zagłębieniu w ziemi składają od sześciu do ośmiu jaj.

FOT. CHARLIE HAMILTON-JAMES/NATURE PICTURE LIBRARY/BE&W







STATYSTYCZNIE RZECZ UJMĄC

Rzut pięciozłotówką

Jaki współczynnik kłamstwa osiągnęła ostatnio TVP
i dlaczego więcej dzieci rodzi się w domach,
na których są gniazda bocianów?
– wyjaśnia **JANINA BĄK**, statystyczka,
autorka książek i bloga *Janina Daily*

ROZMAWIA KATARZYNA BURDA



NEWSWEEK: Czytając wczoraj twoją książkę, co chwila wybuchalam śmiechem. Zwłaszcza przy rozdziale „Jak to możliwe, że Trump wygrał, choć nikt na niego nie głosował?”. Ja zadawałam sobie analogiczne pytanie, patrząc na wyniki naszych wyborów.

JANINA BĄK: Dobrze przeprowadzony sondaż potrafi trafnie przewidzieć wyniki wyborów, ale badanie badaniu nierówne. Jeśli zapytamy o preferencje wyborcze na naszym profilu na Facebooku, to najpewniej z radością zanotujemy, że zdecydowana większość respondentów zgłasza tak jak my. Popelnimy jednak błąd doboru próby – grupa w naszej ankiecie nie jest reprezentatywna dla wszystkich Polaków uprawnionych do głosowania. Na tę niereprezentatywność wpływa m.in. zjawisko homofilii w sieciach społecznych, które polega na tym, że statystycznie częściej wchodzimy w relacje z ludźmi o wartościach i przekonaniach zbliżonych do naszych. Również politycznych. A błędny dobór próby to tylko jeden z wielu błędów, które mogą wypaczyć sondaże. Znaczenie może mieć to, czy był to sondaż telefoniczny, internetowy, czy osobisty, jakie odpowiedzi były do wyboru, liczba i kolejność pytań, a także jak je sformułowano. Jest różnica, czy pytamy, na kogo ktoś zgłasza, czy kogo popiera. **Do jakiego stopnia warto więc wierzyć sondażom?**

– Przeprowadzony prawidłowo jest bardzo wiarygodnym narzędziem, choć mamy przypadki, gdy sondaże znacznie odbiegały od rzeczywistych wyników. Na przykład przed II turą wyborów prezydenckich w 2005 roku niektóre znacząco zaniżały wynik Lecha Kaczyńskiego. Prawdopodobnie jego wyborcy częściej odmawiali udziału w badaniu niż wyborcy oponenta. Niewykluczone, że podobna sytuacja miała miejsce podczas kampanii Clinton vs Trump. Jego wyborcy mniej chętniej brali udział w sondażach, a oprócz tego nie zawsze szczerze dzielili się poglądami. Nadano temu zjawisku piękną nazwę „the shy Trump hypothesis”. Takie: „głosuję na ciebie, ale się tego wstydzę”.

Sondaże mogą zmienić decyzje wyborców?

– Tak. Istnieje na przykład efekt wielkości, który polega na tym, że bycie „liderem sondaży” pozytywnie wpływa na poparcie kandydata. Kiedy media zaczynają komunikować jakiś trend, opinia publiczna zaczyna za nim podążać. Mamy też efekt rozpędu, który polega na tym, że ludzie zaczynają głosować na partię, której poparcie – według sondażu – dynamicznie wzrasta. Sondaże nie tylko opisują rzeczywistość przedwyborczą, ale mogą ją również kształtować, więc tym bardziej trzeba zachować czujność przy analizowaniu wszelkich wyników i nie dać się zwieść manipulacjom.

”

Znacznie ważniejsze od komórek Excela są nasze szare komórki. To my musimy wiedzieć, czy to, co liczymy, ma sens

Manipulują nami nie tylko partie. Ostatnio na swoim blogu zdemaskowałaś manipulację TVP: wykres, na którym jej udział w rynku wydawał się dwukrotnie wyższy niż TVN.

– To był bardzo prosty i – niestety – bardzo powszechny sposób manipulacji za pomocą przeskalowania osi Y. Na tym wykresie wartości skali Y nie zaczynały się od 0, lecz od 7 proc. Dane wskazywały, że rynkowy udział TVP 2 wynosił 7,9 proc., a TVN – 7,4 proc. Różnica wynosiła więc zaledwie 0,5 pkt proc., niemniej przez to, że skala Y nie zaczynała się od zera, to na wykresie słupek TVP2 wydawał się dwa razy wyższy niż słupek konkurenta. Wystarczy więc zacząć skalę Y wykresu słupkowego od liczby wyższej niż zero, a wizualne proporcje między kategoriami natychmiast się zmieniają. Różnice zaczynają wyglądać na większe.

Dużo jest takich manipulacji danymi wokół nas?

– Coraz więcej i powiedziałabym, że są coraz bardziej beczelne. To, że wykresami można manipulować, wiemy od lat. Już w 1983 roku Edward Tufte, ekspert od wizualizacji danych, stworzył pojęcie „współczynnik kłamstwa”. To zależność między wielkością efektu pokazaną na wykresie a wielkością efektu wynikającą z danych. W przykładzie z oglądalnością TVP2 różnica według danych wynosiła pół punktu procentowego, a wykres sugerował aż cztery punkty. To bardzo wysoki współczynnik kłamstwa.

Pewnie to niejedyny sposób?

– Niedawno TVP popisała się też znajomością innej techniki manipulacji, polegającej na zmodyfikowaniu poziomej osi X. TVP na wykresie chciała pokazać wydatki na ochronę zdrowia jako odsetek PKB. Problem polegał na tym, że na osi czasu pominięto niektóre lata. Widzieliśmy więc słupek pokazujący wartości za lata 2014, 2015, 2016 i kolejny słupek, który wskazywał rok... 2020. Potem znów słupek dla roku 2021, dalej rok 2023, obok którego zaś od razu stanął słupek za rok 2027.

Dobieranie danych w taki sposób, aby zilustrować nasz punkt widzenia, z pominięciem tych, które mogą temu zaprzeczać, nazywa się „cherry picking”. Ta technika jest często stosowana w wykresach pokazujących domniemany brak ocieplenia klimatu, kiedy to do prezentowania zmian temperatur bierze się dane z bardzo krótkiego wycinku czasu, nierzadko jeszcze z wyjątkowo chłodnych lat. Faktycznie, często w tych krótkich okresach trudno zobaczyć coś niepokojącego, ale przecież wiemy, że ocieplenie klimatu jest procesem długotrwałym i trzeba wziąć pod uwagę wieloletni przedział czasowy.

Same liczby, bez kontekstu, nie powiedzą nam prawdy o świecie?

– Oczywiście, że nie. Spójrzmy na przykład na dane dotyczące powikłań poszczepiennych. Ruchy antyszczepionkowe często podają ogromne liczby powikłań. Ale pomijają kontekst! Na przykład do 30 listopada 2022 roku w Polsce odnotowano 18 759 negatywnych odczynów

poszczepiennych (NOP), wynikających ze szczepień na COVID-19. To jest prawdziwa informacja, niemniej warto dodać do niej kontekst. To 18 759 powikłań na 57 651 749 wykonanych szczepień, co stanowi 0,032 proc. zaszczepionych. Należy też mieć w pamięci, że w tej klasyfikacji za NOP uważa się również łagodne skutki uboczne typu pokrzywka czy osłabienie. Dodanie obu tych informacji do tej surowej liczby daje trochę inny obraz sytuacji. **Naukowcom również zdarza się wysnuć błędne wnioski na podstawie prawdziwych danych statystycznych?**

– Wszystkim nam zdarza się popełniać błędy wnioskowania, zwłaszcza że zależności w realnym świecie bywają nieoczywiste i skomplikowane. Na przykład pewne duńskie badanie wykazało, że w domach z bocianami gniazdami na dachach... rodzi się więcej dzieci. Od razu uspokajam edukatorów seksualnych: to nie oznacza, że bociany przynoszą dzieci! Znaczenie zarówno dla liczby bocianów na dachach, jak i liczby dzieci ma po prostu środowisko wiejskie. To na wsiach częściej są bociany na dachu i częściej też zdarzają się rodziny wielodzietne. Przykładów takich dziwnych zależności jest zresztą całe mnóstwo. Na przykład istnieje silna, pozytywna korelacja między liczbą sprzedanych lodów a liczbą utonięć. Rozwiązaniem tej zagadki jest pora roku. Kiedy nadchodzi lato i ładna pogoda, to chętniej kupujemy lody i częściej wchodzimy do wody, niestety czasem się topiąc.

Które z praw statystyki sprawia ludziom najczęściej problemów?

– Mamy sporo problemów z intuicyjnym rozumieniem prawdopodobieństwa. Wyobraź sobie, że rzucasz pięcioczkotówką w dwóch seriach po pięć. W pierwszej wypadła nam trzy razy orzeł i dwa razy reszka. W drugiej – pięć razy orzeł. Która z tych opcji jest bardziej prawdopodobna? Matematycznie obie serie składają się z pięciu zdarzeń niezależnych – w tym przypadku rzutów monetą, a każda z opcji w tych zdarzeniach jest tak samo prawdopodobna. Mówiąc najprościej: masz 50 proc. szans na to, że wyrzucisz orła lub reszkę – oczywiście, jeśli moneta nie jest w żaden sposób sfałszowana. To, że



WIĘCEJ O ZASKAKUJĄCYCH MEANDRACH STATYSTYKI MOŻNA PRZECZYTAĆ W KSIĄŻCE JANINY BĄK „STATYSTYCZNIE RZECZ BIORĄC 2, CZYLI JAK ZMIERZYĆ SIŁĘ TORNADA ZA POMOCĄ GOFRA”
PREMIERA 26 KWIEŚNIA

zdarzenia są niezależne, oznacza zaś, że nie są w żaden sposób ze sobą powiązane – czyli taka moneta rzadko kiedy myśli sobie, że „a, cztery razy wypadłam na orle, to teraz obróć się jak krokiet na patelni i wypadnie reszka”. A jednak wielu ludzi intuicyjnie czuje jakiś niepokój przy patrzeniu na tę drugą serię, kiedy to pięciokrotnie wypadł orzeł, tak ich jakby swędzą synapsy, i sporo osób uznaje wtedy, że jednak pierwsza opcja, ta bardziej zróżnicowana, jest bardziej prawdopodobna. Ten błąd poznawczy nazywa się paradoksem hazardzisty.

Co z niego wynika?

– Z pewnością wysokie zarobki kasyn! Paradoks hazardzisty zwany jest również złudzeniem Monte Carlo, od bardzo konkretnego zdarzenia, kiedy to w 1913 roku w kasynie Monte Carlo w ruletce kolor czarny wypadł 26 razy z rzędu. Łatwo się domyślić, że w pewnym momencie większość graczy zaczęła obstawiać kolor czerwony, błędnie myśląc, że niemożliwe jest, by ta złośliwa kulka znów znalazła się na czarnym polu. No właśnie – błędnie, bo z tego, co nam wiadomo, to kulki mają dość ograniczoną świadomość, a to oznacza, że rzadko kiedy myślą sobie: „a, już tyle razy byłam na czarnym polu, że czas odwiedzić czerwone krainy”. To dokładnie takie samo myślenie jak na egzaminach, gdy akurat jesteśmy przygotowani dość bezobjawowo, więc rzucamy się na przypadkowe odpowiedzi jak kojot na nornicę i w pewnym momencie uznajemy, że

skoro cztery razy z rzędu zaznaczyliśmy odpowiedź „a”, to teraz na bank prawidłowa będzie inna odpowiedź.

Masz poczucie, że ludzie doceniają statystykę?

– Niemal zawsze, gdy mówię, czym się zajmuję, słyszę żart, że „wychodząc ze swoim psem na spacer, statystycznie mamy po trzy nogi”. Ten żart ma zdyskredytować sens statystyki, a tak naprawdę wynika z jej niezrozumienia. W pewnym momencie byłam tak zmęczona słuchaniem o tym psie, że w pierwszej książce pojawił się nawet cały rozdział, w którym tłumaczę, dlaczego to nie jest prawda. Od razu też powiem, że jak wsadzimy głowę do lodówki, a nogi do piekarnika, to nie będzie nam w sam raz, więc nie polecam próbować. Zawsze powtarzam, że programy statystyczne policzą nam wszystko, ale to my musimy wiedzieć, czy to, co liczymy, ma sens. Wszyscy kochamy komórki Excela, ale znacznie od nich ważniejsze są nasze szare komórki i to, żeby o tych danych i obliczeniach po prostu pomyśleć.

Ludzie statystyki nie doceniają, a ty poświęciłaś jej życie.

– Dość późno, bo najpierw studiowałam zupełnie inne rzeczy. Ale spotkałam promotora mojego licencjatu, który pokazał mi, jak fascynująca jest to dyscyplina i na jak wiele pytań może nam udzielić odpowiedzi. Zwłaszcza że jestem największą na świecie fanką serialu „Ojciec Mateusz”, obejrzałam wszystkie 29 sezonów, a statystyka ma dla mnie wiele wspólnego z pracą detektywa – gdy trzeba znaleźć jakieś zależności w danych lub wyjaśnić zagadkowe korelacje, jak z tymi lodami i utonięciami. Takie statystyczne zagadki sprawiają mi ogromną intelektualną frajdę. A statystykę kocham właśnie za to, że nie są to tylko suche matematyczne wzory i równania, ale też zestaw narzędzi, które pozwalają nam dojść do prawdy i lepiej zrozumieć świat. I to wiele różnych elementów świata – od szacowania długości życia chorych na daną chorobę, przez modelowanie migracji międzynarodowych, aż po przewidywanie wyników wyborów. **N**

katarzyna.burda@newsweek.pl

Travelling

Wrocław
przyciąga

Aktywny
urlop

Dolny Śląsk
poza
szlakiem





Wrocław ma do czego zaprosić

We Wrocławiu ruch turystyczny wraca do poziomu sprzed pandemii. Turyści, poza atrakcjami takimi jak zoo czy Hydropolis, chętnie zwiedzają także rynek i Ostrów Tumski. Do ponownych odwiedzin skłania ich natomiast unikalny klimat miasta

NEWSWEEK:

Przyjeżdża turysta do Wrocławia i...?

RADOSŁAW MICHALSKI, DYREKTOR
WYDZIAŁU PROMOCJI MIASTA I TURYSTYKI
URZĘDU MIEJSKIEGO WE WROCŁAWIU:

I zazwyczaj ma już plan na to, co chciałby robić. Oferta jest bogata i urozmaicona. Czasami do Wrocławia przyciągają go konferencje lub konkretne wydarzenia kulturalne, najczęściej jednak jest to chęć odwiedzenia oryginalnego miasta o bogatej historii, która pozostawiła swoje ślady choćby w architekturze.



PANORAMA Starego Miasta we Wrocławiu

Turyści wrócili po pandemii?

– To jedno z tych pytań, które pojawia się dzisiaj najczęściej w rozmowach o turystyce. Rok 2022 podsumowaliśmy badaniami podobnymi do tych, które Wrocław przeprowadził w roku 2018. Wówczas nasze miasto odwiedziło 5,3 mln turystów. Wiemy po danych Głównego Urzędu Statystycznego, że w 2019 roku i w dwóch pierwszych miesiącach roku 2020 odnotowaliśmy wzrost liczby noclegów udzielonych w samych tylko obiektach hotelarskich, co każe przypuszczać, że zwiększyła się liczba turystów w ogóle. W roku 2022 mieliśmy ich blisko 5,8 mln.

Czyli jednak wzrost?

– W liczbie osób odwiedzających Wrocław – tak, zmienił się jednak profil turysty. Wciąż jeszcze mniej osób korzysta z noclegów, odwiedzając miasto w ciągu jednego dnia. Niemniej i tu widzimy wzrosty z miesiąca na miesiąc, szczególnie w obiektach o wyższym standardzie. Kolejne inwestycje w pięciogwiazdkowe hotele pokazują, że także branża patrzy na turystykę optymistycznie. Pozostaje mieć nadzieję, że wzrostów nie zatrzyma kryzys finansowy.

A Wrocław ma ofertę dla turystów w czasach kryzysu?

– Oferty skrojone na każdy budżet istniały już wcześniej, ale w ostatnich latach jeszcze je rozwinęliśmy. Poza płatnymi atrakcjami – tak miejskimi, jak i prywatnymi – przypominamy o tym, że choćby i muzea mają dni bezpłatnego zwiedzania. Przygotowaliśmy specjalne spacerowe trasy krasnalowe, dzięki którym najmłodszy mogą nie tylko dobrze się bawić, ale też poznawać historię i architekturę



RADOSŁAW MICHALSKI,
dyrektor Wydziału Promocji Miasta i Turystyki
Urzędu Miejskiego we Wrocławiu

miasta. Opowiadają o niej właśnie najmniejsi obywatele Wrocławia, których jest już około 900.

Jak co roku zespół turystyczny przygotowuje ofertę bezpłatnych spacerów po Wrocławiu. Korzystają z niej nie tylko mieszkańcy – obejmuje różne grupy językowe. Stawiamy także na zorganizowane grupy szkolne – we Wrocławiu znajdują się skarby kultury. Myślę tu chociażby o oryginalne „Księgi Henrykowskiej” z pierwszym zdaniem zapisanym w języku polskim czy o rękopisie „Pana Tadeusza” w Muzeum Mickiewicza. Odnowiona „Panorama Raławicka” przez lata była magnesem przyciągającym turystów do Wrocławia, widzimy po frekwencji, że nie inaczej będzie teraz. Dzielnica Wzajemnego Szacunku, zawierająca w sobie synagogę i świątynie: katolicką, ewangelicką i prawosławną jest ciekawym kulturalnym adresem na mapie naszego miasta, ulokowanym zresztą blisko

Turystyka przynosi Wrocławowi korzyści?

– Tak. I to przynajmniej w trzech obszarach. Pierwszy jest niepolityczny. Mowa o wizerunku miasta budowanym długofalowo, realnie od 1990 roku i linii dobrych, myślących perspektywicznie prezydentów. Wrocław to gospodarz Euro 2012, Europejska Stolica Kultury 2016, organizator The World Games 2017. Między innymi te wydarzenia przełożyły się na tytuł European Best Destination w 2018 roku i nagrodę jednej z najlepszych destynacji TripAdvisor w roku 2021. Poprzez wieloletnią konsekwentną inwestycję w swoją markę, także dzięki aktywności podmiotów prywatnych, Wrocław stał się miastem rozpoznawalnym w wymiarze światowym. Ta rozpoznawalność poprzez turystykę przekłada się na inwestycje i nowe miejsca pracy, bo inwestorzy decydujący o lokowaniu swoich projektów wybierają znany już Wrocław i jego okolice.

Wedle badań turyści w roku 2022 wydali we Wrocławiu ok. 3,5 mld zł, korzystając z noclegów, odwiedzając restauracje, zwiedzając atrakcje czy kupując pamiątki

rynku. Z kolei koło Pergoli i Hali Stulecia, która zaprasza do swojego centrum poznawczego, i ogrodu zoologicznego ze znanym na całą Polskę Afrykarium, posiadamy urbanistyczną perełkę w postaci WuWy – pomnik wystawy architektonicznej z roku 1929, ciekawy także o tyle, że obiekty wówczas wybudowane pozostają wciąż użyteczne dla mieszkańców.

Pamiętajmy, że czas kryzysu minie. Chcemy być gotowi także na to, stąd na bazie badań za 2022 rok przystępujemy do prac nad programem turystycznym Wrocławia w perspektywie do roku 2030. Chcemy zbudować w niej ofertę dla nowych rynków turystycznych.

Co skłania turystów do ponownych odwiedzin?

– W badaniach turyści wracający do Wrocławia mówią o klimacie miasta. Czymś bardzo ulotnym, czego nie da zbudować się reklamą ani PR. To autentyczne doświadczenie spotkania z ludźmi, którzy są dumni ze swojego miasta i zwyczajnie cieszą się, że je współtworzą. Na tej autentyczności powstał znany w Polsce wizerunek Wrocławia – miasta otwartego, pozbawionego kompleksów, odważnie inwestującego przede wszystkim w mieszkańców. Zadowolenie z życia w mieście przekłada się na opinię, jaką o nim wygłaszamy.

Drugi obszar jest łatwiejszy do policzenia. Wedle badań turyści w roku 2022 wydali we Wrocławiu ok. 3,5 mld zł, korzystając z noclegów, odwiedzając restauracje, zwiedzając atrakcje czy kupując pamiątki. Te pieniądze pozostały w kieszeniach lokalnych przedsiębiorców, dając zatrudnienie tysiącom pracowników w różnych branżach. To z kolei przełożyło się na trzeci obszar: wpływ do budżetu Wrocławia z części podatków to, ostrożnie licząc, 370 mln zł.

A co turystyce przyniesie kolejny rok?

– Ostatnio chyba wszyscy zaczęliśmy myśleć z pewną obawą „niespodzianek”... Ale we Wrocławiu myślimy optymistycznie i przygotowujemy kolejne kampanie zachęcające do odwiedzenia naszego miasta. Miesiące zamknięcia rozbudziły na nowo głód podróżowania i odkrywania. Wychozimy mu naprzeciw. W 2021 roku Wrocław obiecywał, że zaczeka na turystów i wspierał zainteresowanie miastem wirtualnymi spacerami – do dzisiaj około 100 z nich można obejrzeć w internecie. Dziś pokazujemy, że w 2023 roku Wrocław – miasto spotkań, jak mówi nasz slogan promocyjny, pozostanie też miastem turystycznej przygody. Dla każdego. •

MATERIAŁ W KOMERCYJNEJ WSPÓLPRACY ZE
STOWARZYSZENIEM AGLOMERACJA WROCŁAWSKA

Spotkajmy się we Wrocławiu, czyli stolica Dolnego Śląska na weekend

Dzień I



RANO

Koniecznie zobacz najważniejsze wrocławskie zabytki: rynek z ratuszem, sukiennicami, mieszczańskimi kamienicami i fontanną, uniwersytet z [Aulą Leopoldina](#), Oratorium Marianum i Wieżą Matematyczną (punkt widokowy), Ostrów Tumski z katedrą (punkt widokowy) oraz Panoramę Raclawicką.



PO POŁUDNIU

Z centrum miasta pojedź tramwajem w okolice zoo; zwiedz Halę Stulecia, Pawilon Czterech Kopuł, a potem zrelaksuj się w parku Szczytnickim z Ogrodem Japońskim.

WIECZOREM

Możesz się wybrać na koncert do Narodowego Forum Muzyki czy opery lub na spektakl do jednego z licznych teatrów. Jeśli masz ochotę poznać [nocne życie Wrocławia](#), odwiedź któryś z klubów w centrum miasta lub okolicach ulicy św. Antoniego.



Dzień II

RANO

W Pałacu Królewskim obejrzyj wystawę „1000 lat Wrocławia”.

Wybierz się na przechadzkę promenadą Staromiejską, podziwiając przy okazji reprezentacyjne budowle wokół placu Wolności; odwiedź Ogród Staromiejski i Dzielnicę Czterech Wyznań.



PO POŁUDNIU

Z bulwaru Włostowica tramwajem lub statkiem udaj się w poblięże mostu Zwierzynieckiego. Stamtąd już tylko krok do wrocławskiego zoo. Zwiedz [ogród zoologiczny](#) z Afrykarium.



WIECZOREM

Po zmroku możesz obejrzeć [pokaz fontanny multimedialnej](#) lub wybrać się na koncert w jednym z klubów we wrocławskim rynku.



AKTYWNY URLOP

Uciec z miasta

Obserwowanie ptaków, spływ rwącą rzeką, a może przejażdżka trasą dawnej kolejki wąskotorowej? Mieszkańcy stolicy Dolnego Śląska nie mogą narzekać na brak atrakcji: pula możliwości wypoczynku z dala od gwarnych, wrocławskich ulic przyprawia o zawrót głowy

TEKST KAROLINA BRZEZIŃSKA

Zaledwie 30 km od Wrocławia położony jest słynący z lasów łągowych Park Krajobrazowy Dolina Bystrzycy. To idealne miejsce na rodzinny spacer lub wycieczkę, zwłaszcza z początkiem wiosny. Symbolem tego miejsca jest *Galanthus nivalis* – śnieżyczka przebiśnieg. Najwięcej kwiatów wyrasta wzdłuż niebieskiego szlaku wiodącego z Kątów Wrocławskich w kierunku Wrocławia. Uwaga – nie można ich zrywać! Śnieżyczki są pod ochroną.

Na wyprawę z dziećmi warto rozważyć spacer ścieżką dydaktyczną Jarnołów – Ratyń. To dolny bieg rzeki Bystrzycy. Trasa ma niecałe 7 km. Poszukiwacze mocniejszych wrażeń też będą zadowoleni. Wycieczka kajakowa po Bystrzycy dostarczy im emocji, bo miejscami dzika Bystrzyca tworzy zakola i łatwo natknąć się tutaj na powalone konary drzew. Nurt jest dość szybki, dlatego na ten spływ powinni porywać się kajakarze z doświadczeniem: decyzje o manewrach trzeba podejmować błyskawicznie. Ci, którzy lubią adrenalinę, mogą na tym spływie spędzić kilka godzin.

Na terenie parku znajdziemy także retencyjny Zbiornik Mietkowski – największe sztuczne jezioro w województwie dolnośląskim. Ze strzeżonej, piaszczystej plaży we wsi Borzygniew rozciąga się piękny widok na najwyższy szczyt Przedgórze Sudeckiego – Ślężę. W pobliżu można wypożyczyć również żaglówkę lub



DOLINA BYSTRZYCY

to piękne krajobrazy
i ciekawe ścieżki dydaktyczne

Łódź motorową. Ze względu na dobre warunki i częste podmuchy wiatru działa tu szkoła windsurfingu. Zbiornik Mietkowski jest także atrakcyjnym łowiskiem wędkarskim. Słynie m.in. z okazałych sandaczy. Kilka lat temu wędkarzom udało się złowić sumę, który mierzył ponad dwa metry i ważył ponad 100 kg.

Perła Dolnego Śląska

NAJWIĘKSZY PARK KRAJOBRAZOWY W POLSCE, DOLINA BARYCZY, nie bez powodu nazywany jest przyrodniczą perłą Dolnego Śląska. Zajmuje powierzchnię 87 tys. ha i oferuje ponad 1,3 tys. km szlaków turystycznych. Dojazd z Wrocławia zajmuje zaledwie godzinę. To prawdziwy raj dla miłośników przyrody, sportu, pieszych wędrówek albo historii. Pewnie właśnie dlatego nosi miano krainy możliwości.

Na rowerzystów czeka tu ponad 530 km tras. Ciekawą propozycją jest pętla z Krośnic, która biegnie przez Rudę Milicką, Milicz i Żmigród. Jedziemy głównie drogą szutrową lub leśną. Zdarzają się też wyasfaltowane odcinki. To 90-kilometrowa wyprawa, ale jeśli mamy słabszą kondycję, możemy przejechać tylko jej część. Niezapomniane wrażenia pozostawia przejażdżka po groblach Stawów Milickich.

Jedną z atrakcji Krośnic jest wąskotorowa kolej parkowa. Kursuje na terenie Zespołu Pałacowo-Parkowego

w Krośnicach po 3-kilometrowej trasie, gdzie znajduje się pięć mniejszych stacji.

W przeciwieństwie do Bystrzycy z jej wartkim nurtem i przeszkodami, rzeka Barycz jest spokojniejsza. Idealnie nadaje się więc dla początkujących kajakarzy i spływów w towarzystwie dzieci. Trasy płyną m.in. przez tereny rezerwatu ornitologicznego Stawy Milickie i park krajobrazowy. Dolina Baryczy to także największy ornitologiczny rezerwat w Polsce – idealne warunki do osiedlenia znajduje tu ok. 300 gatunków ptaków. Turystów przyciągają do tego miejsca czatownie, czyli punkty widokowe, umiejscowione nad stawami. Pozwalają obserwować żurawie, kormorany, orły, perkozy i czajki w ich naturalnym środowisku.

Stawy Milickie założone zostały przez cystersów w XIII wieku, a dziś są największym w Europie kompleksem stawów rybnych. To prawie 300 zbiorników wodnych o łącznej powierzchni ponad 7 tys. ha. To środowisko nie tylko hodowlanych ryb, lecz także innych dziko żyjących zwierząt. Co ciekawe, Stawy Milickie należą do prestiżowego grona Living Lakes (pol. żyjące jeziora), obok jeziora Bajkał czy Jeziora Wiktorii.

Śląski Windsor

WIEŚ SZCZODRE, ODDALONA ZALEDWIE 18 KM OD WROCŁAWIA, cieszyła się niegdyś popularnością wśród



GROMNIK najwyższy szczyt Wzgórz Strzelińskich, który wznosi się na wysokość 393 m n.p.m.

europiejskiej arystokracji. Pod koniec XVII wieku książę Krystian Ulryk na cześć swojej żony Sybilli Marii, księżniczki saksońsko-mersenburskiej, zbudował pałac, który nazwał Sybillenort. Odwiedzali go znamienici goście, m.in. polscy królowie August II Mocny czy August III Sas. W kolejnych latach rezydencję rozbudowywali jej następni właściciele. Ostatecznie na polecenie niemieckiego księcia Wilhelma w latach 1851-1867 pałac przebudowano w stylu angielskiego gotyku na wzór słynnego pałacu Windsor. Liczył czterysta pomieszczeń, z czego kilkadziesiąt udostępniono zwiedzającym. Zgromadzono tu okazały zbiór obrazów i grafik, a także największą w Europie kolekcję miśnieńskiej porcelany. Wystawiano spektakle, organizowano polowania, bale i zabawy. Okazały pałac otaczał park o powierzchni 250 ha, na którego terenie znajdowały się stawy połączone kanałami. Park został zaprojektowany przez Christiana Weissa, ogrodnika Izabeli Czartoryskiej, projektanta m.in. ogrodów w Wilanowie. XX wiek był dla pałacu mniej łaskawy. Rezydencja powoli popadała w ruinę. W czasie II wojny światowej mieścił magazyny Wehrmachtu, a w 1945 roku strawił go pożar. Pozostałości po pałacu rozebrano. Dziś ze śląskiego Windsoru została jedynie część pałacowego skrzydła.

Jednak park, który na kilkadziesiąt lat przeistoczył się w dziko rosnący las, zrewitalizowano, dzięki czemu miejsce odzyskało dawny blask. I choć nie przyciąga już arystokracji, to mieszkańcy Dolnego Śląska chętnie tu wypoczywają. I trudno się dziwić, bo atrakcji nie brakuje. Park Szczodre to przede wszystkim świetnie miejsce do spędzania czasu z dziećmi. Oprócz nowoczesnych placów zabaw z huśtawkami, karuzelami i zjeżdżalniami są tu: piracki statek, wiklinowa wioska, kamienny labirynt, trampoliny i linowe miasteczko. W parku znajdziemy też m.in. strefy rekreacyjne, pomosty, ścieżki edukacyjne. Parkowe alejki to także idealne miejsce dla biegaczy i rowerzystów. Każdego roku odbywają się tu organizowane przez gminę Długołęka wydarzenia plenerowe: pikniki, koncerty, gry terenowe i warsztaty.

Piknik wśród kwiatów

TEN KWIETNY RAJ ZNAJDUJE SIĘ ZALEDWIE 60 KM OD WROCŁAWIA. To idealne miejsce do odwiedzenia w maju i z początkiem czerwca. Arboretum w Stradonii jest jednym z największych w Polsce – ma powierzchnię aż 690 ha, choć odwiedzającym udostępniono jedynie 80 ha. Na

Travelling



STACJA kolejki wąskotorowej w Krońcicach

zwiedzanie warto zarezerwować co najmniej dwie godziny. Kolekcje botaniczne tworzy około 1500 taksonów drzew i krzewów oraz kilkaset taksonów roślin ozdobnych. Zobaczymy tu m.in. różaneczniki, magnolie, piwonie, róże, lilaki, derenie, tulipany, liliowce, kosańce, lilie, funkie, mieczyki, a także trawy ozdobne, rośliny alpejskie, rośliny cieniulubne oraz rośliny wodne. Na konieserów czeka aż 150 odmian rododendronów i 80 odmian azalii. Jak przystało na ogród leśny, rosną tu też dęby, kłony, świerki, jodły i sosny. Kolekcja tej ostatniej zaliczana jest do jednych z największych w Polsce. Arboretum można zwiedzać od kwietnia, niestety, nie wjedziemy tam rowerem.

Rabuś z Dolnego Śląska

ZALEDWIE 40 KM OD WROCŁAWIA LEŻY STRZELIN, od którego swą nazwę zaczerpnęły Wzgórza Strzelińskie. To ponad 12-tysięczne miasteczko słynie z granitu eksploatowanego w największej kopalni tego kamienia w Europie. Może też poszczycić się bogatą historią, a w znajdującym się nieopodal stąd opactwie cystersów w Henrykowie powstała słynna Księga Henrykowska, z której pochodzi najstar-

sze zdanie zapisane w języku polskim: „Daj, acj ja pobrucę, a ty poczywaj”.

Wzgórza Strzelińskie to jednak nie tylko historia. Mocno zalesiony teren jest idealnym miejscem do uprawiania turystyki rowerowej i pieszej. Są tu nawet specjalnie przygotowane trasy do uprawiania kolarstwa górskiego, choć przeznaczone głównie dla początkujących. Na najwyższym szczyt Wzgórz Strzelińskich, Gromnik, który wznosi się na wysokość 393 m n.p.m., można dotrzeć m.in. szlakiem czerwonym ze Strzelina lub szlakiem żółtym z Białego Kościoła. Podejście nie jest wymagające, na szczyt prowadzą schody. Wzdłuż ścieżki umieszczono szereg tablic informujących o ciekawostkach przyrodniczych. Na Gromniku znajduje się wieża widokowa, z której możemy podziwiać widok na Góry Sowie, Bardzkie, Wałbrzyskie, a także Dolinę Nysy Kłodzkiej. Nie jest ona jednak czynna codziennie. Na szczycie pozostały również ruiny zamku z XV w. Wybudował go prawdopodobnie największy rabuś z Dolnego Śląska – Hans von Czirne – rycerz pochodzący ze zniemczonego rodu rycerskiego. W XV wieku o jego okrucieństwie krążyły legendy, które – podobnie jak ruiny – przetrwały do dziś. Wielbiciele opowieści z dreszczykiem na pewno je docenią: jak wszyscy inni i oni znajdą na Dolnym Śląsku coś dla siebie. •

NIEZNANA STRONA DOLNEGO ŚLĄSKA

Poza szlakiem



Dostojne pałace, zabytkowe kościoły czy nieco zapomniane gmachy, na losie których swoje piętno odcisnęła skomplikowana historia regionu. Na Dolnym Śląsku wręcz roi się od architektonicznych skarbów, często ukrytych poza wydeptanymi ścieżkami

TEKST MARCIN WIECZORKOWSKI



KLASZTOR
w Lubiążu jest
największym
opactwem
cysterskim
na świecie

Aby tu dotrzeć z Wrocławia, trzeba skręcić z drogi krajowej nr 94 w wąską, wojewódzką 338 i przejechać kilka kilometrów aż do mostu nad Odrą – już wtedy po raz pierwszy, choć z daleka, zobaczymy cel naszej podróży. Potężny, górujący nad okolicą gmach dawnego opactwa cystersów w Lubiążu. Subiektywne wrażenie jego ogromnych rozmiarów potwierdzają obiektywne liczby: to drugi największy po hiszpańskim Eskurialu obiekt sakralny na świecie, z kolei jego długa aż na 223 m fasada uznawana jest za najdłuższą barokową fasadę w całej Europie. Gigantyczna budowla to dzieło sprowadzonych w XII wieku przez księcia Bolesława I Wysokiego cystersów. Z czasem zakonnicy, dzięki świetnemu gospodarowaniu, zdołali rozbudować opactwo do monstrualnych rozmiarów – jego rozkwit to przełom XVII i XVIII wieku, kiedy powstaje pałac opatów, klasztor, browar, piekarnia i wiele innych zabudowań gospodarczych. W tym okresie gruntownie przebudowano na styl barokowy także wnętrze kościoła NMP, który został niejako wkomponowany w potężną bryłę klasztoru.

W poszukiwaniu śląskiego Rembrandta

ZŁOTE CZASY DLA CYSTERSÓW, A TYM SAMYM DLA LUBIĄŻA niestety kończą się, kiedy Śląsk z rąk Habsburgów trafia do Prus. Cesarz Fryderyk II, wrogo nastawiony wobec katolickiego kleru, obciąża duchownych sporymi podatkami, przez co zakonowi z trudem udaje się utrzymać ogromny majątek. Ostatecznie gwoździem do trumny staje się decyzja cesarska z 1810 roku, na mocy której dochodzi do wywłaszczenia zakonników i sekularyzacji klasztoru. Cystersi po ponad sześciu wiekach obecności odchodzą z Lubiąża, a budynek opactwa zostaje przekształcony w szpital. Równocześnie urzędnicy wywożą stąd wiele dzieł sztuki, w tym bezcenne obrazy Michała Willmanna, nazywanego śląskim

Rembrandtem. W kolejnych latach następuje stopniowa degradacja obiektu, której nie zatrzymały także władze PRL. Sytuacja zmieniła się dopiero po 1989 roku, kiedy związana przez wrocławskich pasjonatów historii Fundacja Lubiąż decyduje się odrestaurować obiekt. Dzięki jej staraniom dzisiaj można zwiedzać kilka pieczołowicie odnowionych wnętrz, w tym zjawiskową, barokową salę księżęcą o powierzchni blisko 400 metrów kwadratowych.

Będąc w Lubiążu, nie można też pominąć wizyty w pobliskim Wołowie. W tym niewielkim, bo zaledwie 12-tysięcznym miasteczku warto zobaczyć niedużą, lecz uroczą starówkę. Jej najważniejszym punktem jest oczywiście rynek wraz z zabytkowym, barokowym ratuszem i znajdującą się tuż przed nim XVIII-wieczną figurką św. Jana Nepomucena. Choć miasto nie uniknęło zniszczeń wojennych, to liczba odrestaurowanych budowli robi wrażenie – fragmenty średniowiecznych murów miejskich z figurkami wołów, kościół św. Wawrzyńca, pochodzący z XVIII wieku pałac czy wreszcie Zamek Piastowski. Historia tej budowli sięga aż XIV wieku, a jej powstanie zawdzięczamy księciu głogowskiemu Konradowi I. Posiadłość była wielokrotnie przebudowywana, a jej współczesny wygląd to pokłosie zmian wprowadzonych w XIX stuleciu. Dzisiaj można podziwiać ją przede wszystkim z zewnątrz, ponieważ gmach pełni funkcję siedziby wołowskiego starostwa powiatowego.

Skarb z budowy

ZWIEDZAĆ ZA TO MOŻNA ZABYTKOWE CENTRUM ŚRODY ŚLĄSKIEJ. Kiedy dojeżdżamy do tego miasta samochodem, trudno nie oprzeć się wrażeniu, że to dobrze prosperujący ośrodek przemysłowy, będący jedną z lokomotyw gospodarczego rozwoju Dolnego Śląska. W okolicy powstało wiele dużych zakładów przemysłowych, jednak samo centrum miasta zachowało swój kameralny i sielski charakter. Pierwsze kroki powinniśmy tu skierować w stronę odrestaurowanego



W Muzeum Regionalnym w Środzie Śląskiej można zobaczyć skarb średzki, czyli jedno z najcenniejszych znalezisk archeologicznych w XX wieku w Europie

gotyckiego ratusza. To właśnie w jego wnętrzach swoją siedzibę ma obecnie Muzeum Regionalne, w którym można zobaczyć skarb średzki, czyli jedno z najcenniejszych znalezisk archeologicznych w XX wieku w Europie. Odkrycia dokonano przypadkowo w latach osiemdziesiątych podczas prac budowlanych przy położonej nieopodal ulicy Daszyńskiego. Okazało się, że pod ziemią skrywało się blisko 8 tys. średniowiecznych monet i klejnotów królewskich, w tym złota, pochodząca z przełomu XIII i XIV stulecia korona.

Wychodząc z muzeum, warto przejść przez zrewitalizowany kilka lat temu Rynek Dolny i kierować się do zamykającej jego perspektywę gotyckiej dzwonnicy kościoła pw. św. Andrzeja Apostoła. Obecnie można wejść na jej szczyt, by cieszyć się piękną panoramą z wysokości 32 metrów. Przy dobrej pogodzie widać stąd masyw Ślęży, a czasami nawet najwyższy szczyt Karkonoszy – Śnieżkę!

Wcale nie gorszy widok czeka na odwiedzających wieżę ratuszową w Strzelinie. W tym położonym około 40 kilometrów na południe od Wrocławia mieście po prawie 80 latach od zakończenia drugiej wojny światowej kończy się właśnie odbudowa gmachu magistratu. Ratusz w tym miejscu istniał już w średniowieczu, jednak budynek wielokrotnie był trawiony przez pożary i przebudowywany. Kompletnie zniszczony podczas ofensywy Armii Czerwonej w 1945 roku – ostała się tylko charakterystyczna czworoboczna podstawa wieży budynku. Na szczęście

współcześnie udało się przywrócić ratuszowi dawny wygląd – najpierw, w 2011 roku, wniesiono 70-metrową wieżę z tarasem widokowym, a w 2020 roku na dobre ruszyła rekonstrukcja, która będzie nawiązywać do budowy z XVI wieku. Zakończenie inwestycji planowane jest jeszcze wiosną tego roku.

Na szczęście nie trzeba czekać na możliwość odwiedzenia innych atrakcji Strzelina. Pomimo że miasto podczas wojny zostało zburzone niemal w 85 proc., to przetrwała tu jedna z najcenniejszych w regionie budowli romańskich. Mowa o wzniesionej w XII wieku rotundzie św. Gotarda, którą zalicza się do najstarszych obiektów sakralnych na Dolnym Śląsku. Z czasem „doklejoną” do niej też kościółek po to, aby pomieścić wszystkich wiernych. Co ciekawe, świątynię nawet za czasów niemieckich nazywano „polskim kościołem” i faktycznie służyła ona polskim ewangelikom do 1939 roku. Obecnie obiekt można nieodpłatnie zwiedzać po wcześniejszym zgłoszeniu.

Niestety, jeszcze nie można zobaczyć wewnątrz innego cennego strzelińskiego zabytku – Domu Księżąt Brzeskich. Ten imponujący gmach powstał w XVII wieku w miejscu dawnego klasztoru klarysek i przez kolejne stulecia pełnił rozmaite funkcje – był siedzibą księcia brzeskiego, urzędem podatkowym i sądem. Uległ zniszczeniu podczas wojny, a po 1945 roku popadł w zapomnienie. Na szczęście w latach dziewięćdziesiątych przeprowadzono renowację budynku, jednak cały czas czeka on na zagospodarowanie i przystosowanie do przyjmowania odwiedzających.

Z wizytą u Piastów

OPUSZCZAJĄC STRZELIN I KIERUJĄC SIĘ NA PÓŁNOCY ZACHÓD, trafimy do Brzegu – jednego z najważniejszych miast na trasie łączącej Wrocław z Opolem. Tutaj, poza XIII-wiecznym rynkiem starego miasta i znajdującym się na nim pięknym ratuszem, koniecznie odwiedzić należy średniowieczny Zamek Piastów Śląskich. Pierwotnie była to typowa warownia obronna, z czasem rozbudowywana i w XVII wieku przemieniona w renesansową rezydencję, została kompletnie zrujnowana około 100 lat później przez wojska pruskie. Zamek na dobre odbudowano dopiero w XX wieku, kiedy odrestaurowany ponownie otworzył swoje podwoje dla turystów w 1988 roku.

Dziś warownia pełni rolę Muzeum Piastów Śląskich, gdzie możemy odwiedzić zarówno wystawy stałe, jak i czasowe. Zobaczymy tu również sarkofagi Piastów z brzeskiej nekropolii piastowskiej, a także obrazy włoskiego mistrza Giovanniego Pinottiego.



KOŚCIÓŁ św. Piotra i Pawła
w Pawłowie Trzebnickim, XVIII w.





ŻMIGRÓD leży nad rzekami Baryczą i Sąciecznicą, znajdziemy w nim zabytki z XVII i XVIII w.

Co najmniej tak samo imponująco przed wojną prezentował się pałac w Żmigrodzie. W tym mieście, położonym na północ od Wrocławia, przy drodze S5 prowadzącej do Poznania, zobaczyć można niestety już tylko ruiny pięknego kompleksu wzniesionego w XIV wieku na lewym brzegu Baryczy. Posiadłość została gruntownie przebudowana w XVII wieku przez ówczesnego właściciela Melchiora von Hatzfelda, dzięki czemu nabrała barokowego sznytu. Niestety obiekt podzielił los wielu innych dolnośląskich zabytków i doszczętnie spłonął w 1945 roku. Dzisiaj można podziwiać m.in. zrewitalizowaną fasadę pałacu, a także najlepiej zachowaną i współcześnie odnowioną wieżę mieszkalną.

W regionie nie brakuje też zabytków drewnianych. Ci, którzy myśleli, że to przede wszystkim domena Podlasia, będą podczas wizyty na Dolnym Śląsku mile zaskoczeni. Wystarczy wybrać się w zaledwie półgodzinną przejażdżkę na północ od Wrocławia, aby trafić do Pawłowa Trzebnickiego.

Ta mała miejscowość skrywa prawdziwy skarb – drewniany dawny kościółek ewangelicki pw. św. Apostołów Piotra i Pawła. Barokowa świątynia została wzniesiona na samym początku XVIII wieku i przypominać może bardziej znane protestanckie kościoły Pokoju ze Świdnicy bądź Jawora. Wprawdzie nie tak okazała, ale nadal warta odwiedzenia jest także inna drewniana poewangelicka świątynia pw. Świętego Marka niedaleko Sycowa. Z uwagi na położenie na wzgórzu oraz Drogę Krzyżową miejsce to nazywane bywa Sycowską Częstochową. Zaledwie kilka kilometrów stąd znajduje się kolejny cenny drewniany zabytek – kościół pw. Świętej Trójcy w Działawicach. Budowla z drugiej połowy XVII wieku wyróżnia się przede wszystkim barokowym ołtarzem oraz oryginalnymi obrazami pędzla Ferdinanda Wintera. To kolejny przykład świadczący o tym, że na Dolnym Śląsku podobnych perełek można znaleźć bez liku – trzeba tylko poświęcić trochę czasu, aby je odkryć. •

Gdzie uzdrowisz nie tylko ciało, ale także duszę?

Choć od pojawienia się pierwszych kuracjuszy niedługo minie 200 lat, do Ciechocinka wciąż przybywają tłumy. Przyciągają ich nie tylko słynne tężnie, lecz także niezwykle klimat i historia tego uzdrowiska

Niewielka, malowniczo położona miejscowość od lat cieszy się niesłabnącym powodzeniem zarówno wśród tych, którzy chcą podreperować zdrowie, jak i turystów. W okresie międzywojennym pobyt w Ciechocinku był po prostu w dobrym tonie. Pojawiała się tu śmietanka towarzyska tamtych lat, gwiazdy estrady, ale także ci, którzy kształtowali ówczesną rzeczywistość, np. prezydent Ignacy Mościcki.

Legenda głosi, że powietrze w Ciechocinku pachnie nie tylko uzdrawiającą solanką, ale także miłością. Tu odbywają się przecież słynne na całą Polskę dansingi, dzięki którym niejedna osoba odnalazła swoją drugą połówkę. Bywalczy przyznają, że panujący w tym miejscu klimat uzdrowia zarówno ciało, jak i duszę.

Oko w oko z historią

Wspomnieniem złotego okresu miejscowości są unikatowe w skali Europy zabytki. Przede wszystkim tężnie (ich pomysłodawcą był Stanisław Staszic, ten sam, o którym uczy się w szkole każde polskie dziecko). Najstarsza tężnia powstała w 1824 roku, kolejne zostały wybudowane w latach 1827–1828 i miały aż 650 oraz 724 m. Obecnie to największa w Europie tego typu budowla! Niedawno te niezwykle obiekty przeszły gruntowny remont (za ponad 20 mln zł), ale dziś wszyscy mogą już korzystać z dobro-

dziejstw całego kompleksu tężniowego z grotą solankową i tarasami widokowymi.

Obowiązkowe selfie trzeba zrobić przy sławnej fontannie Grzybek, w której woda solankowa pochodzi z głębokości aż 420 m! Melomani z pewnością powinni posłuchać muzyki w zabytkowej muszli koncertowej z 1909 roku. Wzniesiona w zakopiańskim stylu, słynie z wyjątkowej akustyki, którą zawdzięcza drewnianej konstrukcji.

Ciechocinek to jedyne miejsce w Europie, w którym zobaczymy przepiękną cerkiew prawosławną w stylu zauralskim (z 1894 roku), wybudowaną bez użycia choćby jednego gwoźdźdza. Na liście turystycznych atrakcji są także: Pijalnia Wód Mineralnych (1880–1881), Warzelnia Soli, Pałacik Prezydenta, Teatr Letni, Park Zdrojowy czy Łazienki.

W walce ze smogiem

Ciechocinek to nie tylko zabytki sprzed 200 lat. W XXI wieku miejscowość w województwie kujawsko-pomorskim przeżywa prawdziwy renesans. Uzdrowisko stało się popularnym celem podróży ze względu na unikatowy klimat oraz możliwość pooddychania zdrowym powietrzem. Pobyt w tym miejscu pozwala uciec od wszechobecnego smogu. Wokół tężni bowiem tworzy się bogaty w jod mikroklimat, który ma właściwości naturalnego, leczniczego inhalato-



rium. Wraz z powszechnością chorób układu oddechowego (np. alergii) rośnie więc zapotrzebowanie na wypoczynek w takich miejscach jak Ciechocinek.

Oferta dla aktywnych

Na turystyczny sukces Ciechocinka wpływa także jego atrakcyjne współczesne oblicze. W sezonie letnim odbywają się tu liczne festiwale muzyczne. Sporo możliwości czeka tu też na miłośników aktywności fizycznej – można organizować wycieczki rowerowe, jest gdzie spacerować czy poszaleć na basenach (jest kilka kompleksów sportowych). ●

Joanna Tanecka

CIECHOCINEK, PERŁA POLSKICH UZDROWISK

- TU MOŻNA MARZYĆ



CIECHOCINEK
uzdrowia potężnie



Nadchodzące wydarzenia i festiwale w Ciechocinku

- 1 maja: Ciechocińska Parada Majowa, Majowy Piknik Rodzinny ● 5-7 maja: „Wielki Jazz w małym Ciechocinku”
27 maja: Wojewódzkie Pokazy i Parada Samochodów Strażackich ● 3 czerwca: Ciechociński Dzień Seniora
23-25 czerwca: Spotkania z Folklorem Kujaw i Ziemi Dobrzyńskiej ● 30 czerwca – 2 lipca: Festiwal Wielka Gala Tenorów
22 lipca: Festiwal „Happy Jazz” ● 27-30 lipca: Festiwal Piosenki Młodzieży Niepełnosprawnej
5-9 sierpnia: Festiwal Operowo-Operetkowy ● 12 sierpnia: Ciechociński Kabaret - terapia śmiechem
14-18 sierpnia: II Międzynarodowy Festiwal i Konkurs Wokalny „Vistula Sounds”
19 sierpnia: Piknik „Chillout nad Wisłą” ● 26 sierpnia: Piknik „Młodzież żegna wakacje” ● 27 sierpnia: „Biegamy potężnie”
2 września: Festiwal „Blues bez Barrier” ● 23 września: Happy Guitar Fest

WIĘCEJ NA STRONIE: www.ciechocinek.pl ● PUNKT INFORMACJI TURYSTYCZNEJ: tel. 54 416 0160

A close-up portrait of Keira Knightley with long, wavy brown hair, looking slightly to the left. She is wearing a dark top and a diamond necklace.

NIEUSTĘPLIWA KEIRA KNIGHTLEY

Gwiazda z dysleksją

Potrafi walczyć o swoje, chwalić się sukcesami,
ale też przyznawać do porażek

TEKST ARTUR ZABORSKI



Taka jest też jej Loretta McLaughlin, dziennikarka, w którą wciela się w „Dusicielu z Bostonu”. Choć tytuł filmu sugeruje, że to kolejna opowieść o seryjnym mordercy kobiet, główną bohaterką jest tak naprawdę dziennikarka pisma „Boston Record American”. To ona wspólnie z koleżanką po piórze, Jean Harris, doprowadziły do schwytania psychopaty, bo zauważyły, że pozornie niepowiązane ze sobą zabójstwa kobiet łączą pozostawione na ich ciałach ślady.

LIST MIŁOSNY DO DZIENNIKARSTWA

KOLEJNY RAZ KEIRA KNIGHTLEY gra kobietę z przeszłości (jesteśmy w latach 60.), którą ogranicza prawie wszystko: nie może się stać niezależną finansowo, jej pracy nie szanują koledzy, a przeciwnikiem jest mizogin, którego nienawiść do płci przeciwnej popycha do zbrodni. Brytyjka gra ją tak, żebyśmy nie mieli wątpliwości, że to jest jej historia. I że najważniejsze w filmie jest to, co myśli jej bohaterka, a nie wyszukane metody mordercy.

To McLaughlin wpadła na to, że nachodzi on ofiary w ich domach, podając się np. za detektywa, czego śledczy nie wzięli pod uwagę – zakładali, że kobiety zginęły z rąk członków rodziny albo innych osób, które znały. – O Dusicielu słyszałam wcześniej z mediów, ale o McLaughlin już nie. To kolejny dowód na to, jak inteligentne, sprawcze kobiety są usuwane z historii, bo ważniejsi są przebiegli mężczyźni, nawet gdy robią coś tak okropnego – utyskuje Knightley na wirtualnym spotkaniu z dziennikarzami, w którym uczestniczę.

– Dla mnie ten film jest przede wszystkim listem miłosnym do kobiecego dziennikarstwa śledczego, a zarazem przypomnieniem, jak ważne jest, żeby na ważnych stanowiskach w mediach obsadzać kobiety. McLaughlin i Jean Harris upubliczniły informacje, które zapewniły bezpieczeństwo kobietom w Bostonie, chociaż ich koledzy je zignorowali. Cieszę się, że poprzez ten film przypominamy, że chronienie społeczności wymaga obecności w mediach kobiet – tłumaczy nam aktorka.

Jej Loretta nie jest jednowymiarowa, Knightley zadbała, żebyśmy zobaczyli, co

to znaczy łączyć pracę dziennikarki śledczej z rolą żony i matki w czasach, kiedy po urodzeniu dziecka kobiety z reguły rezygnowały z kariery. Mizoginem nie jest tu tylko Dusiciel, podobnie myślą liberalni dziennikarze, którzy skrycie zazdroszczą koleżankom sukcesu i z rozrzewnieniem wspominają czasy, kiedy pisanie było typowo męskim zawodem. No bo do czego to doszło, że najgorętszą zagadką kryminalną dekady udaje się rozwiązać kobiecie, która po wyjściu z redakcji bierze się do sprzątnia domu?

– Kiedy czytałam scenariusz, doświadczyłam katharsis, bo Loretta została pokazana jako zdobywająca nagrody dziennikarka, którą jej własne dzieci uwielbiały. Ona nie musiała dokonywać



Nigdy nie miałam planu B, chciałam być aktorką i nie zakładałam, że cokolwiek mogłoby mnie powstrzymać

KEIRA KNIGHTLEY

wyboru: pisanie albo macierzyństwo, dowiodła, że jedno i drugie można połączyć – opowiada nam Knightley. – Była tak samo zdesperowana i żeby przetrwać w zdominowanej przez mężczyzn redakcji, i żeby mieć życie rodzinne, i żeby wywalczyć sprawiedliwość. W jej nieustępliwości, za którą ją pokochałam, przejrzę się bardzo wiele współczesnych kobiet – dodaje aktorka.

WALCZĄCA I BOGATA

OPWIADAJĄC O SWOJEJ BOHATERCE, aktorka mówi też trochę o sobie. W świecie filmu od lat znana jest ze swojej nieustępliwości w walce o wiarygodne portrety kobiecych bohaterek i o sprawiedliwość. Kiedy w 2007 r. pozwała „Daily Mail” za to, że tabloid opublikował jej ponęt-

ne zdjęcie w bikini obok artykułu o matce, która oskarżała szczipłych celebrytów o śmierć cierpiącą na anoreksję córki, wiele osób zarzucało jej, że nie rozumie praw rynku, nie ma do siebie dystansu i walczy z wiatrakami. Ale gdy gazeta wypłaciła jej okazałą sumę, którą w całości przekazała organizacji zajmującej się walką z zaburzeniami odżywiania, krytycy zmienili zdanie, a prasa brukowa zrobiła z niej bojowniczkę w słusznej sprawie.

Knightley miała to w nosie, tak samo jak wtedy, gdy gazety pisały o jej kolekcji butów czy o przyjęciu, jakie zorganizowała z okazji swoich 21. urodzin. Plotkarskie serwisy przypominały, że wydała na nie 30 tys. funtów i wyliczały postaci ze świata kina, muzyki i mody, które były na tej imprezie.

I to kolejna rzecz, która aktorkę łączy z Loretą McLaughlin: choć obie osiągnęły w swoich zawodach gigantyczne sukcesy, nie pozwoliły, by to zawróciło im w głowie.

Dziś przecież 38-letnia Knightley spokojnie mogłaby odciąć kupony od osiągnięć z przeszłości. Jest piątą najmłodszą aktorką w historii kina, która dostała nominację do Oscara (za „Dumę i uprzedzenie” z 2005 r., miała wtedy 20 lat), czy jedyną nie-Amerykanką, która w 2008 r. trafiła na listę najlepiej zarabiających gwiazd Hollywood przygotowaną przez „Forbesa”. Dochody za poprzedni rok 23-letniej wówczas gwiazdy oszacowano na 32 miliony dolarów.

OSZUSTWO Z KSIĄŻKAMI

WSPÓLNA JEST DLA NICH TAKŻE WALKA o możliwość realizowania się w wymarzonej zawodzie. Knightley zaczynała co prawda w czasach, kiedy pozycja kobiety była już znacznie lepsza (debiutowała jako dziecko w reklamach na początku lat 90.), ale miała potężne ograniczenie: dysleksję. Właśnie ta przypadłość sprawiła, że zaczęła grać. Oszukiwała otoczenie, ucząc się na pamięć książek z popularnych wtedy w Wielkiej Brytanii nagrań na kasetach magnetofonowych. Potrafiła przyswoić ogromne fragmenty, a potem przywoływała je z pamięci, sprawiając wrażenie, że czyta tekst powieści. Nawet jej rodzice się nie połapali w oszustwie.



Kadr z filmu „Dusiciel z Bostonu”. Na zdjęciu Carrie Coon jako Jean Cole i Keira Knightley jako Loretta McLaughlin

Gdy prawda wyszła na jaw, matka powiedziała, że załatwi jej aktorskiego agenta, jeśli córka przez całe wakacje będzie się uczyła naprawdę czytać książki. Zawzięła się i dzień w dzień spędzała czas na lekturze. Matka – aktorka i autorka sztuk Sherman Macdonald – słowa dotrzymała i mała Keira zaczęła chodzić na castingi. – Dla mnie to nie było coś niezwykłego, ale naturalna droga rozwoju. Pierwszy raz o własnego agenta poprosiłam, gdy skończyłam trzy lata. Dorastając w filmowej rodzinie, nie wyobrażałam sobie, że mogłabym robić coś innego. Nigdy nie miałam planu B, chciałam iść tylko w tym kierunku i nie zakładałam, że cokolwiek mogłoby mnie powstrzymać – opowiada.

I konsekwentnie pokonuje wszelkie przeciwności. Z dysleksją nauczyła się żyć. – Gdy dostaję tekst scenariusza z wyprzedzeniem, to nie ma dla mnie problemu. Jednak nadal wyzwaniem są role w produkcjach, w których na dzień przed zdjęciami dochodzi do zmian w dialogach albo opisach scen. Wtedy jest to dla mnie o wiele trudniejsze niż dla innych – przyznaje.

Sławę zdobyła dzięki wysokobudżetowym filmom historycznym. „Duma i uprzedzenie” (2005), „Pokuta” (2007), „Księżna” (2008) czy „Anna Karenina” (2012) były dla niej idealne, bo scenariusze musiały być zgodne z realiami przeszłości, więc nie majstrowano przy nich w ostatniej chwili. Ale też nie każda aktorka dostaje role w takich filmach. – W opowieściach, które rozgrywają się w innej epoce, obsadzane są te aktorki, które wiedzą, jak się poruszać w ubraniach z tamtego czasu. A taką umiejętność mają aktorki z doświadczeniem teatralnym. Ich nie trzeba przyuczać, jak poru-

zać się w ciężkich sukniach czy gorsetach – mówi „Newsweekowi” pracująca w Hollywood kostiumografka Katarzyna Walicka-Maimone.

Rodzice Keiry pracowali w teatrze i pozwalali małej córce buszować w garderobach. Gdy ojciec i matka grali na scenie, ona spędzała czas z szyjącymi kostiumy paniami, które ubierały ją w średniowieczne wdzianka i korygowały, gdy chodziła w nich niedbale albo współcześnie. A że jest zawzięta, wracała na kolejne lekcje i opanowała tę sztukę do perfekcji. Podobnie jak amerykański akcent w „Obłądnie” (2005), którego uczyła się codziennie przez kilka tygodni, czy sztukę władania mieczem i bijałyki, które ćwiczyła cztery dni w tygodniu przez trzy miesiące na potrzeby roli w „Królu Arturze” (2004).


PORAŹKI BEZ GORYCZY

MÓWI, ŻE CZUJE SIĘ PEWNIEM, gdy może się przygotować do roli. Gorzej jest, gdy trzeba nagle reagować na zmianę sytuacji. Tak było, gdy weszła na plan „Piratów z Karaibów: Kłątwy Czarnej Perły” (2003). Była przekonana, że robią film, który ma być śmieszny. Jakież było jej zdziwienie, gdy obok pojawił się Johnny Depp, który szedł chwiejnym krokiem i wygłaszał swoje kwestie niedbale i niedokładnie, jakby był po kilku głębszych. Była pewna, że sobie w tej roli nie poradzi i przeklinała los, który sprawił, że dostała angaż – na casting dramatycznie się spóźniła, bo utkwiała w londyńskich korkach. Najpierw cieszyła się, że producenci byli oburzeni podejściem Deppa, bo jak sprzedać młodej widowni film z wiecznie podpitym bohaterem bez ryzyka oskarżeń o promowanie niewłaściwych postaw?

– A potem zrozumiałam, że scenariusz jest tylko punktem wyjścia do tworzenia postaci. Nie mogłam uwierzyć, że Johnny z czegoś, co w czasie lektury wyglądało w określony sposób, tworzy coś zupełnie innego, oryginalnego i fajnego. Bardzo dużo się wtedy nauczyłam – przyznawała na spotkaniu w klubie BAFTA.

Wtedy też śmiało opowiadała o rolach, których nie dostała. Przyznanie się, że zamiast niej wzięto Anne Hathaway („Mroczny Rycerz powstaje”), Carey Mulligan („Kapitan Ameryka: Pierwsze starcie”) czy Amber Heard („Dziennik zakrapiany rumem”), nie jest dla niej żadną ujmą. Zapewnia, że nie zadreżca się pytaniami, czy jej telefon znów zadzwoni, tylko startuje w walce o kolejne dobre role.

Dlatego nie miała też problemów, by zrobić sobie przerwę i dwukrotnie zająć w ciąży, choć producenci zawzięcie o nią walczyli. Po urodzeniu dzieci (wychowuje je z mężem, Jamesem Rightonem, klawiszowcem zespołu Klaxon) od razu wróciła do pracy, co także łączy ją z Loretą McLaughlin. Choć Knightley widzi między nimi ogromne różnice.

– Ja mam niewiarygodnie uprzywilejowaną pozycję. Mogłam sobie pozwolić na powrót do pracy, bo stać mnie na profesjonalną opiekę nad dziećmi. Loretta była w zupełnie innej sytuacji, dlatego cieszę się, że poprzez „Dusiciela z Bostonu” możemy docenić ją również za emocjonalny i fizyczny maraton, który przebiegła jako dziennikarka i matka – podsumowuje aktorka. 

Artur Zaborski

FILM „DUSICIEL Z BOSTONU” MOŻNA
OGLĄDAĆ NA PLATFORMIE DISNEY+



ODLOT KULTURALNY

Katarzyna Janowska Cieszcie się, żyjcie!

Na scenie ściana przykryta ekranami. W każdym okienku toczy się życie. – I ty umrzesz, i ty umrzesz, i ty umrzesz – krzyczy kobieta w żalobie. To jedyna pewność i równość, jakiej doświadczamy. Ale warunki, w jakich będziemy umierać, zależą od naszego miejsca na społecznych schodach.

Pamięć dobrych dni

Dramat napisała poetka Anna Podczaszy, spektakl wyreżyserowała aktorka Magda Skiba, główną rolę w monodramie „Zapowiada się ładny dzień” gra Joanna Gonschorek, aktorka Teatru im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy, w serialu „Skazana” gra strażniczkę więzienną Świętę. Podczas pierwszej edycji festiwalu sztuki aktorskiej Teatropolis w Łodzi zdobyła za tę rolę Grand Prix.

To jest opowieść o śmierci, ale poprzedzonej życiem. Życie jest ważne. Bohaterka je lubi. Cieszy się wspólnymi z mężem przejażdżkami do lasu. W samochodzie ściąga rajstopy, wystawia na zewnątrz nogi pięćdziesięciolatki, pije piwo, pali fajki, śmieje się. Perfekcyjnie wmontowane w spektakl projekcje wideo Karola Budrewicza dają wgląd w codzienność bohaterki. Śmierć zawieszona w pierwszej scenie przychodzi. Do szpitala trafia mąż. Rak. Nie ma nadziei, choć ona usilnie jej szuka. Próbuje namówić kolegów, żeby odwiedzili go w szpitalu. Napili się piwa, zapalili fajkę. Ale ciągle coś im wypadła. Każą pozdrowić, dobrze, że jest mu lepiej, choć ona mówi, że gorzej. Koniec. Zostaje sama. Rozpacz, lęk, samotność Joanna Gonschorek gra bez wielkich gestów. Jest szczerą w ciele, które pożegnało się z młodością i zaczyna chorować. Jednym ruchem potrafi zmienić nastroj. Doskonale przeciętna umierająca z sąsiedztwa. Ale jednocześnie całkiem nieprzeciętna. Kiedy w zderzeniu z bezdusznym systemem NFZ staje się anonimowym numerem w kolejce do zabiegu, na który pewnie się nie doczeka, ma w sobie pamięć dobrych dni. Cieszcie się, żyjcie, zapowiada się ładny dzień – zachęca.

Mroczny zachód słońca

Podejrzewam, że pamięci dobrych dni brakuje bohaterowi filmu Michela Franco „Sundown” z Timem Rothem w roli głównej. Uderzyło mnie, że skromny monodram z Legnicy i film meksykańskiego reżysera, który był objawieniem festiwalu filmowego w Wenecji, można przeczytać jako awers i rewers. Neil Bennett wraz z siostrą (Charlotte Gainsbourg) i dwójką nastoletnich dzieci spędza wakacje w luksusowym ośrodku w Acapulco. Nowoczesne wnętrze, basen



z cudownymi widokami i czwórka totalnie zdruzzonej bogaczy. Z letargu wyrwa ich telefon z informacją o śmierci nestorki rodu. Pędzą do samolotu. Na lotnisku okazuje się, że Neil zapomniał paszportu. Rodzina odlatuje, on zostaje i każe się zawieźć taksówkarzowi do jakiegokolwiek hotelu. Śmierć staje się okazją, żeby wreszcie pożyć. Reżyser nieśpiesznie ujawnia szczegóły z życia bohatera.

Tim Roth jest mistrzowski w tej roli. Prawie się nie odzywa. Spojrzenie, drobny gest, twarz zwrócona do słońca – z drobiazgowką opowieść o swoim bohaterze. W szortach i lnianej koszuli, siedząc na zatłoczonej, brzydkiej plaży, całymi dniami syczy piwo. Uprawia seks z przypadkowo poznaną sprzedawczynią ze sklepiku z pamiątkami. Spędza czas z jej znajomymi. Wychodzi ze swojego życia bez żalu, odcina się od rodziny, zrzuca się majątku. Na taki gest, jak słyszymy, pozwalają sobie tylko ci, którzy nigdy nie musieli starać się o pieniądze. Neil dostaje od rodziny dożywotnią pensję i ubezpieczenie zdrowotne. Może bezpiecznie snuć się po życiu, udając, że żyje jak jego biedni znajomi.

Joanna Gonschorek i Tim Roth, oboje oszczędni w sztuce aktorskiej, prowadzą widzów w różne ścieżki egzystencji

Czujemy napięcie, zaraz coś się wydarzy. To Acapulco, najbardziej niebezpieczne miasto Meksyku. Nie wiadomo, kiedy biedacy rzucą się do gardła komuś, kto ma więcej od nich. Michel Franco to przecież autor nagrodzonego w Wenecji dystopijnego filmu „Nowy porządek”. Biedacy walczą w nim o krople wody, a w tym czasie bogaci zarządzają balangę na sto fajerek. Ale impreza się kończy. Ci, którzy nie mają nic, idą po tych, którzy nie wiedzą, co zrobić ze swoim bogactwem. Finał „Nowego porządku” przeraża. A co z bohaterem „Sundown”? Jest chory, niewiele mu zostało. W przeciwieństwie do bohaterów monodramu „Zapowiada się ładny dzień” stać go, żeby leczyć się w najlepszej klinice. Ale jak zawsze ucieka od problemu, od dziewczyny, która staje się bliska, dzieci, które podobno kocha. Czy to kryzys wieku średniego, kryzys męskości, choroba? Przyczyna nie ma znaczenia. Dziedzicowi milionowej fortuny każdy dzień zapowiadał się ładnie, a mimo to jego skok na życie jest równie nieudany jak jego życie. Joanna Gonschorek i Tim Roth, oboje oszczędni i perfekcyjni w sztuce aktorskiej, prowadzą widzów w różne ścieżki egzystencji. Warto za nimi iść. **N**



OPOWIADANIE

PIES ZA PSA

TEKST ETGAR KERET ILUSTRACJA KAMIL REKOSZ

Joaz idzie parę metrów przed nami. Idzie strasznie szybko, więc my z Alekssem musimy na wpół biec, żeby trzymać się blisko niego. Joaz zawsze chodzi szybko, a jak jest zły, to jeszcze szybciej, ale w takim stanie jeszcze go nigdy nie widziałem. W jednej ręce trzyma znaleziony po drodze zardzewiały żelazny pręt, a w drugiej plastikową butelkę po spracie, którą sobie napełnił na stacji koło skrzyżowania. Aleks szepce do mnie zdyszany:

– On zwariował, ten twój brat, słowo daję, to wariat.

Joaz, który najwyraźniej coś usłyszał, zatrzymuje się i odwraca do niego.

– Coś ty powiedział? – pyta i rusza w naszą stronę. – Do ciebie mówię, ty gamoniu.

– Powiedział, że powinniśmy iść na policję – wybucham – i że nie ma się co w to mieszać.

– Co jest grane, gamoniu? – prychnął Joaz. – Boisz się z nami pójść do arabskiej dzielnicy?

– No co ty – mówi Aleks. – Ja tylko myślę, że cały ten pomysł – pokazuje na butelkę, którą trzyma Joaz – że to bez sensu... Smadza w ogóle nie był twoim psem, tylko Nadawa. To co za niego decydujesz?

Ale Joaz nie odpowiada, po oczach widać, że skończył z gadaniem. Podchodzi bliżej do Aleksa, a ja usiłuję wymyślić, co by tu powiedzieć, coś, co to powstrzyma, ale nic nie przychodzi mi do głowy.

Kiedy wróciłem ze szkoły, Smadza już nie żył. Leżał na drodze koło cmentarza, tuż przy wjeździe w naszą ulicę, a Aleks zo-

baczył, jak idę, przybiegł do mnie i wszystko opowiedział: jak rozpędzona biała furgonetka Renault nadjechała od strony sąsiednich torów i jak Smadzę wyrzuciło w powietrze, i jak po jeszcze kilku metrach furgonetka się zatrzymała i wysiadł z niej człowiek z brodą. Aleks powiedział, że był bardzo wysoki, z dużą białą kipą, jaką noszą Arabowie, i że zamiast od Araba uciekać, on, Aleks, pobiegł w jego stronę, krzycząc: „Zabiłeś go! Zabiłeś!”. A Arab się przestraszył i zaraz wsiadł z powrotem do auta i uciekł.

Aleks nie jest tak naprawdę moim przyjacielem, chociaż jesteśmy w tym samym wieku i mieszkamy na tej samej ulicy. I jest chyba jedynym chłopakiem w naszej dzielnicy, który chodzi do innej szkoły, a Akiwa opowiadał mi kiedyś, że to dziwna szkoła, gdzie nie zadaje się lekcji do domu i każdy, kto chce się tam uczyć, musi umieć robić na drutach, nawet chłopcy. Zawsze rano, kiedy Joaz i ja idziemy do szkoły, widzimy, jak Aleks czeka na ich autobus, a wraca, jak już jest prawie ciemno. Na szczęście akurat tego ranka rzygał i jego chuda matka z ochrypłym głosem i włosami jak egipska trukwa postanowiła zatrzymać go w domu, inaczej w życiu by nie zobaczył tego wypadku.

– Kiedy uciekał, od razu wyciągnąłem telefon i zrobiłem zdjęcie – powiedział Aleks i z dumą pokazał mi w komórce zamazane zdjęcie tablicy rejestracyjnej furgonetki. – Widzisz? Po numerze samochodu policja w sekundę go złapie.

Wykopaliliśmy z Joazem grób Smadży na wzgórzu koło cmentarza. Joaz uznał, że z halachicznego punktu widzenia to w porządku, a z punktu widzenia Smadży to lepiej, bo nie będzie pochowany sam. Aleks też chciał kopać, ale Joaz ścisnął łopatę i powiedział, że kopanie go uspokaja i poza mną jednym nikomu nie da. Po spuszczeniu Smadży do dołu Joaz zaproponował mi,

żeby coś powiedział – jakby nie całkiem modlitwę, bo to pies, ale powiedział coś o nim – więc powiedziałem, że był dobrym psem i że kiedy go dostałem na dziewiąte urodziny, jak jeszcze był szczeniakiem, puszczałem program o Orenie Smadży, który dostał kiedyś na olimpiadzie brązowy medal, i pokazali, jak robi na macie fikołki judoki, co wyglądało dokładnie jak fikołki szczeniaka, i że od razu powiedziałem, że będzie się nazywał Smadża, a Joaz, tak samo jak i tata, uznali, że Smadża to wcale nie jest dobre imię dla psa, ale mama powiedziała, że to ja decyduję... Joaz przerwał mi, mówiąc, że nie muszę opowiadać wszystkiego, co się wydarzyło od jego narodzin, żeby po prostu powiedział coś o nim od serca, na przykład, że nawet kiedy już będę stuletnim staruszkiem, wciąż będę go pamiętał albo że mogę mu złożyć przysięgę na jego grób.

– Przysięgę? – wtrącił się Aleks. – Jaką przysięgę?

A Joaz odpowiedział, że mógłbym przysiąc, że jeśli jeszcze kiedyś będę miał psa, nazwę go Smadża na jego cześć albo mogę przysiąc, że pomszczę jego śmierć. I kiedy Joaz to mówił, Aleks znowu wyciągnął komórkę i powiedział:

– Pójść na policję to nie zemsta...

– Kto tu mówi o policji? – prychnął Joaz i zaczął zakopywać grób. – Sami z Nadawem się tym zajmujemy.

– Żebyś wiedział, Nadaw – ciągnął Aleks – z tym moim zdjęciem z numerem samochodu złapią go w sekundę.

– Złapią go w sekundę – Joaz przedrzeźniał piskliwy głos Aleksa. – Kto złapie, gamoni? Pani od dziergania na drutach z twojej żeńskiej szkoły?

– To nie jest żeńska szkoła – zdenerwował się Aleks. – To szkoła antropozoficzna, a jeśli Nadaw złoży skargę, to izraelska policja...

– Izraelska policja? – przerwał mu Joaz. – Izraelska policja nie potrafi zatrzymać nawet morderców ludzi, naprawdę myślisz, że kogokolwiek tam będzie obchodzić morderca psa?

– Ale jeśli nie policja, to co niby możemy zrobić? – zapytał przestraszony Aleks. Joaz dalej zakopywał grób, a kiedy skończył, rzucił łopatę na ziemię, spojrzał na mnie i powiedział:

– Chodź, facet, idziemy do arabskiej dzielnicy.

Obaj z Joazem ruszamy. Aleks również, ale kilka kroków za nami, żeby nie denerwować Joaza.

– Powiedz no – pytam, głównie żeby uspokoić sytuację – co wlałeś do tej butelki? Ropę?

– Benzynę – mówi Joaz i wyciąga z kieszeni żółtą plastikową zapalniczkę. – No, jazda – pstryka zapalniczką i podtyka mi płomień. – Nocne fajerwerki! Kto idzie ze mną podpalić Arabom psa?

– Chwila! – mówi Aleks i łapie mnie za ramię spoconymi dłońmi. – Chwila! Zastanów się moment! To nielogiczne, żebyśmy poszli zabić jakiegoś psa, którego w ogóle nie znamy i który nie ma żadnego związku...

– Nilogiczne? – wścieka się Joaz i przysuwa swoją twarz do twarzy Aleksa. – Tak jest napisane w Biblii! Teraz nagle i Biblia wydaje ci się nielogiczna?



***BĘDĄ MIELI DZISIAJ NOC POD
ZNAKIEM PŁONĄCEGO PSA
– MÓWI I WYCIĄGA
Z KIESZENI KAWALEK
KIEŁBASY. TA NOC ICH
NAUCZY, ŻE KREW
ŻYDOWSKIEGO PSA
NIE JEST ZA FRIKO***

– W żadnym miejscu w Biblii nie jest napisane, że jeśli przejechali ci... – usiłuje upierać się Aleks, ale Joaz nie daje mu skończyć zdania.

– Oko za oko! – krzyczy. – Ząb za ząb! To mówi Księga Wyjścia. Niczego was nie uczył w tej żeńskiej szkole?

– Uczą – mówi Aleks – ale zlituj się, Yoaz, przecież nie ma żadnego porównania. Ten kierowca w kipie...

– Arab – denerwuje się Joaz. – Powiedz „Arab”.

– W porządku – mówi Aleks. – W porządku. Arab, sam widziałem, jak to się stało. On rzeczywiście zwał i zachował się jak gnojek. Ale nie zrobił tego naumyślnie.

– Pięknie, kurwa – odpowiada Joaz. – Tego psa, co dzisiaj spłonie, też nie spalimy naumyślnie. Wierz mi – patrzy na mnie przez chwilę i puszcza oko. – Po tej nocy żadnemu Arabowi nawet do głowy nie przyjdzie, żeby wleźć do naszej dzielnicy.

Aleks wyjmując z kieszeni telefon i macha nim Joazowi przy twarzy.

– Jesteś kompletnie stuknięty – mówi mu. – Jeśli wy z Nadawem nie wyrzucicie zaraz tej butelki i tej zapalniczki i nie wrócić do siebie, dzwonię na policję i wszystko im o was mówię.

Joaz wali Aleksa w twarz ręką, w której nie trzyma butelki po spracie. To jego słabsza ręka, ale wystarcza, żeby wytrącić Aleksowi komórkę. Aleks zaczyna płakać. Joaz podnosi z asfaltu jego komórkę i wsadza do kieszeni.

– Nie słuchasz, co się do ciebie mówi, co? – zwraca się do Aleksa. – Nie ma policji. Tylko my. Wracaj teraz do domu i przysięgam, że jak piśniesz jedno słowo...

– Mój telefon... – jęczy Aleks i wyciąga rękę – mój telefon.

– Później – syczy Joaz. – Będziesz trzymał głowę na kłódkę, to Nadaw ci go później odda, jak wrócimy. – Joaz odwraca się i swoimi wielkimi krokami rusza w stronę torów kolejowych tak szybko, że muszą za nim biec.

– Nadaw! – krzyczy za mną Aleks. – Nie idź z nim! To psychol!

Ale Joaz nawet się nie odwraca, żeby zobaczyć, czy idę, wie, że jestem za nim.

W arabskiej dzielnicy nie ma prawie ani jednej latarni. Joaz dobrze ją zna. Przychodzi tu czasem po szkole z kolegami, żeby zjeść humus. U nas w dzielnicy też jest humus, ale Joaz mówi, że humus u Arabów jest smaczniejszy, a kosztuje połowę. Prowadzi takim wąskim, na w pół tajemnym przejściem na zavalony śmieciami plac, przy którym stoi coś w rodzaju wielkiego magazynu ogrodzonego płotem. Już z daleka słyszę szczekanie psa, a po chwili pojawia się olbrzymi doberman wyglądający na rozeźlonego. Joaz mówi, że to arabski magazyn butów i że jego pracownicy straszili kiedyś chłopaka z jego klasy, który naszczał im na ogrodzenie, że spuszcza na niego tego psa.

– Będą mieli dzisiaj noc pod znakiem płonącego psa – mówi i wyciąga z kieszeni kawałek kiełbasy. Ta noc ich nauczy, że krew żydowskiego psa nie jest za friko.

Plan Joaza jest prosty. Mam tylko wziąć kiełbasę, podsunąć ją do jednej ze szpar w ogrodzeniu i zawołać psa, a kiedy pies poczuje mięso i podejdzie do nas, Joaz poleje go benzyną z butelki i podpali.

– Ja nie chcę – mówię mu.

– Co nie chcesz? – wzdycha Joaz. – To po co tu przyszliśmy? No, bierz! – Wciska mi do ręki kiełbasę owiniętą w kawałek papieru.

– Spójrz na niego – mówię o psie, który bawi się po drugiej stronie płotu pudełkiem od butów. – Zwykła bidaka.

– Bidaka? – irytuje się Joaz. – Jaka bidaka? Myślisz, że jest jak Smadża, że rzucisz mu piłkę, a on przyniesie? Gdyby nie było tego płotu, już dawno rozszarpałby cię na strzępy.

Milczę z owiniętą papierem kiełbasą w dłoni, a Joaz podchodzi do mnie i kładzie mi rękę na ramieniu.

– No, Nadaw – przemawia do mnie łagodnie. – Chodź, skończmy już z tym. – I przechodzi do szeptu: – Dla Smadży.

– Nie chcę go spalić – powtarzam.

– Ja też nie – mówi Joaz. – Możesz mi wierzyć, że ja też nie. Ale oni muszą zrozumieć. Inaczej to nigdy się nie skończy. Smadża był tylko twoim pierwszym psem. Chcesz, żeby nam również następnego rozjechali?

Nie odpowiadam, więc ciągnie dalej:

– No śmiało, biorę to na siebie. Nic nie musisz robić. Tylko dać mu kiełbasę. Sam bym to zrobił, ale żeby rozlać benzynę i podpalić, potrzebuję obu rąk.

Kręcę przecząco głową.

– Nie rozumiem cię – przybliży twarz do mojej – nie rozumiem. Wiesz, co to oznacza, że zmarł ci pies? Będzie ci się śnił każdej nocy, każdej nocy we śnie będzie przychodził do ciebie rozjechany, ze śladami opon na brzuchu będzie patrzył na ciebie najsmutniejszymi na świecie oczami i prosił o pomoc – wtedy również pokręcisz mu głową na „nie”, jak przedszkolak? Dawaj mi to! – Chwyta kiełbasę. – Nie potrzeba, ty rozpieszczony gnojku. Sam to zrobię.


Joaz odkręca butelkę z benzyną, a korek ze złością rzuca na ziemię. Odwija kiełbasę z papieru, przytrzymuje ją w zębach i podchodzi do ogrodzenia. Próbuje przywołać psa, ale z kiełbasą w ustach wychodzi mu z tego tylko niezrozumiały bełkot. Jakies osiem metrów dalej arabski pies nadal bawi się porwanym już na kawałki pudełkiem od butów i kiedy Joaz usiłuje go przywołać, po prostu to ignoruje. Po jakiejś minucie Joaz zostawia ogrodzenie i zbliża się do mnie.

– Nadaw – mówi najbardziej błagalnym głosem, jaki w życiu od niego usłyszałem. – Nie daję rady sam, potrzebuję pomocy, pomóż mi!

Staram się coś powiedzieć, ale słowa mi się płaczą, i kiedy zaczynam płakać, Joaz mnie obejmuje, a jego uścisk pachnie mięsem i benzyną. W trakcie tego przytulania dzwoni telefon Aleksa. Joaz mnie puszcza, wsadza zapalniczkę do kieszeni, wyciąga komórkę i patrzy na wyświetlacz.

– To ta jego popieprzona matka – syczy.

– To Aleks – mówię mu. – Ten skarżypyta wszystko jej opowiedział.

Przed powrotem do domu wyrzucamy butelkę z benzyną i zapalniczkę do kontenera na śmieci. W ten sposób, jeśli matka Aleksa zadzwoni do naszych rodziców i powie, że chcieliśmy narozrabiać, będziemy mogli powiedzieć, że po prostu zmyśla, i nie będzie żadnych dowodów. Kiełbasę daję psu Arabów. To smaczna kiełbasa. Mama zawsze kładzie mi ją z majonezem i kiszonym ogórkiem do kanapki. Szkoda wyrzucać. 

Etgar Keret

TLUMACZYŁA AGNIESZKA MACIEJOWSKA

O SERIALACH

Bartosz Węglarczyk Łzy na serialach



Nie wiem dokładnie, dlaczego, ale bardzo łatwo się wzruszam na filmach i serialach. Oczywiście, tak reaguje wiele osób, w końcu od tego jest sztuka, żeby wzbudzać w nas emocje. Oto moje najważniejsze typy do szukania chusteczki:

Śmierć Olgierda Jarosza Jako dziecko płakałem za każdym razem, gdy załoga „Rudego” dowiadywała się, że jej dowódca Olgierd Jarosz (Roman Wilhelmi) zginął podczas szturm na Wejherowo.

Wiem, że debata o „Czterech pancernych” będzie się ciągnęła jeszcze wiele lat, ale prawda o tym serialu jest w sumie bardzo prosta. Propagandowo serial jest nie do obrony – napisany przez działacza partyjnego w PRL Janusza Przymanowskiego, jest stekiem propagandowych bzdur i ahistorycznych kłamstw.

Ale jako serial akcji „Czterej pancerni” są doskonali, a aktorzy w nim grający to ścisła czołówka tamtych czasów. Będzie oglądany, czy to się komuś podoba, czy nie.

Ricky’ego Gervaisa walka o sens życia Zdarza mu się powiedzieć coś głupiego, ale Ricky Gervais pozostaje dla mnie najmądrzejszym człowiekiem w telewizji. Nawet jeśli się z nim nie zgadzam co do oceny świata (a zdarza się to rzadko), to i tak wywołuje u mnie gwałtowne napady śmiechu.

„After Life” to nieco inne niż zwykle dzieło Gervaisa. Zamiast nieustająco śmiesznych scen (pamiętamy go w „The Office”), tu na przemian serwuje nam sceny superśmieszne, a potem superporuszające.

W tym serialu (na Netflixie) gra Tony’ego, dziennikarza malutkiej, darmowej gazety lokalnej wydawanej gdzieś na wybrzeżu Anglii. Poznajemy go kilka miesięcy po śmierci żony, Lisy, która cierpiała na raka. Tony załamuje się po odejściu najważniejszej osoby w jego życiu i myśli o samobójstwie. W ostatniej chwili nie decyduje się na ten krok i przez kolejne odcinki szuka powodów, żeby się nie zabić.

Jeśli widzicie tu mało powodów do śmiechu, to słusznie – „After Life” ma sceny, przy których naprawdę trudno nie płakać. Jednocześnie sceny smutne nieustająco mieszają się z nadzwyczaj śmiesznymi. Takie jest po prostu życie. Jak mówi jeden z bohaterów „After Life”, życie po prostu trwa. Polecam każdą scenę, w której Tony na ławce obok grobu żony rozmawia z Anne, wdową, która odwiedza grób męża – to dialogowe mistrzostwo świata i pokaz pięknej mądrości o sensie i bezsensie życia.

Ostatnia scena z „Sześć stóp pod ziemią” Finały seriali są zawsze trudne. Oczekiwania fanów są gigantyczne, a im serial lepszy, tym jeszcze wyższe.

Tak było z „Sześć stóp pod ziemią”, serialem HBO nieco w Polsce niedocenianym, bo kiedy świętował sukcesy w USA, serwisu w Polsce jeszcze nie było, a równocześnie sławę zyskiwały też „Rodzina Soprano” oraz „Seks w wielkim mieście”.

Jestem fanem obu tych seriali, ale „Sześć stóp...” to coś kompletnie innego. Opowieść o rodzinie prowadzącej dom pogrzebowy w Los Angeles nie brzmi już dziś tak wyjątkowo, ale w 2001 r., kiedy serial się rozpoczął, był to bardzo nowatorski pomysł.

Serial po pięciu sezonach kończy się – uwaga, spoiler, chociaż po kilkunastu latach od zakończenia serialu nie jest to już chyba tak wielka tajemnica – kilkuminutową sceną, w której jedna z głównych bohaterek, mło-

Finały seriali są zawsze trudne. Oczekiwania fanów są gigantyczne, a im serial lepszy, tym jeszcze wyższe. Tak było z „Sześć stóp pod ziemią”

da dziewczyna, zostawia rodzinę, by przeprowadzić się do innego miasta. Gdy oddała się od rodzinnego domu, widzimy dalsze losy – aż do śmierci – wszystkich głównych bohaterów, a na końcu śmierć tej właśnie dziewczyny jako staruszki wiele lat później. A w tle Sia śpiewa przepiękną piosenkę „Breathe Me”. Po prostu genialne. Gdybym był aktorem i reżyser kazał mi się rozpłakać, puszczałbym sobie tę scenę.

Pułkownik Blake odchodzi Jeden z głównych bohaterów serialu „MASH”, pułkownik Blake, opuszcza szpital polowy podczas wojny w Korei, by wrócić do domu. Pozostali bohaterowie podczas operacji dowiadują się, że Blake – ich dowódca – zginął w zestrzelenym samolocie. Aktorzy nie wiedzieli, co będą musieli zagrać – ich reakcje są absolutnie autentyczne. Oto prawda o każdej wojnie.

Czy jestem dobrym człowiekiem? Ostatnia scena w „Szeregowcu Ryanie”, gdy Ryan, już w podeszłym wieku, stojąc na wojskowym cmentarzu w Normandii, zastanawia się, czy miał dobre życie i czy ofiara kapitana Millera i jego żołnierzy była tego warta. Płaczę za każdym razem. **N**

PRESTIGE MJM PREZENTUJE

SCORPIONS

ROCK BELIEVER

World Tour 2023



22 CZERWCA 2023
ERGO ARENA GDAŃSK/SOPOT

BILETY: BILETSERWIS.PL



THE-SCORPIONS.COM

Prestige
MJM

RADIO ZŁOTE
PRZEBOJE

bs BILET
SERWIS

onet

58270089

MUSIATEM
INTERWENIOWAĆ,
BO JULIA AŻ
SIĘ ZAGOTOWAŁA!



HS

N



prenumerata roczna

Newsweek^{POLSKA}

Sprawdź, co zyskujesz:

- nowe wydanie prasowe **co tydzień** w Twoim domu
- stały dostęp online do treści kilkunastu wydawców **w pakiecie** ● onet premium

+ bon na 100 zł do księgarni językowej Preston Publishing



Zamów za **399 zł** z bezpłatną dostawą na **Literia.pl**

Oferta limitowana

Prenumerata do potęgi

Newsweek^{POLSKA}

T + TISSOT



TISSOT CHEMIN DES TOURELLES AUTOMATIC
POWERMATIC 80 MOVEMENT
WITH UP TO 80 HOURS OF POWER RESERVE